KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/162 1961



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Cz. MIŁOSZ :
CO ROBIĆ Z BRZOZOWSKIM ?

A. KORBOŃSKI i B. MIECZKOWSKI :
O KAPITALIZMIE AMERYKAŃSKIM

Fr. KALINOWSKI :
KONSPIRACJE W LOTNICTWIE POLSKIM

SPIS RZECZY

WIERSZE

ARCHIWUM POLITYCZNE

SĄSIEDZI

KRAJ

SPRAWY I TROSKI

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień – Avril 1961

INSTYTUT LITERACKI



NOTY BIOGRAFICZNE

Andrzej KORBOŃSKI, ur. w 1927 r. w Poznaniu, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Studiował na Polish University College w Londynie, otrzymując stopień B. Sc. w 1950 r. Od 1956 r. pracuje na Columbia University nad problemami gospodarczymi Europy Wschodniej, pisząc jednocześnie pracę doktorską na temat rolnictwa w Polsce w latach 1945-60.



Bogdan MIECZKOWSKI, ur. w 1924 r. w Bydgoszczy. Członek AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Studiował na Polish University College w Londynie, gdzie otrzymał w 1950 r. B. Sc. na wydziale ekonomicznym uniwersytetu londyńskiego. W 1954 r. uzyskał tytuł Ph. D. z ekonomii na University of Illinois.. Assistant Professor na University of Vermont 1954-57. Od 1958 r. pracuje jako ,,research associate'' na Columbia University.

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA) po raz czwarty	5,00 NF
MWK (Australia) po raz piąty	13,50 ,,
Xenia Gąsiorowska, Madison Wis. (USA)	25,00 ,,
Nina Sereda, Montreal, Que., (Kanada) po raz piąty	17,50 ,,
Koło Oficerów Polskich w Baltimore, Md. (USA) zamiast kwiatów na grób Matki Danuty Mostwin, śp. Ireny Bronisławy Pietruszewskiej, żołnierza A.K.	200,00 ,,
Bohdan Drobniak, Paryż	100,00 ,,

DZIĘKUJEMY

SPROSTOWANIE

W artykule Berlińczyka pt. ,,Polska-Niemcy 1961'' w nrze 3/161 ,,Kultury'' końcowy akapit rozdziału ,,Lampka wina po niemiecku'' oraz ostatnie zdanie rozdziału ,,Zwolennicy przetargów'' przez pomyłkę zostały zamieszczone w tekście artykułu, a nie jako przypiski Redakcji.

Imprimé en France.

Nowe wydawnictwo "Kultury" "Zeszyty Historyczne"

Redakcja „Kultury" przywiązywała od samego początku wagę do publikowania materiałów, dotyczących *Najnowszej Historii Polski*. O tym okresie naszych dziejów wiemy bowiem najmniej: w kraju zafałszowuje się fakty z konsekwencją wręcz orwellowską, a na emigracji panuje skłonność do mitomanii „ku pokrzepieniu serc" i istnieje duża lista spraw i tematów, których poruszać nie wolno.

Relacje, wspomnienia i przyczynki publikowane w „Kulturze" od 14 lat stały się poważnym nagromadzeniem materiałów, bez pomocy których nie może się już obejść żaden historyk.Niestety szczupłość miejsca w miesięczniku nie pozwala na wykorzystanie wszystkich materiałów, które wciąż do nas napływają. W związku z tym Redakcja „Kultury" zdecydowała się na publikowanie corocznie (niezależnie od kontynuowania działu *Najnowsza Historia Polski*) dwóch dużych tomów, zawierających każdy ok. 240 stron, w serii ZESZYTY HISTORYCZNE. Żeby zapewnić temu wydawnictwu niezbędną ciągłość chcemy je oprzeć na prenumeracie, z tym że każdy prenumerator „Kultury" będzie otrzymywał te *dwa tomy* za dodatkową opłatą 3 dolarów. (NF 15 — 22 sh.). W sprzedaży księgarskiej cena ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będzie dwukrotnie wyższa to jest dolarów 3, lub równowartość, za każdy tom.

Z chwilą zebrania minimum 1000 prenumerat ukaże się pierwszy tom ZESZYTÓW. Mamy nadzieję, że uda się go wydać już w lipcu roku bieżącego.

Najbliższe tomy ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będą zawierały m.in.:

1) *Nieznane szczegóły ucieczki marsz. Śmigłego Rydza z Rumunii do Polski* — Pamiętnik uczestnika.

2) Płk. L. Mitkiewicz: *Kulisy Powstania Warszawskiego.*

3) Michał Borwicz: *Inżynierowie dusz* — pierwsza relacja dotycząca polskiego środowiska literackiego we Lwowie w czasie pierwszej okupacji sowieckiej w latach 1939/1941.

4) *Indeks* do trzech tomów „Politycznej Historii Polski" Władysława Pobóg-Malinowskiego.

5) *Sensacyjne dokumenty z okresu dwudziestolecia.*

Czytelnicy!

Nie zwlekajcie ze zgłaszaniem prenumeraty! Należności prosimy przesyłać bądź do Redakcji „Kultury" bądź do przedstawicieli, za których pośrednictwem abonujecie „Kulturę".

REDAKCJA

Co robić z Brzozowskim?

„Życie nasze, ja nasze to jest posterunek,
gdy my go opuścim — utraci go
już cała ludzkość na zawsze".
Brzozowski

Stanisław Brzozowski umarł 30 kwietnia 1911 roku we Florencji na gruźlicę czy, słuszniej byłoby powiedzieć, na nędzę, w trzydziestym trzecim roku życia. W ciągu półwiecza, jakie upłynęło od tamtej chwili, nie było prawie dyskusji literackiej w Polsce żeby nie padało jego nazwisko. A jednak nie ma po nim w jego rodzinnym kraju nawet takiej pamiątki, jak zbiorowe wydanie dzieł. Większość jego książek to dzisiaj już białe kruki i ktokolwiek chce się z nimi zapoznać musi wyławiać je po jednej w katalogach wielkich bibliotek.

Najwierniejszym przyjacielem Brzozowskiego była jego żona, Antonina z Kolbergów. Jej staraniem stanął w r. 1928 pomnik na cmentarzu Trespiano we Florencji, zaprojektowany przez rzeźbiarza Roberto Passaglia, z napisem: „Stanisław Brzozowski, poeta e filosofo"... Drugim wiernym jego przyjacielem był lwowski krytyk Ostap Ortwin. W ostatnim okresie życia, kiedy Brzozowski śpieszył się żeby zdążyć wykończyć jak najwięcej prac, prasa polska i wydawnictwa stosowały wobec niego bojkot. Gdyby nie Ostap Ortwin, najdojrzalsze książki Brzozowskiego pozostałyby w rękopisie, a rękopisy może by zaginęły, tym bardziej, że bojkot ustał nieprędko po śmierci ich autora. Ortwin był doradcą literackim lwowskiej firmy wydawniczej B. Połonieckiego i tam ukazały się *Legenda Młodej Polski* (1909), *Idee* (1910), a potem, pośmiertnie, powieść *Sam wśród ludzi* (1911), *Głosy*

Zamieszczamy fragmenty większej pracy Czesława Miłosza o Brzozowskim, która ukaże się w najbliższych miesiącach w ramach „Biblioteki KULTURY".

wśród nocy, studia nad przesileniem romantycznym kultury europejskiej (1912), tom zawierający *Widma moich współczesnych* i niewykończoną powieść *Książka o starej kobiecie* (1914), wybór pism kardynała Newmana w przekładzie i z przedmową Brzozowskiego (1915), a także — nakładem Antoniny Brzozowskiej — *Pamiętnik* (data wydania na książce nie podana).

W literaturze polskiej XX wieku nie znajdzie się pisarza o takiej skali i powadze zainteresowań. Górował on umysłowo nad wszystkimi sławami swojego czasu i to przesądza o jego wyjątkowej pozycji dzisiaj. Tacy pisarze jak Żeromski czy Reymont zostali ,,załatwieni'', umieszczeni w swojej epoce, sklasyfikowani i nikomu nie przyszłoby do głowy zajmować się cenzurowaniem ich dzieł. Brzozowski nadal u wydawców, czy u tych co próbują o nim pisać, wywołuje trwogę i drżenie — a przyczyny tego drżenia zmieniają się zależnie od wahań politycznej koniunktury. Znaczy to, że jest ciągle nam współczesny i że nie zmienił się jeszcze w przedmiot historyczno-literackich badań. Ciągle jeszcze każdy kto o nim pisze, już przez to że bierze pióro, wypowiada się za albo przeciw. Ta stronniczość, wynikająca z samej natury problemów jakie Brzozowskiego, wtedy w tym samotnego, zaprzątały, jeżeli już jest, nie powinna być ukrywana.

Najogólniej biorąc, tematem jego pism był przewrót w historii gatunku ludzkiego, zaczynający się przy końcu XVIII wieku i zaznaczony przez próg nowoczesnej ery, Rewolucję Francuską. Poszczególne jego książki można nazwać wyprawami w różne okolice stulecia szybszych niż kiedykolwiek dotąd przemian. Dotyczy to również jego powieści. Treścią *Płomieni* jest działalność rewolucjonistów rosyjskich z grupy Nieczajewa, następnie Komuna Paryska i Narodnaia Wola w Rosji. *Sam wśród ludzi* to obraz lat 1830-1848 w Polsce i w Prusach, przy czym przedstawione jest środowisko lewicy heglowskiej w Berlinie. Nieskończona *Książka o starej kobiecie* jest zapowiedzią wstrząsającej powieści o ,,procesie rehabilitacyjnym'' rewolucjonisty (1905 roku) zabitego przez własną partię. Nadając swoim szkicom o francuskich, angielskich i rosyjskich autorach podtytuł ,,studia o przesileniu romantycznym kultury europejskiej'', Brzozowski pojmował to przesilenie szeroko — trwało ono według niego bez przerwy przybierając ciągle nowe formy.

Burzliwa epoka, która fascynowała Brzozowskiego, ujmowana przez niego jako ciąg, jako całość otwarta w przyszłość, wkrótce po jego śmierci stała się jeszcze bardziej burzliwa. Dzieli nas od niego pierwsza wojna światowa, rewolucja rosyjska, druga wojna światowa i trudne jeszcze do ogarnięcia, bo dopiero w swoich początkach, zjawisko ,,upowszechniania się ludzkości'' w skali planetarnej. Doświadczenia kształtują język, wiele dążeń, postaw, sposobów myślenia otrzymało choćby przejściowe i niedoskonałe nazwy, na mapie dziejów w ruchu wytyczono punkty orientacyjne. Brzozowski zapuszczał się na tereny przez nikogo niemal wtedy, i to nie tylko w Polsce, nieeksplorowane, musiał więc sam tworzyć swój instrument, swoją terminologię. Dzisiaj

powiedzielibyśmy, że przeprowadzał ,,egzystencjalną analizę historycznych struktur'', że wszystko u niego krąży dokoła ,,problemu alienacji'' — ale on tak tego nie określał. Przy tym jego rozpaczliwe miotania się robią wrażenie wysiłków człowieka, który usiłuje przemówić do głuchych. Głuchota jego odbiorców polegała na zupełnym nieoswojeniu się z dialektyczną myślą, na żądaniu żeby było ,,albo tak albo nie'', a przynajmniej żeby rozpatrując jakiś prąd umysłowy czy jakieś dzieło znajdować ,,złe strony'' i ,,dobre strony''.

Stąd osłupienie kiedy Brzozowski jednym tchem wymawiał ,,tak i nie'' (cały jego stosunek do romantyzmu), stąd krzyki, że bez ustanku sobie przeczy. Niewątpliwie dziś odczytujemy Brzozowskiego inaczej niż jego współcześni, co nie jest naszą zasługą, ale wynikiem zbiorowych doświadczeń od których niejeden wosk w uszach topnieje. Mniej skłonni jesteśmy łapać go za słowa i jego trudna, proteuszowa myśl ukazuje się w rozwoju, w ciągłym przekraczaniu samej siebie, w ciągłym korygowaniu własnych pomyłek, z jasno jednak wytyczonym kierunkiem.

Jak zostaje się pisarzem nieprzyjętym przez tych, dla których zużywało się wszystkie siły w przekonaniu, że dokonuje się przebudowy świadomości — ich albo ich synów? Dlaczego tak wielu czerpało i czerpie pełnymi garściami z dorobku Brzozowskiego, ale jakby ukradkiem, nie przyznając się do tego publicznie? Dlaczego taką zapłatę otrzymuje się za miłość? Jak zostaje się *un écrivain maudit?* Być może pora spróbować udzielić odpowiedzi na te pytania, korzystając z możliwości jakie daje perspektywa zgęszczonego przez wypadki historyczne czasu. Niech to posłuży zamiast wieńca na cmentarzu Trespiano, którego żadna pielgrzymka polskich literatów w to pięćdziesięciolecie nie złoży.

Między wojnami

Szkic niniejszy nie jest chłodną rozprawą badacza. Jedno pogardliwe zdanie, jakie napisałem kiedyś o Brzozowskim, jątrzyło mnie całymi latami i wreszcie postanowiłem wybić klin klinem. Tak to nigdy nie wiadomo do czego podnietą może być brzydkie potknięcie się. Pamiętam co mnie do tego wtedy skłoniło, a te okoliczności są ciekawe, bo rzucają niejakie światło na przygody pism Brzozowskiego w Polsce.

Brzozowski padł ofiarą *espionitis,* nawiedzającej partie socjalistyczne po roku 1905. Oskarżony o współpracę z Ochraną, umarł pohańbiony. Nikt z jego wrogów nie potrafił udowodnić jego winy, ale wszelkie oskarżenia o współpracę z tajną policją mają to do siebie, że nie da się ich też nigdy definitywnie obalić: diabeł nie zjawi się, żeby zaświadczyć o niewinności czarownicy, a gdyby nawet się zjawił, jego zeznania tłumaczono by na odwrót. Powikłaną i absurdalną ,,sprawę Brzozowskiego'' przedstawię osobno, tutaj wystarczy przypomnieć, że długo po I wojnie światowej zaprzątała ona jeszcze umysły jego współczesnych, tak że

ile razy pojawiało się w druku jego nazwisko, o to przede wszystkim toczono kłótnie. Materiały ogłoszone przez naczelne wtedy pismo literatów ,,Wiadomości Literackie'' wykazały, o ile to w ogóle możliwe, niewinność pisarza, przede wszystkim wykazały komu zależeć mogło na skróceniu o głowę niebezpiecznego błędnego rycerza. Ale to skoncentrowanie się na osobie miało wpływ paraliżujący jeżeli chodzi o przeniknięcie myśli Brzozowskiego: zamiast o myśl spierano się o świadectwo moralności.

Inne jednak czynniki przyczyniały się do fałszywego odbioru jego pism, nieraz całkowicie na opak do jego intencji, i było tych czynników coraz więcej, choć równocześnie bladła i odsuwała się w przeszłość kwestia ,,winy'' Brzozowskiego. Każdy pisarz działa w obrębie układu zamkniętego przez samo trwanie jego życia i nie może oczywiście przewidzieć nowych znaczeń, jakie będą podkładać pod jego słowa ludzie schwyceni przez inne układy. Z wojną światową, rewolucją w Rosji, powstaniem Polski niepodległej i wewnętrznymi walkami o władzę układ zmienił się radykalnie, a przekręcił się jeszcze o sto osiemdziesiąt stopni po pojawieniu się zwycięskich ruchów faszystowskich.

Brzozowski był bardzo szczególnym socjalistą czy raczej zwolennikiem organizacji społeczeństwa opartej na robotniczych związkach zawodowych i tak sobie wyobrażał przyszłość państw europejskich. Do żadnej z partii socjalistycznych formalnie nie należał, choć bliższa mu była P.P.S. wysuwająca żądanie niepodległości kraju niż SDKPiL. Kiedy w 1914 r. socjalista Piłsudski zaczął tworzyć w Krakowie legiony, pierwszymi jego żołnierzami byli młodzi inteligenci, zarzucający omdlałość Młodej Polski na rzecz energii zalecanej przez Brzozowskiego — otwarcie proklamowali oni, że są ,,brzozowszczykami'' (w ,,winę'' jego poza tym nie wierzyli). Czy poza samym jego t o n e m byli też wrażliwi na jego trudne filozoficzne koncepcje, wypada wątpić. W każdym razie nikt prawie z tej lewicy Piłsudskiego nie dowiódł później, że naprawdę przyswoił sobie treść dzieł kontrowersyjnego autora. Właściwa P.P.S., początkowo Piłsudskiemu przyjazna, później wroga, cierpiała na słabość teoretycznego przygotowania, poza tym Brzozowski był dla niej kłopotliwy ze względu na dość dwuznaczną rolę, jaką odegrali podczas ,,procesu rehabilitacyjnego'' pisarza niektórzy jej przywódcy. Były co prawda koła P.P.S. czy zbliżone do P.P.S. chętnie studiujące Brzozowskiego, tak np. z niego przede wszystkim czerpał Jan Nepomucen Miller i ,,kult pracy'' w latach głównie 1927-1930 (zarówno programy jak mnóstwo wierszy o rzemiosłach, trudzie fizycznym etc.) był praktykowany pod patronatem zarówno Brzozowskiego jak Norwida. Jednakże brano zwykle od obu tych patronów tylko urywki, niektóre aspekty ich przemyśleń.

Najlepsze przygotowanie teoretyczne do zrozumienia Brzozowskiego mieli komuniści, właśnie przez swoją doktrynalną zaciekłość. Ich wpływ na środowiska intelektualne, dość okrężny i korzystający z przywileju negacji — tylko oni potępiali Pol-

skę niepodległą *in toto*, jako państwo burżuazyjne — znacznie przewyższał ich możliwości oddziaływań na robotników i chłopów. Brzozowski, przez nich należycie doceniany, uchodził wśród nich za szczególnie groźnego przeciwnika ortodoksji, bo egzemplifikował to, co siedzi w każdym polskim marksiście, tj. skłonność do świadomej czy nieświadomej „polonizacji" marksizmu i stopienia go z niepodległością narodową. P.P.S. nie umiała przyznać się do Brzozowskiego ale dla komunistów on to reprezentował jej ducha. „Brzozowszczyzna" więc była dla nich równoznaczna z ześlizgnięciem się w rozważania o granicach państwa i, od rzemyczka do koziczka, w międzyklasową solidarność. Jako spadkobiercy SDKPiL i Róży Luksemburg musieli wikłać się w sprzecznościach i przynajmniej te sprzeczności pokrywać pogardliwym lekceważeniem dla problemów niezależnego państwowego bytu. Skoro cała wschodnia część kraju powinna była zgodnie z ich programem odpaść jako Zachodnia Białoruś i Zachodnia Ukraina, było jasne, że samo dorzecze Wisły, czyli malutki i gęsto zaludniony obszar, nie mogłoby mieć prawie żadnej autonomii w obrębie rodziny przyszłych sowieckich republik. Nie rzutujmy późniejszych wydarzeń w przeszłość: o oderwaniu od Niemiec znacznych terytoriów nikt wtedy nie marzył z wyjątkiem chyba kilku szowinistów na skrajnej prawicy.

Ale Brzozowski zagrażał komunistom przede wszystkim jako jedyny w Polsce umysł filozoficzny, zastanawiający się głębiej nad Karolem Marksem. Podważał same fundamenty doktryny przekształcającej się w stalinizm. Z przesłanek odgadywał nieuniknione jego zdaniem wnioski praktyczne i pisał np.: „Historyzm dogmatyczny równie dobrze jak dogmatyczny naturalizm jest zamaskowaną formą t e o r e t y c z n e g o i e t y c z n e g o n i h i l i z m u" (podkreślenie jego). W krytyce marksizmu jaką przeprowadził, marksizmu krzepnącego w specyficzny kościół, zawarte było już wszystko co na ten temat powiedzieli później, w okolicach r. 1956, „rewizjoniści" polscy, jugosłowiańscy, węgierscy i francuscy. Dlatego też w latach dwudziestych, jak mi opowiadano, wewnętrzna rozprawa z tym heretykiem uchodziła za obowiązek każdego członka czy sympatyka K.P.P. i towarzysze zadawali sobie nawzajem pytanie: „Czy przezwyciężyłeś Brzozowskiego?".

Podtrzymywana przez komunistów opinia, że ulegając Brzozowskiemu łatwo zostać nacjonalistą i faszystą, że sam tym był przy końcu życia, rozpowszechniała się w kołach intelektualnych. Tutaj też trzeba wprowadzić właściwą perspektywę czasu, inaczej nie da się sprawdzić ile było słuszności w tych posądzeniach. Brzozowski używał dość obficie słów „naród" i „narodowy". Dwa te słowa miały w Polsce po r. 1918 przedziwną historię. Pomiędzy r. 1918 i 1939 tak zostały zmonopolizowane przez endecję, że nie ośmielił się ich wymawiać żaden lewicowiec ani liberał, bo „narodowy" znaczyło prawicowy. Do nowych honorów przywróciła te słowa partia komunistyczna po zdobyciu przez nią władzy w 1945 roku, szczególnie w latach terroru i dok-

trynalnej sztywności. Wtedy każdy dobrze widziany dziennikarz i publicysta starał się upiększyć epitetem „narodowy” czy rzeczownikiem „naród” przynajmniej co drugie zdanie. Zmierzano w ten sposób do dwóch celów. Grano na nie-równoległości znaczeń wyrazów o podobnym brzmieniu w polskim i w rosyjskim: *narodnyj poet* i „narodowy poeta” to różnica odcienia ale różnica istotna, jako że polskie „naród” zbliża się bardziej do *nation*, a rosyjskie „narod” bardziej do *the people, le peuple*. Zarazem kryte cenzuralnie przez podobieństwa do rosyjskich, wyrazy miały działać uspakajająco na publiczność przez skojarzenie uczuciowe z hasłami przedwojennej prawicy. Jak w wielu innych chwytach propagandy (np. odwieczny wróg germański od Zachodu), komuniści przejmowali tutaj język endecji, usiłując przez przesadę naprawić swoje dawne błędy. Jeżeli rosyjskie *narodnaja demokracja* tłumaczono przez „demokracja ludowa”, to z rodzaju wstydu, bo Polska bez mniejszości, zależna od Rosji i obrócona przeciw Germanom, urzeczywistniała właśnie program stronnictwa Narodowej Demokracji za caratu i wprowadzanie urzędowe tej nazwy to byłoby trochę za wiele.

Wtedy, przed rokiem 1939, obawy semantyczne miały swoje uzasadnienie, bo „naród” i „narodowy” figurowały na sztandarach wszystkich ugrupowań faszystowskich. Teraz, skoro przynajmniej w Europie to jedno z wielu ludzkich szaleństw przeminęło, nie będziemy zgłaszać do Brzozowskiego pretensji o to, że narody jako twory historyczne były dla niego czymś co istnieje. Wymykająca się teoretycznym rozważaniom jest to prawda możliwa do sprawdzenia doświadczalnie i np. Francuzi XVIII wieku, tak jak ich portret przekazały nam złośliwe albo przyjazne pamiętniki podróżujących po Francji cudzoziemców, w mnóstwie rysów przypominają Francuzów dzisiejszych, mimo upływu dwóch niespokojnych stuleci. Natomiast nacjonalistą Brzozowski nigdy nie był. Gdyby przemilczał nacjonalistyczne doktryny, wolno byłoby przypuszczać, że czuł do nich jakąś utajoną sympatię i że jego czytelnik mógłby się nią zarazić. Ale Brzozowski je zwalczał i to w ich dwóch postaciach, łagodniejszej, grającej na nostalgii do starych cnót i bardziej agresywnej, biologicznej, już z faszystowskimi akcentami. I jak to zwykle u niego, wytaczał przeciwko nim całą przemyślną machinę. Pretekstu dostarczały mu pisma Barrèsa, rasizm Chamberlain'a i konwentykle długowłosych artystów w Monachium: podobnie jak później Tomasz Mann w „Doktorze Faustusie” źródła biologicznych pomysłów w polityce dopatrywał się w rojeniach estetów, Znakiem czasu było według niego załamanie się autorytetu czystej, niecielesnej myśli; wskutek postępu nauk przyrodniczych i społecznych rozum musiał pogodzić się z tym, że nie jest organem nadrzędnym, bo sam jest wykwitem rzeczywistości w ruchu, jest przez nią w swoim poznaniu zdeterminowany; gorączkowo szukał podstawy na jakiej mógłby się oprzeć — skoro przestawał wystarczać samemu sobie. Ale Brzozowski nie sądził że b y l e c o może być obrane za podstawę (to różniło go od pragmatyzmu i dlaczego niektórzy

nazywali go pragmatystą trudno odgadnąć). W doktrynach nacjonalistycznych albo rozum kapitulował przed ,,życiem'' i zadawalał się jako podstawą ,,tym co życie pozostawione samemu sobie wywalczy'' albo człowiek chciał opanować ,,życie'' aktem twórczej samowoli i wynikiem według Brzozowskiego był albo ,,ślepy tradycjonalizm'' albo ,,ewolucjonizm rezygnujący ze wszelkich sprawdzianów na korzyść, 'życia' ''. Brzozowski też kładł nacisk na twórczy akt w historii ale ten akt u niego miał sprawdziany w ,,przyroście kompetencji'', w spotęgowaniu władztwa ludzkości nad naturą przez pracę i technikę — tutaj Brzozowski przemawia i jak proudhonista i jak marksista.

W *Ideach* a więc w jednej z ostatnich jego książek, potępienie kiełkujących już wtedy programów faszystowskich jest tak całkowite (rozdział ,,Etapy sentymentalizmu''), odpowiedzialność estetów tak dobrze ustalona (czy to tylko przypadek że Hitler był nieudanym malarzem?), że wystarcza zacytować następujące fragmenty, niemal prorocze:

,,Świadomość w tym stadium uważa za oznakę i istotę siły mocne podniecenie własnej w y o b r a ź n i . To, co w nas samych wydaje się nam charakterystycznym, jaskrawym, jest szanowane przez nas jako siła. Mało istnieje tak fantastycznych i kruchych konstrukcji umysłowych jak różne postacie biologicznych koncepcji kultury, jakie spotykamy u R. Wagnera, Gobineau, Nietzschego, Chamberlain'a. Jako kategorie biologiczne traktowane są tu tylko pewne formy wrażliwości estetycznej''.

,,Bezsilna, nieudolna nasza psychika ukazuje się nam jako zapoznana siła przyrody''.

,,Wyobraźnia oddaje ster życia dążnościom, których charakter polega na razie na tym, że n i e u m i e m y n a i c h p o d s t a w i e p r o w a d z i ć w y s t a r c z a j ą c e g o s o b i e ż y c i a . Nie nabyły one obecnie uspołeczniających zdolności, przeciwnie: na powierzchni myśli ukazują się po fazie p o z a s p o ł e c z n e g o , p o z a ś w i a t o w e g o istnienia i ukazują się zaopatrzone w teorię, że są wyrazem głębszej niż h i s t o r i a , s p o ł e c z e ń s t w o , c z ł o w i e k — siły. Negr niewolnik, który żył całe lata na dnie okrętu, nie widząc słońca, żywiony konserwami i rumem, nie staje się istotą kulturalną, chociażby okręt był zbudowany według zasad najbardziej nowoczesnej techniki. W dzisiejszym neoromantyzmie dochodzą do głosu siły naszej duszy, które pod wpływem kultury romantyzmu naukowego nie były lepiej traktowane. Okres ten daje rzeczy cenne w jednym tylko kierunku: przynosi głębokie zrozumienie dla dzikich, pierwotnych sił twórczości i historii, ale i tu grzeszy, gdyż zaraża je swą niecierpliwością, pozahistorycznością i histerią. Nigdy zaś tak nawskroś fałszywie nie rozumiano historii samej jako całości, nigdy przede wszystkim nie rozumiano tak fałszywie siły. Jako siła ukazuje się nam właśnie to, co jest stwierdzoną słabością, jako instynkt — szczątki niezatrudnionej, rozbitej przez pozbawione godności życie istoty. Neurastenicy i histerycy wierzą, że przypominają legendarnych Cym-

brów i Teutonów; rychło patrzeć pojawi się i w Krakowie jakaś kawiarniana Chrobacja, odkryje się że Chrobry był poprzednikiem Nietzschego, Kazimierz Wielki przypominał znowu tam kogoś, a Czarnecki był 'indywidualnością umiejącą żyć niebezpiecznie' ".

Chrobacja, jak wiadomo, rzeczywiście się, choć nie zaraz, w Polsce pojawiła: ,,młodzież narodowa" z mieczykiem Chrobrego w klapie marynarki.

Podsuwana przez komunistów legenda o faszystowskich gustach Brzozowskiego, zgodna z ich manią dzielenia ludzi na zbawionych w leninizmie-stalinizmie i potępieńców, dość skutecznie odstraszała lewicę od jego pism a po r. 1945 podpierała decyzję umieszczenia ich na indeksie *librorum prohibitorum*. Nieco złagodzona, przetrwała do dziś.

Podatności lewicowców i postępców różnych odcieni na tę legendę sprzyjało pewne wykroczenie Brzozowskiego przeciwko przepisom dobrego smaku, najtrudniej dla nich wybaczalne. Trwalszy od jakichkolwiek innych podziałów jest w Polsce podział na obóz klerykalny i antyklerykalny. Brzozowski skarżył się w *Legendzie Młodej Polski*: ,,Za naukę uważane jest u nas w Polsce wszystko to, co może służyć w antyklerykalnej polemice". On natomiast, we wczesnej młodości postępowiec nienaganny, bo antykatolik, nie chciał się później temu upupieniu poddać i od r. 1906 coraz bardziej interesował się nowymi fermentami w łonie katolicyzmu. Tocząca się wtedy walka zapaśnicza pomiędzy integrystami i modernistami, usadowionymi głównie we Francji, doprowadziła jak wiadomo do potępienia modernistów w 1909 r. encykliką ,,Pascendi". Brzozowskiego skłaniało do wycieczek w problematykę katolicyzmu to właśnie, co według postępowców powinno było go ustrzec od ,,mistycznych bredni": jego historyzm. Ich historyzmem gardził jako niepełnym, maskującym tylko ich przyzwyczajenia przyrodników. Nikt w historyzmie nie posuwał się tak daleko jak on: cała jego filozofia jest ściśle a n t r o p o c e n t r y c z n a , jej samą istotą jest ostre przeciwstawienie człowieka, a więc historii, naturze. Ale przecie chrześcijaństwo z jego przebóstwieniem człowieka, wcieleniem się Boga w człowieka, *jest* antropocentryczne. Brzozowski pozwalał sobie niekiedy na coś, co musiało budzić prawdziwą grozę jego postępowych czytelników: wymieniał nazwisko Swedenborga — bo u Swedenborga n i e b o m a k s z t a ł t c z ł o w i e k a . Również William Blake, zresztą zupełnie w Polsce nieznany, musiał być płachtą na byka: ,,mistyk" — to załatwiało wszystko. Jednak u Blake'a zwycięstwo *Our Lord*, Chrystusa, nad złym demiurgiem, Jehową, zdawało się odpowiadać zwycięstwu ludzkości nad naturą u Brzozowskiego. Co do Kościoła, to Brzozowski przyznawał że ,,katolicyzm jest jedyną próbą historycznego światopoglądu ucieleśniającego się w instytucjach i faktach kulturalnych — to jest jego trwałą i wielką zasługą".

W postawie Brzozowskiego wobec katolicyzmu jest wyjątkowo dużo wahań i kolejnych zaprzeczeń sobie, co można

śledzić np. w jego studiach o Norwidzie. W każdym razie nie chował głowy w piasek jak robili ironicznie przez niego traktowani postępowcy i nie sądził, że ktokolwiek kto rozmyśla nad przeszłością ale także teraźniejszością i przyszłością Polski, może po prostu katolicyzm eliminować. Był przy tym świadomy jego przykrych obciążeń: ,,Nigdzie chyba na całym świecie — pisał w *Legendzie Młodej Polski* — stosunki pomiędzy katolicyzmem jako religią ludową, a katolicyzmem jako głęboką dyscypliną moralną, obejmującą całe życie człowieka, pomiędzy katolicyzmem maluczkich a katolicyzmem doktorów, nie ułożyły się w sposób tak straszliwie demoralizujący jak u nas''.

Potępiając romantyczny i po-romantyczny ,,bunt kwiatu przeciw korzeniom'', skazaną na niepowodzenie próbę oderwania się od historycznego podłoża, szukał zdrowia — i dlatego podziwiał u kardynała Newmana, Chestertona, zmysł ciągłości, zdolność do myślenia w kategoriach stuleci i tysiącleci. Jest prawdopodobne, że gdyby żył dłużej, postawiłby sobie za zadanie ,,rewolucjonizować'' polski katolicyzm. To przynajmniej pozwalają przypuszczać jego ostatnie prace. Kiedyś, całkiem jak dla Ludwika Feuerbacha, religia była dla niego wytworem alienacji. Później taka ocena wydawała mu się płytka, właściwa tylko racjonalizmowi i jego pochodnej, światopoglądowi ,,przyrodniczemu'', ale już mało przydatna dla niego, ucznia dialektyków, i coraz bardziej podgryzana przez zdobycze antropologii. Nie bez znaczenia chyba były tutaj jego bliskie kontakty z grupą młodych filozofów florenckich (największy rozgłos spośród nich zyskał potem Papini). Brzozowski przewidywał, że wkrótce nabierze aktualności hasło: ,,Rewizjoniści wszystkich kościołów łączcie się'' — wszystkich, w tym również kościoła marksistowskiego. W *Ideach* (rozdział ,,Alfred Loisy i zagadnienia modernizmu katolickiego'') tak o tym mówi: ,,Dzisiejsza sytuacja nie jest pozbawiona humoru; psychologia religii, ten beniaminek racjonalizmu, wykuła przeciwko niemu najskuteczniejszy oręż. Haeckel i Le Dantec, Ostwald i Spencer nie mogą stawiać żadnego oporu w zetknięciu z metodami wyrobionymi w walce z najbardziej subtelnymi postaciami ontologizmu i racjonalizmu teologicznego. Można spodziewać się, że po pewnym czasie powstanie sympatia pomiędzy wydziedziczonymi teologami i dogmatykami wszystkich odmian...''. I dalej: ,,a już pomiędzy przeciętnym modernistą a przeciętnym rewizjonistą zbliżenie jest bardzo łatwe i jeżeli nie powstaje, to jedynie dzięki przypadkowi''.

Za obrazę majestatu postępowości Brzozowski był atakowany i odpierał te ataki w przypisach do *Legendy Młodej Polski,* stwierdzając, że cała jego metafizyka sprowadza się do wiary w istnienie sił w s p ó ł d z i a ł a j ą c y c h z ludzkim, z historią. W zakończeniu tego tomu wycofuje się co prawda z niektórych wyłożonych w nim tez: ,,Napisałem w jednym z rodziałów niniejszej książki, że cała epoka nasza może być pojmowana jako rozkład katolicyzmu; czasami wydaje mi się, że powinieniem był napisać: przeistoczenie''. I w usta niewymienionego z nazwiska

rozmówcy („pewien bardzo niezależny umysł") wkłada domniemanie, że katolicyzm jest „formą myśli, odbijającą doskonale biologiczne przystosowanie gatunku do warunków w jakich on żyje i rozwija się". Komentuje to: „Nie trudno zrozumieć, że jest to myśl mająca wszystkie cechy Pascalowskiego sceptycyzmu: krańcowe zwątpienie staje się, nie wiedząc o tym, organem wiary. Przystosowanie się wtedy tylko uwłacza prawdzie, gdy świat jest pojmowany jako niezależny od prawdy, obojętny. Jeżeli zaś jest on właśnie dziełem Boga, jest słowem? Można by myśleć, że trzeba mieć odwagę tylko iść za wszystkimi swymi wątpliwościami, a doprowadzą one nas do punktu, w którym zwątpienie staje się jakby odnajdującym drogę poszukiwaniem". Na domiar złego Brzozowski umarł jako katolik, przyjąwszy sakramenty.

Antagonista Brzozowskiego, Wilhelm Feldman, wymowny, naładowany komunałami i pozbawiony filozoficznych pasji, był „na linii" postępowej i do niego należało ostatnie słowo. Feldman gładko przyrządził formułę i obowiązywać ona miała przez wiele dziesiątków lat. Spotykamy ją, umieszczoną jako pedagogiczna przestroga, w czterotomowej antologii „Polska krytyka literacka (1800-1918)" pod redakcją Jana Zygmunta Jakubowskiego, wydanej w Warszawie w 1959 r. Feldman *dixit:* „Bogactwo podniet umysłowych, własnych i cudzych, rozsianych w pismach Brzozowskiego sprawia że lektura ich dla krytycznego umysłu może mieć znaczenie. Zapłodni, często zmusi do autokontroli. Dobrze jest przejść tę elektryczną kąpiel; biada tym, co w niej zostaną". Pasjansowi mędrcy, pobłażliwie uśmiechający się kiedy młody Brzozowski przejmował się Darwinem, też na pewno pochlebiali sobie, że mają „umysł krytyczny".

Dla wszystkich niewygodny, Brzozowski leżał odłogiem. Najbardziej nawet wartościowy pisarz przeszłości nie zdoła dotrzeć nie tylko pod strzechy ale pod dachy wielkomiejskich domów, jeżeli zabraknie ludzi zdolnych objaśnić co w nim jest pożywne, aktualne, potrzebne. Nieliczni wolontariusze nie mogli przełamać ospałości albo niechęci, choćby (czy dlatego że) ograniczali się do minimum, tj. żądali tylko, aby pisma Brzozowskiego udostępnić przez ich ponowne wydrukowanie. Józef Czapski w artykule „O towarzystwo imienia Stanisława Brzozowskiego" (14) nawoływał do utworzenia towarzystwa, któreby zajęło się wydaniem dzieł, korespondencji, rękopisów. Młodzieniaszkowi wtedy, Wacławowi Kubackiemu, każdy literat polski winien wdzięczność za jego wysiłki, żeby pomóc wdowie po zmarłym pisarzu, Antoninie Brzozowskiej: z artykułu „O dzieła Brzozowskiego" (15) dowiadujemy się że Brzozowska, mieszkająca we Florencji, prowadziła wykłady polskiego i literatury polskiej na tamtejszym uniwersytecie, jednakże z inicjatywy włoskich przyjaciół, polskie ministerstwa nie tylko nie otaczały jej żadną opieką, ale nawet

(14) „Wiadomości Literackie". Nr 236 (r. 1928).
(15) „Wiadomości Literackie". Nr 503 (r. 1933).

nie zaopatrywały lektoratu w książki i czasopisma. Kiedy krakowski wydawca Wojciech Meisels zamierzał wydać zbiorowe dzieła Brzozowskiego i zastrzegł sobie jej udział w kampanii reklamowej, przyjechała do Polski, ,,była w Warszawie, Krakowie, Lwowie, w Wilnie i w Poznaniu, obeszła niezliczoną ilość redakcji i urzędów''. Miało to skutki o tyle że periodyki zamieściły ogłoszenia i artykuły a Fundusz Kultury Narodowej przyznał subsydium. To subsydium było ,,zadziwiająco małe'', niewielu kwapiło się w subskrybcją i rzecz się rozbiła, mimo że prof. Stefan Kołaczkowski przygotował ,,kilka przedmów''. Niepowodzenie nie powinno nas dzisiaj zdumiewać, jeżeli zważymy, że kulturalna i postępowa Polska czytała wtedy namiętnie Boya-Żeleńskiego. Brzozowski, poza wszelkimi innymi niedogodnościami, był za ciężkim kalibrem.

Prof. Stefan Kołaczkowski zdołał jednak po długich staraniach wydostać jakieś pieniądze i projekt wznowił. Widocznie realizacja jego szła opornie. jeżeli do wybuchu wojny ukazał się tylko jeden tom (,,Kultura i Życie'').

Po roku 1930 zapowiadana przez Brzozowskiego Chrobacja nabierała coraz większej pewności siebie i zaczynała wdzierać się do fortecy dotychczas strzeżonej przez liberałów i postępowców różnych odcieni tj. do fortecy kultury. Tygodniki takie jak ,,Prosto z mostu'' odnosiły coraz większe sukcesy, odbywało się ,,kaperowanie'' literatów czyli kuszenie ich ,,falą jutra'', zapuszczano się też w przeszłość żeby zbierać tam nazwiska do kolekcji ,,tych co są z nami''. Aura frazeologii i nacjonalistycznego bełkotu zarażała nawet ludzi skąd inąd mało przyjaznych totalistom, zmuszając ich do chronienia się w pseudonimowanie i w spirytualizm. Wtedy to co zręczniejsi opukiwali Brzozowskiego: a nuż. Z jednego nawróconego grzesznika jest przecie więcej radości niż z wielu cnotliwych. Katolicki — czyli polski. Polski — czyli narodowy. Narodowy — czyli prawicowy.

W przywróceniu Brzozowskiego do łask na prawicy mogła odegrać rolę j e d y n a większa książka o nim. Jest to Bohdana Suchodolskiego: ,,Stanisław Brzozowski. Rozwój ideologii'' (Warszawa, 1933). Nie znając jej (nie udało mi się jej znaleźć ani we Francji ani w Ameryce) nie mogę z nią polemizować, powołam się więc tylko na opinię Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (16): ,,Próba ta usiłująca wykazać że Brzozowski odbył w swoim rozwoju filozoficznym konsekwentną drogę od idealizmu, poprzez marksizm i nacjonalizm do katolicyzmu, wypadła zupełnie nieprzekonywująco. Można znaleźć w jego studiach i szkicach z ostatniego okresu twórczości, kiedy żył przecież prawie wyłącznie w kręgu pism kardynała Newmana, myśli wyrażone już niegdyś w pierwszych wprawkach krytycznych''. Żył może nie tylko w kręgu pism kardynała Newmana, ale mniejsza o to. Istotne jest podkreślenie, że Brzozowski nie wyrzekał się swoich

(16) Stanisław Brzozowski ,,Filozofia romantyzmu polskiego'', Biblioteka Orła Białego, Rzym 1945. Przedmowa.

wcześniejszych poglądów. W swoiście pojmowanym materializmie historycznym jątrzyły go stale punkty dla niego niezbyt jasne i luki. Luki te stopniowo wypełniał, ale ,,izmom'' nadawał sens inny niż potocznie przyjęty i dlatego ustawianie go na szczeblach wiodących od jednego izmu do drugiego jest błędem. Nie znaczy to wcale, że wszystko układało się u niego harmonijnie, że nie zwracał się nigdy przeciw sobie. Jednakże w każdym jego ruchu można wyczuć tę samą orientację i ruch następny ją tylko wzmacniał, jakby Brzozowski całe życie wyrabiał sobie tylko środki pojęciowe, posuwając się od niedostatecznych do bardziej zadawalających.

Przygarniano Brzozowskiego co prawda ostrożnie i powoli. Dopiero podczas II wojny światowej nazwisko zyskało popularność wśród podziemnej prawicy, do tego stopnia, że otwierając jej drukowane czy odbijane na powielaczu periodyki (zwykle grawitujące dokoła Konfederacji Narodu) natrafiało się co chwila na fantastycznie mętnie próby podania tego wielkiego już Polaka w odpowiednim ideologicznym sosie. Narodowa Demokracja kiedyś mściła się na Brzozowskim roznosząc ze szczególnym smakiem wieść, że był agentem Ochrany. Jej spadkobiercy przyjmowali tę pogłoskę, dla nich raczej wygodną: i ,,wina'' pisarza i jego materializm historyczny to były jego błądzenia, zanim nie przybił do katolicko-narodowego portu.

Sroka gromadząca błyskotki nie wie nic o użytku do jakiego służy ludziom guzik, spinka czy pokrywka metalowego pudełka. Wyłapując z dzieł Brzozowskiego zdania o energii, woli, świadomości narodowej, prawicowcy pomijali inne tuż obok, bo te inne by ich zabijały. Sos i d e o l o ma to do siebie, że zaciera wyraźne rozróżnienia — przykre, przyziemne, brutalne. Do tej szkoły co Brzozowski nigdy wysoce duchowi deklamatorzy nie chodzili, nigdy w ich głowach nie odezwało się to k l i k , przesądzające o marksistowskim, socjologicznym czy jak to nazwać, wtajemniczeniu. Mogli więc tylko parodiować. Ale Brzozowski był *vulnerable*, pozbawiony obrońców. I ta parodia jakoś do niego przyrastała.

Bywa niekiedy tak, że zapominamy gruntownie skąd wzięły się w nas różne przechylenia na rzecz takich a nie innych zasad, rozstrzygnięć. Obcowanie z czyimiś dziełami nastawia naszą wewnętrzną wagę, na jej szale kładziemy zjawiska i idee, ale już nie pamiętając kto ją nam nastawił, czy, jak się utarło mówić, spychając to w podświadomość. Po bardzo długiej przerwie — od r. 1930-1932, kiedy jako zielony młodzieniaszek przeczytałem kilka tomów Brzozowskiego, do roku 1959, kiedy postanowiłem zabrać się do niego gruntownie — powstało we mnie pół-podejrzenie, pół-pewność, że to on właśnie był regulatorem. I bodaj nie jestem w tym zaciąganiu długu wyjątkiem. Moje pokolenie, wystawione na wiatry historyczne, czy wręcz wystawiane do wiatru, usiłowało dość niedołężnie umieścić jednostkę w społeczeństwie, pogodzić sztukę z zaagażowaniem. Filozofia uniwersytecka przynosiła mało pożytku. Drzemka, w jaką zapadałem na prose-

minarium — za oknem mglisto-śnieżny ranek Wilna, elektryczne światło, monotonne głosy pupilów tego nowoczesnego chederu dukające Kartezjusza i Hume'a — była chyba reakcją zdrowego organizmu. Oczekiwałem objawień od teorii prawa i historii filozofii prawa. Nawiasem odnotujmy zbieżność: i Jan Baptysta Vico i inni włoscy przedstawiciele *storicismo*, drodzy Brzozowskiemu, byli prawnikami. Choć jednak uszczknąłem co nieco z teorii Petrażyckiego i z „Penologii" Bronisława Wróblewskiego (bardzo wybitny uczony i profesor, w ogóle w porównaniu z pompatycznymi zerami w rodzaju prof. Jarra, wykładającymi prawo w Warszawie, uczyli nas na Uniwersytecie Stefana Batorego światli ludzie), to jeszcze nie było to, bo gdzie pomosty do aktualności? Natomiast aktualności, społecznych obowiązków literatury, tykali właściwie tylko marksiści, ale beznadziejnie wulgaryzując, ani talentem ani wiedzą nie mogli równać się z Brzozowskim. Zestawieni z nim, słabli. Ten fakt, że w międzywojennym dwudziestoleciu Brzozowski nadal pognębiał rywali, miał mieć później niebyle jakie i to rozmaite następstwa, chociażby w dziedzinie krytyki. Gdyby nie zarażenie się nim (przypadek np. Kazimierza Wyki) polska krytyka literacka po r. 1945 nie byłaby lepsza od rosyjskiej. Pośmiertnie obronił więc swoją tezę o roli jednostkowego aktu w historii.

Tym niemniej nie przypuszczam, żebym rozumiał wtedy z niego więcej niż piąte przez dziesiąte. Może przyczyniła się do tego moja niedojrzałość; w wieku szczenięcym ma się całkiem wypaczoną percepcję czasu. Ponieważ umarł przed I wojną, był dla mnie współczesnym niemal Kościuszki, co skłaniać powinno do miarkowania ubolewań nad dzisiejszą młodzieżą w Polsce, nie domyślającą się nieraz, że gra przedstawienie nieźle już zaawansowane w okolicach 1900 czy 1907 roku. Najpewniej jednak i w tym nie byłem wyjątkiem, bo tylko trzęsienie ziemi mogłoby przewrócić i przetasować te pokłady, które zagradzały nam do niego dostęp. A było ich dużo, bodaj więcej niż przed I wojną, *pieredyszka* przed nową europejską katastrofą stępiała i obezwładniała dociekliwość. Poza tym mój brak wykształcenia czyli samowykształcenia — nauka przypadła u mnie na lata późniejsze, kiedy mój dyplom uniwersytecki najpierw żółkł w jakiejś szafie a potem spalił się razem z szafą i domem.

Zgodziłbym się jednak z inną hipotezą. Na górę nie można wspinać się w sposób dowolny, bo sam teren narzuca nam swoje wymogi. Im wyżej tym mniej wyboru. Te szlaki, albo dopiero wytyczane, albo nawiedzane już przez turystów, jeżeli mają być przenośnią, przypisuje się mocy sprawczej *Zeitgeistu*, innego w każdej fazie. Tak różne indywidualności jak Simone Weil, A. Camus, I. Silone, K. Jaspers, J. Hersch i mnóstwo innych, spotykały się ze sobą w tych samych kominkach, na tych samych upłazach, chwytać się musiały tych samych kamieni. I spotykały się z Brzozowskim — ten ich nieraz tylko wyprzedził. Możliwe więc, że w Paryżu po II wojnie światowej, lepiej czy gorzej posuwając się naprzód w tym towarzystwie, stawiałem

często stopę tam, gdzie kiedyś przebywał Brzozowski i stąd złudzenie pogrzebanego, opóźnionego wpływu. Jeżeli tak, to kto wie czy kłopot z Brzozowskim w Polsce nie jest spowodowany dzisiaj przez hamulce polityczne raczej pośrednio — pozwalają one na słaby tylko dopływ autorów w tym albo owym z nim skuzynowanych i zdolnych dostarczyć klucza do jego labiryntu.

Dlaczego w 1943 r., w szkicu o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu, przyznając, że dwie są osobistości w polskiej nowszej literaturze, do których trzeba ciągle powracać: Brzozowski i Witkiewicz, napisałem, że Brzozowski jest „odrażający"? Nieuczciwość zwykle pochodzi z podszeptów ambicji. Podziemne pisemka prawicowe doprowadzały mnie do furii a w nich bez ustanku: Brzozowski, Brzozowski. Spreparowany, przesłonił mi prawdziwego. Chciałem się odgrodzić, poniżało mnie przyłączanie się do ich chóru. Śmieszne. Powinienem był tak samo kopnąć Norwida, bo i tego konia dosiadali przy każdej okazji. Miałem pretensję do Brzozowskiego o to, że pragnął być wychowawcą narodu. Czy mógł inaczej, sam wychowany na polskich romantykach — i na Bielińskim? Czy to takie znowu głupie, że pisarz, świadomie albo nieświadomie, jest wychowawcą? Pomyłkę po wielu, wielu latach, naprawiam tym studium. Ale nie była to tylko moja pomyłka. Przyznanie się do niej może zachęci innych do uderzenia się w piersi (własne, nie cudze).

Myślę dzisiaj, że podręczniki literatury polskiej musiałyby być przerobione, bo znaczną część XIX w. i początek XX w. przykraja się w nich stale na miarę biedy. Ale Polska nie była tylko jednym ze skromnych krajów okupowanych przez potężne mocarstwa i przebudzających się za powiewem romantyzmu. Jej przeszłość dużego państwa owocowała w sposób przez nikogo nieoczekiwany, stąd obok pisarzy ścieśnionych, zamkniętych domową biedą, Sienkiewicza, Reymonta, Żeromskiego, inni, nieprzyzwoici, bo ponad stan, trudni do oswojenia. Być może w odtrącaniu ich wyładowywał się zbiorowy lęk przed luksusem, z którym nie wiadomo co zrobić. Istnieje w literaturze polskiej ciągłość medytacji historycznej, istnieje *storicismo polacco*. Cyprian Norwid umarł kiedy Brzozowski miał pięć lat. Nie mam zamiaru ustawiać ich obok siebie, zakresy ich oddziaływań są różne, Norwid-poeta wyznaczył (czy jeszcze wyznaczy) kierunek nowoczesnej poezji polskiej przez swoje artystyczne dokonania. Ale obaj byli „ciemni", odtrącani, przyswajani, to obnoszeni jak świątki to jak straszydła. I żaden z nich nie ma w Polsce pełnego wydania swoich dzieł.

Próbuje się obecnie w Polsce uratować Brzozowskiego. W 1956 r. nakładem wydawnictwa Literackiego wydano *Płomienie*, wkrótce potem *Sam wśród ludzi*. Pokazuje się go jednak tylko jako powieściopisarza i krytyka, cofając się z drżeniem przed jego filozofią. Nie może się to udać. Brzozowski był filozofem i napis na jego florenckim nagrobku jest trafny. Mocno zakorzeniona w Polsce tradycja odmawiała mu oczywiście prawa do tego tytułu. Tradycja ta, przykrytego megalomanią braku sza-

cunku dla samych siebie, każde niespodziewane osiągnięcie wyjaśnia zapożyczeniem z zagranicy: jeżeli taki mądry, to znaczy że naczytał się w obcych językach i naśladuje. Brzozowski skrupulatnie podawał swoje lektury. Z dumą obwieszczał wszem i wobec, że uważa się za ucznia Jana Baptysty Vico, wyliczał co winien jest Marksowi, Jerzemu Sorel, który wprowadził go w Proudhona, pisarzom angielskim XIX wieku. Od tego co brał odróżniał własny wkład — i był przekonany, że jedynie nieprędko czytelnicy zauważą jego pionierstwo. W Prolegomenach filozofii pracy" (w tomie *Idee*) swój obszerny wywód, podstawowy dla całej jego twórczości, zaopatruje w następującą uwagę:

,,Bardzo mi jest przykro, że muszę narazić moich rodaków na przeświadczenie tak gorzkie, że wygłoszona tu zasada nie została sformułowana ani rozwinięta przez nikogo na Zachodzie, że tym razem istotnie filozofia w Polsce robi krok naprzód, który będzie prędzej czy później powszechnie uznany i że dzieje się to za sprawą autora tej pracy. Autor jednak wie, że geniusz polski w marnotrawieniu zdobyczy intelektualnych jest tak niezrównany, że załatwienie się z tą drobnostką nie może mu robić żadnej różnicy. Że zresztą, aby być przeświadczonym o bezwzględnej słuszności tego co mówię, trzeba stać na poziomie dzisiejszej filozoficznej myśli, czyli znajdować się w stanie, nie mającym prawie nic wspólnego z aktualną umysłowością polską. Czyni zaś to swoje oświadczenie autor po prostu dla humorystycznego afektu, aby wśród tylu nieoczekiwanych i dziwnych odkryć dokonane było w tej naszej Młodej Polsce nawet jedno prawdziwe".

,,Przezwyciężano" Brzozowskiego albo wołano: ,,on z nami". Znacznie lepiej by było, gdyby zamiast potyczek czy flirtów z doskonale nieobecnym, zdobyto się na rzecz bardziej elementarną: uczciwe wydobycie z jego dzieła tych kilku filozoficznych przesłanek, na których mu najbardziej zależało.

Czesław MIŁOSZ

Fragmenty z dziennika

Czwartek

Prosto z owej nieszczęsnej wizyty w Związku Pisarzy — mowa o moim pobycie w Montevideo — pojechaliśmy, Paulina Medeiros, Dickmann, Dipi i ja, na „penię" poetów. Odbywało się to w restauracyjce nadrabiającej miną, gdzie malatury ścienne dodawały skrzydeł pozbawionemu wyobraźni *menu*. Wielki stół, przy którym z pięćdziesiąt osób. Paulina wyjaśnia po cichu: bankiet, wydany przez poetów na cześć profesora Rusconi, to nas wprowadzi w klimat poetycki stolicy. Kto zacz, profesor Rusconi? — O! — mąż zasłużony — głośny krytyk — profesor uniwersytetu — autor — przyjaciel, ojciec, opiekun poetów — otrzymał właśnie nagrodę za zbiór esejów i stąd biesiada.

Nigdy nie byłbym przypuszczał... nie, wciąż jeszcze nie znam Ameryki, nie znam jej w jej zawiłości, jej dziwnym pomieszaniu poziomów, jej niezrównoważeniu... To co zobaczyłem, prowincjonalne okropnie, nie byłoby możliwe w żadnej Pipidówce argentyńskiej; ale zarazem, ku memu zachwytowi, było żywcem z Klubu Pickwicka.

Rozkoszna anielskość królowała. Obok anioła, profesora Rusconi, który uśmiechał się, pozdrawiał, czarował, inny zasiadał anioł, staruszek rześki i gorąco poetycki, także poetyczny — ten zawiadywał sesją, zagrzewał i dodawał ducha. Mowy. Potem wstaje jeden poeta i kropi wiersz na cześć profesora Rusconi. Oklaski.

Zaraz potem wstaje *poetiza* i kropi wiersz na cześć profesora. Oklaski.

Zaczem wstaje inny poeta i kropi wiersz na cześć profesora. Pochwały. Oklaski. Wtedy dopiero uzmysłowiłem sobie rzecz dziwną, niesamowitą, już nawet nie z Dickensa, a z Chestertona: *jak ich było pięćdziesięciu, wszyscy byli poetami i każdy wypowie wiersz na cześć profesora Rusconi* (który dyskretnie i z taktem dawał do zrozumienia, że mniejsza o niego, poezja grunt).

Zawezwałem tedy kelnera aby mi dostarczył dwóch butelek wina, jedną białego, drugą czerwonego, i obie zacząłem doić! Tymczasem poeci recytowali, Rusconi promieniał, anielskość parowała wraz ze wszystkimi cnotami praktykowanymi w takich wypadkach — skromność, dyskrecja, ale i szlachetność, z uczuciem, z sercem, wszystko było jak wyjęte z najsłodszych snów poetyckich starej ciotki: ,,piękne'' i ,,czyste''. Gdy skończył poeta, ściskano mu dłoń, wołano ,,brawo!''. Ale kiedy na koniec tłusta pindula, niecierpliwie oczekująca swojej kolei, zerwała się i rzucając biustem na prawo i lewo, machając rękami, wytoczyła z siebie nowe pęki rymowanych szlachetności, ja mając we wnętrzu czerwone z białym nie wytrzymałem, parsknąłem w plecy Dipie, który też parsknął, ale, że to nie miał komu wsadzić w plecy twarz, parsknął i ryknął twarzą w twarz całemu zgromadzeniu!

Zgorszenie. Spojrzenia. Ale oto wstaje czcigodny laureat i kropi: że nie zasłużył sobie, chociaż może i zasłużył, ale raczej nie zasłużył, acz cokolwiek może zasłużył... Wzruszenie. Oklaski. Anioł-prezes-poeta dziękuje i zagrzewa... Atmosfera staje się tak wzniosła i słodka, że Dipi i ja dajemy drała najbliższymi drzwiami, zataczając się, pijani w pestkę, w pędzel, w sztok i w kitę!

Znowu skompromitowałem imię Polaka przed cudzoziemcami? Ależ w to mi graj, ,,to lubię'', jak mawiał Mickiewicz! I nie o to chodzi. Co innego tutaj mniej interesuje. Jak wyglądałaby wersja tego zdarzenia od ich strony, urugwajskiej?

,,Zblazowany, przemądrzały i dumny, europejski literat zadziera nosa gardząc naiwną może, ale z serca płynącą, świeżością urugwajskiej poezji!''.

Tymczasem — akurat na odwrót. Ja byłem wśród nich świeżością, bezpośredniością, szczerością, a oni — co tu gadać — byli bandą kombinatorów, fabrykujących sztuczną atmosferę wzajemnej adoracji, taniej szlachetności, bez której nie wyżyłyby ich poronione płody i niedonoszone osobowości.

To się zdarza, i jakże często, w sztuce — bukiety nieskalanej szlachetności śmierdzą, a właśnie pod maską cyniczną ukrywa się czystość duszy, naiwność, nie znająca zepsucia. Takie *qui pro quo:* prowincjonalny, młody poeta nie jest wcale niewinny... a ten co zęby zjadł na grzechach staje się czysty i prosty. Paryż bywa najbardziej naiwny, moralny...

Sobota

Plotki w ruchu! Następnego dnia Dipi spożywając kolację w Tip-Topie usłyszał, że przy sąsiednim stoliku omawia się *skandal w Związku Literatów* i *prowokację na bankiecie poetów*... i ktoś radził, żeby napisać do Ernesta Sabato z zapytaniem, czy list jego do Julio Bayce, rekomendujący mnie gorąco, jest autentyczny!

Poniedziałek

Książka szczególna, nigdy czegoś takiego nie czytałem, w szczególny sposób podniecająca. „Panorama des idées contemporaines" Gaëtana Picon. W polskim przekładzie to się nazywa „Panorama myśli współczesnej" i zostało wydane przez „Libellę" w Paryżu.

Dawno nie nurkowałem z takim zapałem, jak w tych siedmiuset stronach, wypchanych mądrościami najnowszymi, z ostatnich dziesięcioleci. Filozofia i nauki społeczne, sztuka i religia, fizyka i matematyka, historia i psychologia, ale także filozofia historii i problemy polityczne i współczesny humanizm... tom obejmuje główne rozgałęzienia nauki, nie dając wszakże suchego streszczenia, a tylko urywki dzieł najbardziej reprezentacyjnych. Jest to rodzaj antologii, gdzie na przykład filozofię historii referują teksty wybrane Dilthey'a, Lenina, Trockiego, Jaurèsa, Bierdajewa, Spenglera, Toynbee, Croce, Arona, Jaspersa, a teorię kwantów i związane z nią problemy — Broglie, Bohr, Einstein. Nie tu szukać wyczerpującego omówienia — ale za to co za wprowadzenie w styl dzisiejszej nauki, w jej ton, temperament, w jej „charakter" (bo mam wrażenie czasem, że nauka jest osobą) i w jej obyczaje! To tak jakbyś przysłuchiwał się zgromadzeniu najświetniejszemu, gdzie coraz inny mędrzec zabiera głos; jakaż sposobność żeby wsłuchać się w sposób mówienia...

Środa

Buenos Aires. Wywiad ze mną w Clarinie — zrobił go Pat Leroy (Zdzisław Bau). Clarin jest najpoczytniejszym dziennikiem w Argentynie, wywiad na dwie strony z wielką moją fotografią i z rysunkiem Quilomboflora — to narobi szumu. Powiedziałem m.in. — „Nie będąc premiowanym bykiem rasy Shorton, nie mogę aspirować do sławy w Buenos Aires".

Czwartek

A gdyby Sokratesowi ukazała się we śnie Kassandra z taką przepowiednią: — O, śmiertelni! O, rodzie człowieczy! Lepiej by wam było nie doczekać dalekiej przyszłości, która będzie pilna, skrupulatna, wysilona, gładka, płaska, nędzna... Niech by kobiety przestały rodzić — albowiem wszystko będzie się wam rodzić na opak, wielkość porodzi wam małość, siła-słabość, a z rozumu pocznie się głupota wasza. O, niech by kobiety zatłukły swoje niemowlęta!... bo funkcjonariuszy mieć będziecie za wodzów i bohaterów, a poczciwcy będą u was tytanami. Wyzuci zostaniecie z piękności, namiętności i rozkoszy... czeka was czas zimny, znużony i oschły. A tego wszystkiego dokona

z wami Mądrość wasza, która oderwie się od was i stanie się niepojęta, a także drapieżna. I nawet płakać nie będziecie mogli, gdyż nieszczęście wasze dziać się będzie poza wami!

Czy to bluźnierstwo przeciw Panu Bogu Najwyższemu? Stwórcy naszemu dzisiejszemu? (mowa naturalnie o nauce) Któż by się ważył! I ja leżę plackiem przed najmłodszą z Sił Stwarzających — i ja się korzę, hosanna, proroctwo niniejsze opiewa właśnie triumf wszechwładnej Minerwy nad jej wrogiem, człowiekiem. Przyjrzyjmy się tym ludziom przyszłości, ludziom naukowym — i dzisiaj ich nie brak, coraz gęściej się plenią. Jedno jest wstrętne w takim naukowcu: jego uśmiechnięta bezsilność, pogodna bezradność. Podobny jest rurze, która przepuszcza pokarm, ale go nie trawi; nigdy ta wiedza jego nie staje się w nim osobista; jest od stóp do głowy narzędziem tylko, instrumentem. Rozmawia się z takim profesorem, jak z rybą wyjętą z wody, każdy z nich umiera, gdy go wydobyć z jego specjalności — to jest zawstydzające, trzeba się czerwienić! Skromni? Ja na ich miejscu także byłbym skromny, jakże nie być, gdy nic z tego, co się osiąga, nie wchodzi w krew? Przeklęte ślepe kury, którym zdarza się ziarno! Ślepi murarze, od tysiącoleci kładący cegiełkę na cegiełce ale nie wiedzący co budują! Są pracownikami. Są współpracownikami. Jeśli jeden powiedział a, drugi mówi b, a trzeci c, i tak urabia się Zdanie dominujące, każdy jest funkcją każdego, każdy posługuje się każdym, wszyscy są zawsze sługami — wyssani przez wampira intelektu, zepchnięci w dół przez szybującą w górze Myśl, coraz bardziej nieosiągalną.

Jeszcze za mojej młodości śmiano się z profesora, abstrakcyjnego dziadka gubiącego kapelusz. Dziś już nikt się nie śmieje, zaczynamy się kurczyć, kulić, robi się nam jakoś niewyraźnie, gdy widzimy, jak dobrotliwe gremium specjalistów dobiera się nam do skóry — przetwarza nam geny — włazi nam w sny — przeinacza kosmos — zapuszcza igiełkę w centra nerwowe, obmacuje te organy nasze wewnętrzne, poufne, które nie powinny być dotykane! Ten rozpoczynający się bezwstyd, ta nikczemna bezceremonialność, to świństwo poczynające dziać się z nami jeszcze nas dostatecznie nie przeraża — ale wkrótce poczniemy wyć widząc, jak ta przyjaciółka, dobrodziejka, Nauka, coraz bardziej rozpętana, staje się bykiem biorącym nas na rogi, żywiołem bardziej nieobliczalnym od wszystkich, z jakimi dotąd mieliśmy do czynienia. Wzmagające się światło przeobrazi się w ciemność i znajdziemy się w nowej nocy, najgorszej.

Profesorowie kochają swoje żony. Są dobrymi ojcami. Przywiązanie ich do ogniska domowego jest potulne i błagające o przebaczenie, gdyż dobrze wiedzą, że nigdzie nie są u siebie w domu. Nie mówią żadnym językiem. Naukowiec zdradza zwykłą mowę ludzką na rzecz języka naukowego, ale tym także nie włada — to język włada nim, nie on językiem. Formuły formułują się same, to zamknięta dziedzina Abrakadabry. Póki jeszcze utrzymywała się mechanistyczna interpretacja zjawisk,

pół biedy — ale dziś, gdy mechanizm już nie zadawala i sięgamy po „całość" nie dającą się rozłożyć na części, a funkcjonalizm, finalizm i różnorodne współrzędności fascynują myśl naukową, wypowiedzi takiej biologii, czy psychologii, są sfinksowate, karkołomne, nie lepsze od fizycznych, lub matematycznych — lub filozoficznych.

Antologia Picona, wyżej wspomniana, jest doskonałym pokazem naukowego stylu w najrozmaitszych próbach, w tysiącu odmian, tu widać, jak im się ten język tworzy, co z nimi wyrabia. Widać jak na dłoni wzmagającą się konwulsyjność ekspresji, szalejącej z żądzy ujęcia tego, co nie da się ująć. To już jest cyrk. I jakiż inny mógłby być język mądrości zracjonalizowanej, międzyludzkiej, z pokolenia na pokolenie wciąż narastającej, która zwraca się przeciw samej naturze indywidualnego umysłu, aby zadać jej gwałt? Przymus wyrażenia niewyrażalnego staje się w ostatnich fazach rozwoju nauki tak przemożny, że to czyni jej wypowiedzi pokrewnymi filozofii. Przekład tekstów wybranych przez Picona, musiał być udręką, trzeba tutaj tłumaczowi wyrabiać ze słowami rzeczy brzydkie, tego nie da się uniknąć.

Ohydna obcość wiedzy... ona jest jak ciało obce wprowadzone w umysł, zawsze przeszkadza. Myślenie takie dźwiga się, jak ciężar, w pocie czoła — i nieraz nauka działa jak trucizna, a im słabszy umysł tym mniej znajduje antydotów i łatwiej ulega. Przyjrzyjcie się większości studentów. Skądże się bierze, na przykład, ich brak radości? Czy ich zmęczenie jest tylko następstwem nadmiernej pracy? Czyż ich reakcje nie zostały zatrute nałogiem fałszywej precyzji, przesadnego obiektywizmu, czy to nie wtrąciło ich sądów w niepewność, trwożliwość? Popatrzmy jak kult logiki zabija zrozumienie dla osobowości, jak pryncypia zastępują wrodzoną pewność siebie i swojej racji, jak teorie trzebią z piękna, wdzięku... tak oto powstaje typ nowoczesnego studenta („kolego, zdajecie?"), istoty dobrej, zacnej, pożytecznej, ale bladej... bladością księżyca, pozbawionej własnego światła i ciepła, odbijającej tamto straszliwe, niepojęte światło. Jeszcze może żywej, ale już o życiu osłabionym i jak gdyby wydanym spaczeniu.

Wstęp do rasy pigmejów ze spuchniętymi głowami, w białych kitlach?

Piątek

Czeka nas wynaturzenie i już dzisiaj należałoby do tego się przysposabiać. Nie przeczę, może nauka wprowadzi nas kiedyś do raju. Póki co jednak grozi nam seria operacji, zabiegów prawie chirurgicznych, zniekształcających (jak to bywa z pacjentami, którym zrobiono dopiero trzy operacje wstępne z serii dwunastu, mających ulepszyć im twarz).

Przetworzenie za pomocą techniki warunków życia, oraz

naszej struktury psycho-fizycznej, wytrąci nas z łożyska, zakłóci nas.

Piątek

Nauka ogłupia.
Nauka pomniejsza.
Nauka oszpeca.
Nauka paczy.

Czy scjentyfizm wyprze sztukę? Och, zupełnie nie obawiam się utraty wielbicieli!

Nie lękam się, iż ,,przyszłe pokolenia nie będą czytać powieści'' itd. Jest chyba zupełnym nieporozumieniem ujmować poważną sztukę w kategoriach produkcji, rynku, czytelników, pobytu, podaży — co to ma do rzeczy? — sztuka to nie fabrykowanie powieścideł dla czytelników, a obcowanie duchowe, coś tak napiętego i tak odrębnego od nauki, nawet sprzecznego, iż nie może tu być wzajemnej konkurencji. Jeśli urodzi się w przyszłości ktoś znakomity, wyższy, dostojny, zapładniający, olśniewający (tak trzeba mówić o artystach, to język, którego sztuka się domaga), jeśli urodzi się ktoś jedyny i niepowtarzalny, Bach, Rembrandt, to *zjedna sobie* niektórych ludzi, *urzeknie ich* i *uwiedzie*...

Póki istnieć będą ludzie wyżsi i niżsi, póty człowiek wyższy, wyrażający się w sztuce, będzie przyciągał... i nic jego istnienia nie osłabi.

Prawicie o zobojętnieniu na sztukę inżynierów, techników i innych funkcjonariuszy? Kiedyż był możliwy dialog między artystą, a kółkiem w maszynie? Natomiast co dzień stwierdzam, jak łasy na blaski artyzmu staje się ten co, wciągnięty w tryby, zachował dość człowieczeństwa aby poczuć, że mu łamią kości.

Kiedy do mego stolika w kawiarni przysiada się student nauk ścisłych by przyglądać mi się z politowaniem (jak ,,przelewam z pustego w próżne''), by gardzić (bo to ,,nabieranie gości''), by ziewać (bo ,,to się nie da sprawdzić w doświadczeniu''), nie staram się bynajmniej go przekonać. Czekam aż przyjdzie na niego fala znużenia i przesytu. Albowiem jest prawdą, że w nauce mniej o wiele nabierania, blagi i nie ma ,,brudu osobistego'', jakim cuchnie sztuka — tych tam ambicji, efekciarstwa, pozy, pretensjonalności, frazesu — ale jest też pewne, że tych gwarancji nauka udziela tylko dlatego, iż działa na terenie ograniczonym — i ta ,,pewność'' laboratoryjna staje się w pewnej chwili nienawistna i poniżająca dla natury niezupełnie miernej.

Inteligencja przeciętna kocha te końskie okulary na oczach ułatwiające równy kłus; ale inteligencja bardziej szparka i żywa zapragnie niepewności, ryzyka, gry sił bardziej zdradliwych i nieuchwytnych, gdzie się żyje... gdzie może uchować się polot, duma, żart, spowiedź, zachwyt, zabawa, walka.

Nadchodzi chwila, w której teoria staje się osobistym wrogiem; pragnie się człowieka, pragnie się go, jakim by nie był, mętny, kłamliwy, niesprawdzalny... byle by ujrzeć przed sobą ludzkość, znowu się jej dotknąć.

Niedziela

Wydawanie książek na dystans dziesięciu tysięcy kilometrów rujnuje nerwy!

,,Ferdydurke'' ukazała się w Niemczech bez komentarza, wyjaśniającego pobieżnie ,,o co właściwie chodzi'' — to spowodowało, że poniektóry krytyk i czytelnik nie wiedział od jakiego końca ją złapać. Napisałem więc zaraz do wydawcy angielskiego, aby uzupełnił wstęp takim krótkim wyjaśnieniem.

Nic z tego! ,,Ferdydurke'' angielska też ukazała się bez tych kilku zdań, tak jej potrzebnych.

Niech ukazuje się, jak chce, zdać to wszystko na łaskę Bożą i zamknąć oczy, niech samo się robi! Ale teraz widzę, jakim błogosławieństwem była świetna przedmowa Kota Jeleńskiego do wydania francuskiego — którą ja z początku powitałem histerycznym wrzaskiem, bo mi się wydała niewłaściwa.

Wtorek

Kiedyż przejdziemy do ofensywy?

Czy w końcu będziemy mogli — artyści — zaatakować człowieka nauki w imię bardziej błyszczącego człowieczeństwa? Zaatakować — z jakiej pozycji? Jakimi środkami? Czy w ogóle jesteśmy w stanie atakować? W ostatnich dziesięcioleciach sztuka zachowywała się podle — pozwoliła sobie zaimponować, nieomal padła na kolana, przyjmowała łapczywie wszystko z ręki wroga, zabrakło jej dumy i nawet zwykłego instynktu samozachowawczego. Wyniki?

Malarstwo najechane przez abstrakcję i inne koncepcje formy — wszystko z naukowej inspiracji — i coraz większy zanik w tej sztuce indywidualności, wyższości, talentu, robota coraz bardziej ,,demokratyczna'' i ,,obiektywna''.

Muzyka skorumpowana teorią, techniką, w ślad za czym — załamanie się osobowości i tak gwałtowne kurczenie się kompozytorów, że wkrótce już nie będzie wiadomo, jak się nazywają te karzełki.

I literatura piękna, której piękność wykańcza się z każdym rokiem, która stała się zła i brutalna, prawie rozwścieczona — lub wymiotująca — lub sucha i sztywna — analityczna, socjologiczna, fenomenologiczna, wypocona, nudna i nietrafna.

O jakim to ataku marzyć takiej sztuce, gdy nawet bronić się nie potrafi i jest już w połowie podbita? Nie dokonałyby tego teorie, gdyby artysta nie załamał się osobiście — znów po-

wracam do tego kluczowego słowa — i nie pozwolił aby mu się nadwątliła jego odrębność.

Indywiduum to orzech tak bardzo nie do zgryzienia, że żaden teoretyczny ząb nie da mu rady. Nic zatem nie zdoła usprawiedliwić waszej porażki, niedojdy!

Czwartek

List od Marii Dąbrowskiej — tak charakterystyczny, że waham się, czy go nie omówić w dzienniku.

Zdecydowałem się sam napisać przedmowę do francuskiego wydania ,,Pornografii''.

Quequen.

Santiago Achaval, Juan Santamarina, Paco Virasoro i Pepe Uriburu — młodzież z oligarchii, bogata. Ile mają braci i sióstr? Paco najmniej — tylko sześcioro. W sumie na nich czterech — czterdzieścioro z okładem rodzeństwa.

Niejaki Zuberbühler ma 80 kuzynów w pierwszym stopniu. Ta reforma rolna dokonywuje się w łóżku.

Fałszywa erudycja literatów to także skutek ich deprawacji przez naukę. Jakże łatwo uzbroić się w parę encyklopedii i sadzić cytatami, każdy to robi od felietonisty do laureata Nobla! I, co prawda, zawsze tak było. Ale żyjemy w erze demaskowania — dlaczegoż nikt nie ośmiela się wydobyć na światło dzienne nędzy cytatów?

Tabu! Wszystko, ale nie to! Wtedy bowiem okazałoby się, że najniezłomniejsi obnażacze prawd i dążyciele do bezwzględnej szczerości udają bardziej wykształconych, niż są. Cóż za brak godności!...

Sobota

Przewiduję, że sztuka już w najbliższych latach będzie musiała otrząsnąć się z nauki i zwrócić się przeciwko niej — to starcie nastąpi prędzej, czy później. Będzie to już bój otwarty, gdzie każda ze stron będzie miała pełną świadomość swojej racji.

Póki co wiele jest kamuflażu, podstępów i zdrady, nawet piątej kolumny nie brakuje. Taką piątą kolumną na terenie sztuki jest egzystencjalizm i fenomenologia.

Wydawałoby się, że egzystencjalizm przychodzi sztuce z odsieczą — ale ta przedziwna kurtyzana, zdradzająca wszystko ze wszystkim, może tylko skompromitować osobę, która się z nią zadaje. Ten ni pies, ni wydra, nie może w ogóle pretendować do formy — cóż więc ma wspólnego ze sztuką?

A jednak jest tak nęcący! Tyle w nim obietnic! Tkwi w nim natężone i nieprzekupne, zdawałoby się, dążenie do kon-

kretu, do osobowości... Cóż kiedy ta anty-abstrakcyjność nie może utrzymać się w myśleniu filozoficznym, jakie by ono nie było, gdzie schemat pojęciowy jest nie do uniknięcia. W rezultacie egzystencjalizm staje się pułapką: ta słoninka anty-racjonalistyczna ma znęcić łatwowiernych do jednej więcej klatki pojęciowej.

Każda postawa duchowa stwarza swój styl. Ale egzystencjalizm, poczęty z samych sprzeczności i nie mogący ich pogodzić à la Hegel (bo tu dialektyka zawodzi), nie prowadzi do żadnego stylu, lub raczej do jednego z najgorszych stylów, precyzyjnego, abstrakcyjnie konkretnego, subiektywnie obiektywnego, do gadaniny, która się rozłazi. Można by przysiąc, widząc tych myślicieli, że chcą tańczyć siedząc — takie to pedantyczne a lotne.

Wolę już fenomenologię; jest bardziej czysta pod względem formy. Można by nawet żywić nadzieję, że jest środkiem przeczyszczającym na wszystkie brudy scjentyfizmu w literaturze, proszę, czyż to nie nawrót do naturalnego, bezpośredniego myślenia, niepokalanie dziewiczego? W nawias wziąć naukę! Tego nam trzeba!

Miraż! Podstęp! Jeśli nie znosi nauki, to jak córka nie znosi rodzonej matki — kartezjańska, z naukowego ducha poczęta, beznamiętna, zimna, jak lód — i jej chłód trupi nie zda się nam na nic!

Poniedziałek

Bondy, redaktor ,,Preuves'', zjawił się w Buenos Aires poprzedzony biciem dzwonów w całej prasie. Czytając te artykuły byłem pewny, że na lotnisku powita go kupa dostojników z ambasadorem francuskim na czele i że będzie rozrywany co najmniej jak Barrault; postanowiłem więc zachować się dyskretnie i dopiero dnia następnego zgłosić się do hotelu, którym, mając na względzie kategorię gościa, mógł być tylko Plaza, albo Alvear.

Tymczasem, gdym tego dnia wrócił do domu, powiedziała mi Frau Schultze że zapytywał o mnie pewien pan i zostawił swój adres i nazwisko. Czytam: François Bondy, hotel City. Idę do City, o kilka kwadr ode mnie. Witamy się czule. Tłumaczę, dlaczego nie zjawiłem się wcześniej, że nie chciałem zabierać czasu.

— Ależ skąd, byłem na śniadaniu u Wiktorii Ocampo, ale teraz jestem wolny. Pogadamy!

Idziemy do kawiarni, gadamy, gadamy. Wieczór. Jeszcze raz sonduję ostrożnie czy nie idzie na obiad do ambasady, do Akademii Literatury, do Jockey Clubu... Nie, szczerze mówiąc nie ma nic do roboty i nie wie gdzie się podziać. Ja tego dnia byłem zaproszony na kolację do Zosi Chądzyńskiej — nie wiele myśląc biorę go ze sobą, Zosia, osoba światowa, nie zdradziła

się z siurpryzą, gdy znienacka wyłoniwszy go spoza mych pleców powiedziałem: — Bondy! Wita się jak gdyby nigdy nic. Jest u niej architekt Zamecznik, przybyły z Polski, ściągam telefonicznie Lubomirskich, organizujemy kolacyjkę (wysoce skromną, jak zawsze u Zosi; za to francuszczyzna pieni się, jak szampan...), ale w atmosferze zawisło coś niedopowiedzianego. Nad odchodnym panie mrużą do mnie oko: — Przyznaj się, kogoś przyprowadził? Kto to jest? Poeta? Włoch, czy co? Skądżeś go wydobył?

Myślały, że je nabieram! Ten ważny redaktor, którego trudno wyobrazić sobie bez czterech telefonów i trzech sekretarek, jest bardzo poetą. Jest nim tak bardzo, że czasem nam, poetom, nasuwa się podejrzenie iż ta indolencja, ta mina dziecka zgubionego, oczy chłonące, dziwna zdolność pojawiania się (zamiast żeby zwyczajnie wchodził), są aby nas zwabić i użyć na zimno dla swoich celów. Ale pocieszam się, iż politycy skłonni są, na odwrót, żywić obawę, że zimne talenty organizacyjne Bondy'ego są aby ich wystrychnąć na dudków i złapać w sidła poezji. Bondy należy chyba (mało go znam) do ludzi, których siła polega na *nieobecności:* on zawsze jest gdzieś poza tym, co robi, choćby jedną nogą gdzie indziej, mądrość jego jest mądrością cielęcia, które dwie matki ssie.

Wtorek

Ba! Gdyby mi ktoś powiedział, że artystom nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony egzystencjalizmu i fenomenologii, ponieważ artyści nie mają zielonego pojęcia o egzystencjalizmie i fenomenologii, odpowiedziałbym: — Tak, ale te mikroby są w powietrzu, one stanowią o klimacie naszego stulecia.

Sporo jeszcze mam do powiedzenia.

Jak zmobilizować się przeciw nauce? Z jakich pozycji uderzyć? Wynaleźć punkt oparcia, aby ruszyć z posad wzgardę, możność wzgardy... I ta przerażająca perspektywa coraz większego w nas rozdwojenia na homo sapiens i... i... i na co? Na to coś, co objawi się w przyszłej sztuce.

Witold GOMBROWICZ

Jeszcze o kapitalizmie amerykańskim

Od chwili zakończenia Drugiej Wojny Światowej nastąpił ogromny wzrost zainteresowania problemami ekonomicznymi. Zjawisko to nie ominęło i Polaków, zarówno w kraju jak na emigracji. Jednocześnie stosunkowo mało artykułów na te tematy ukazuje się w publikacjach emigracyjnych i dlatego też z zadowoleniem powitać należy artykuł Tadeusza Sołowija „Uwagi o kapitalizmie amerykańskim", zamieszczony w „Kulturze" z listopada 1960.

Zabieranie głosu na tematy ekonomiczne w pismach niefachowych jest rzeczą trudną, gdyż wymaga umiejętnego sterowania między Scyllą zawodowego żargonu a Charybdą zbytniego upraszczania skomplikowanych zjawisk. Artykuł Sołowija jest bardzo bliski uniknięcia obu tych skrajności. Nie jest on jednak pozbawiony pewnych frazesów, które amerykański ekonomista Galbraith nazywa „mądrością konwencjonalną" (*conventional wisdom*) i które znaleźć można w przemówieniach Eisenhower'a i członków jego dawnego gabinetu, w artykułach „Wall Street Journal", w dorocznych sprawozdaniach wielkich przedsiębiorstw amerykańskich, jak i w artykułach i audycjach przeznaczonych dla masowej konsumpcji. Pomimo to jednak Sołowij stara się przedstawić *historię* rozwoju gospodarki amerykańskiej w sposób obiektywny i inteligentny. Podkreślamy tutaj słowo „historię" gdyż stosunkowo mało miejsca poświęca on gospodarce amerykańskiej w A.D. 1960 i jeszcze mniej jej widokom na przyszłość, podczas gdy znaczna część jego artykułu dotyczy historii rozwoju tej gospodarki od początku 19-go wieku. Temat ten jest bezwątpienia bardzo interesujący i jest rzeczą oczywistą, że byłoby trudno pisać o dzisiejszym kapitalizmie amerykańskim bez podania jego historycznego tła. Z drugiej jednak strony wydaje nam się, że pytania postawione przez Sołowija na początku jego artykułu dotyczą przede wszystkim obecnego stanu tak jak i przyszłości systemu amerykańskiego, i że oba te

tematy zostały przez niego potraktowane po macoszemu. Co więcej, konkluzje Sołowija oparte są w dużej mierze na często zbyt powierzchownej ocenie obecnej gospodarki amerykańskiej.

Definicja systemu

Sołowij definiuje kapitalizm amerykański jako system, w którym ludzie będący ,,właścicielami przedsiębiorstw sami, lub przez swych pełnomocników, mają prawo dysponowania tymi przedsiębiorstwami''. System ten w teorii opiera się na trzech filarach: indywidualnej inicjatywie, systemie konkurencji i rentowności.

Trudno jest przyjąć taką definicję obecnego systemu. Jak to słusznie stwierdza ekonomista amerykański A. Berle (*The 20th Century Capitalist Revolution*), w określeniu obecnej formy gospodarki amerykańskiej używa się z zasady przestarzałych terminów. Tak jak marksiści atakują dzisiaj kapitalizm używając argumentów z połowy 19-go wieku, tak apologeci kapitalizmu sięgają jeszcze głębiej w historię, czerpiąc swe argumenty z Adama Smitha.

A więc nieprawdą jest, że społeczeństwo amerykańskie oparte jest na inicjatywie indywidualnej, według której sam przedsiębiorca decyduje co, ile i jak produkować, skoro 2/3 wartości majątku w przemyśle kontrolowane jest przez 500 spółek, z których każda z kolei zarządzana jest przez stosunkowo niewielką grupę manadżerów, z reguły nie będących właścicielami. Na dodatek element indywidualnego ryzyka został prawie że wyeliminowany w wypadkach, kiedy rząd rozwija nowe procesy produkcyjne (przemysł oparty na energii atomowej) lub gwarantuje kredyty zagraniczne. Ryzyko to jest również zmniejszone na skutek istnienia rynków oligopolistycznych.

Podobnie rzecz się ma z własnością prywatną. Jeżeli chodzi o przemysł to według Berle'a (*Power Without Property*) stanowi on własność prywatną w podobny sposób jak miejsce w pociągu. Jedną z cech własności prywatnej jest fakt, że właściciel może nią dysponować w dowolny sposób. Z wyjątkiem sklepików kolonialnych, dużej części gospodarstw rolnych, zakładów rzemieślniczych, niektórych barów i jadłodalni i wolnych zawodów — prywatna własność jest fikcją. Posiadanie jednej akcji *General Motors* uprawnia właściciela do biernego otrzymywania dywidendy i pięknie wydanego dorocznego raportu, jak również do głosowania na dyrektorów, z góry wyznaczonych przez manadżerów. Czasy, w których właściciele dużych pakietów akcji mogli wpływać na politykę danego przedsiębiorstwa dawno minęły. Nawet rodziny Rockefellerów, Fordów, Du Pontów czy Mellonów zachowują się teraz raczej pasywnie, pozostawiając decyzje w rękach manadżerów. Fakt, że w chwili obecnej istnieje tyle a tyle milionów posiadaczy akcji nie ma najmniejszego znaczenia dla gospodarki amerykańskiej,

chociaż fakt ten z dumą podkreślany jest na każdym kroku i chociaż nadejście ery „kapitalizmu ludowego" (*people's capitalism*) rozgłaszane jest na cały świat tak przez Głos Ameryki jak i przez Radio Wolnej Europy jako ostateczny krok uczyniony w kierunku idealnej demokracji ekonomicznej.

O stopniowym zaniku systemu konkurencji będzie mowa poniżej. Pozostaje więc jedynie rentowność jako podstawa dzisiejszego systemu amerykańskiego. Nie wydaje nam się jednak, aby była to cecha najważniejsza. Nawet w systemie sowieckim czy polskim pojęcie zysku nie zostało zlikwidowane. Wręcz odwrotnie, istnieje coraz to większa tendencja do podkreślania roli zysku jako miernika sprawności danego przedsiębiorstwa czy przemysłu. Poza tym termin „rentowność" sugeruje pojęcie maksymalizacji zysków. Tymczasem przedsiębiorstwa amerykańskie często świadomie powstrzymują się od zwiększania zysków, aby uchronić się od litygacji anty-trustowych, zapewnić sobie życzliwość konsumentów czy też zniechęcić potencjalnych konkurentów od wejścia do danego przemysłu.

Dlatego też uważamy, że definicja Sołowija określająca cechy kapitalizmu amerykańskiego nie dotyczy obecnego systemu, a odnosi się raczej do sytuacji sprzed lat. Czy wobec tego można w ogóle określić dzisiejszy system amerykański mianem kapitalizmu? Chyba tylko jako przeciwstawienie go systemowi sowieckiemu. Pojęcia takie jak wolność, demokracja, komunizm, socjalizm czy kapitalizm można zdefiniować na sto sposobów i wobec tego poprzestaniemy na stwierdzeniu, że uważamy dzisiejszy system amerykański za system przejściowy, prywatno-kolektywny, kontrolowany przez specjalną klasę manadżerską przy minimalnym udziale państwa. W systemie tym coraz większą uwagę poświęca się problemom dobrobytu, kontroli państwowej i sprawiedliwości społecznej. Zasięg zachodzących w nim zmian postaramy się nakreślić w dalszej części artykułu.

Czy system amerykański odpowiada wymogom społeczeństwa?

Pierwsze pytanie postawione przez Sołowija dotyczy tego „czy ustrój amerykański sprosta wymaganiom jakie społeczeństwo demokratyczne ma prawo mu stawiać". Odpowiadając na nie autor stwierdza, że jeżeli za cel polityki gospodarczej uzna się „podnoszenie dochodu społecznego przez najbardziej ekonomiczne wyzyskanie środków produkcji... to funkcjonowanie ustroju amerykańskiego w ostatnich 20 latach zasłużyło na bardzo korzystną ocenę". Ze zdaniem tym trudno nam się zgodzić. Przyjęcie powyższego kryterium mogłoby dać prymat państwu prowadzącemu politykę zbrojeniową, lub też, ogólniej, powodowałoby czysto formalistyczne posługiwanie się statystykami dochodu narodowego bez poświęcenia uwagi treści jego wzrostu. Rozwój gospodarczy nie może istnieć sam dla siebie, bez względu na człowieka, który jest przecież jego motorem

i przedmiotem. Utrata humanistycznej perspektywy doprowadzić może do istnienia systemu gospodarczego jako czynnika bezwzględnego, do produkcji dla produkcji, do podporządkowania człowieka maszynie ekonomicznej. Dlatego też, jakkolwiek dla celów statystycznych przyjąć można wzrost dochodu narodowego jako miernik wzrostu gospodarczego, pamiętać należy, że ostatecznym celem funkcjonowania systemu gospodarczego jest i powinno być zaspokajanie potrzeb ludzkich.

Sama wielkość dochodu społecznego, czy też absolutny jego wzrost, niewiele znaczy. Ważniejszymi aspektami są: poziom dochodu narodowego na głowę ludności, jego podział między spożycie, wydatki państwowe i inwestycje, czy też jego dystrybucja pomiędzy różne klasy społeczne. Dlatego też podnoszenie dochodu społecznego bez zwracania uwagi na wymienione powyżej aspekty, aczkolwiek ważne samo w sobie, nie może być jedynym celem polityki gospodarczej.

Trudno jest się nam również zgodzić z Sołowijem, że w Stanach Zjednoczonych ma miejsce „najbardziej ekonomiczne wykorzystanie środków produkcji". Pełne wykorzystanie środków produkcji, czyli innymi słowy maksymalizacja produkcji przy minimalizacji kosztów nie istnieje poza podręcznikami teorii ekonomii. Można się zgodzić, że zadaniem polityki gospodarczej jest dążenie do takiego ideału, ale trudno przyznać, że obecna struktura rynku amerykańskiego sprzyja jego spełnieniu.

Nawet gdyby można przyjąć postulaty Sołowija co do celu i metod amerykańskiej polityki gospodarczej, to naszym zdaniem system amerykański nie zasługuje na *bardzo* korzystną ocenę.

Ponieważ uważamy, że Sołowij nie dał zadawalającej odpowiedzi na postawione przez siebie pytanie, spróbujemy odpowiedzieć na nie sami. A więc czego wymagać może i powinno społeczeństwo od systemu gospodarczego? Wydaje nam się, że każdy system powinien gwarantować następujące postulaty: zaspokojenie popytu, utrzymywanie cen na poziomie uniemożliwiającym osiąganie zbyt wysokich zysków i ciągłość w zatrudnieniu. Pomijamy tu zupełnie rozważanie dezyderatów dobrobytu (*welfare*) tak ze względu na ich kontrowersyjność, jak i z powodu braku miejsca na ich nawet pobieżne rozpatrzenie. Stwierdzamy tu tylko, że artykuł Sołowija nie zawiera nawet wzmianki o możliwości zastosowania kryterium dobrobytu do analizy gospodarki amerykańskiej.

1. *Zaspokojenie popytu*

Ktokolwiek był czy mieszka w Stanach Zjednoczonych wie, że spożycie odgrywa bardzo ważną rolę w gospodarce amerykańskiej. Społeczeństwo amerykańskie jest prototypem społeczeństwa opartego na masowej konsumpcji (*mass consumption*

society). Ciągle podkreśla się tu, że cały system skierowany jest na zaspokojenie konsumpcji (*consumer-oriented economy*), a tzw. suwerenność konsumenta (*consumer sovereignty*) uważana jest za alfę i omegę ideologii *business*'u amerykańskiego. Nie ulega kwestii, że ogólnie rzecz biorąc, popyt na większość produktów zaspakajany jest z nadmiarem. Dzisiejszy konsument amerykański nie zna pojęcia ogonków, racjonowania czy czarnego rynku. Jak stwierdził wspomniany już powyżej Galbraith w swym *The Affluent Society*, więcej ludzi w Ameryce umiera z nadmiaru aniżeli z braku żywności, a każda dodatkowa tona pszenicy czy masła staje się raczej ciężarem aniżeli błogosławieństwem. Ameryka stała się już w dużym stopniu społeczeństwem opływającym w dostatki (*affluent society*) i lansowane dzisiaj neoklasyczne teorie ekonomiczne, oparte przede wszystkim na pojęciu ,,ograniczoności'' (*scarcity*), zaczynają tracić rację bytu w zastosowaniu do całości systemu.

Nie znaczy to jednak, ze wszystkie potrzeby zaspakajane są w podobny sposób. W prasie amerykańskiej na każdym kroku podkreśla się, że miasta amerykańskie należą do najbrudniejszych na świecie, że szkoły są przepełnione, że większość dróg wymaga naprawy lub przebudowy, że większość nauczycieli, urzędników czy pielęgniarek zarabia stosunkowo niewiele. Jesteśmy tutaj świadkami paradoksu ubóstwa wśród bogactwa i warto zastanowić się nad jego przyczyną.

Wielu ekonomistów czy socjologów amerykańskich przypisuje istnienie tego zjawiska tradycyjnej niechęci i podejrzliwości społeczeństwa amerykańskiego do instytucji państwowych. Według klasycznej teorii ekonomicznej, stanowiącej jeszcze dzisiaj credo amerykańskich *businessmen*'ów, państwo miało za zadanie jedynie zapewnić bezpieczeństwo i porządek, tworząc w ten sposób klimat dla swobodnego funkcjonowania gospodarki. Każda akcja pociągająca za sobą wydatki ze strony rządu uważana była i jest za zło konieczne, za ciężar, który należało redukować do minimum. Cokolwiek wykonywała inicjatywa prywatna musiało mieć swój cel, z reguły było konieczne i pożyteczne i przyczyniało się do zwiększenia dobrobytu *całego* społeczeństwa. Odwrotne kryteria stosowano do inicjatywy publicznej.

W rezultacie przemysł amerykański produkuje miliony samochodów, które jeżdżą po złych i zatłoczonych drogach i których nie ma gdzie parkować; ludzie gotowi są kupować froterki i elektroluksy, ale nie chcą wydać grosza na czyszczenie ulic czy parków; ci sami ludzie narzekający na brak nauczycieli, protestują przeciw podwyższeniu podatków przeznaczonych na szkolnictwo. Sfery *business*'owe popierają taką postawę społeczeństwa, na każdym kroku oskarżając rząd o niepotrzebną ingerencję, hamowanie swobodnego funkcjonowania gospodarki, lub wręcz o usiłowanie wprowadzenia komunizmu, który dla przeciętnego *businessman*'a oznacza bodajże wszystko z czym on się nie zgadza.

Na tym jednak sprawa się nie kończy. Ponieważ większość podstawowych potrzeb ludności zaspakajana jest zwykle z nadmiarem, inicjatywa prywatna zmuszona została do tworzenia nowych potrzeb jak również do ułatwiania konsumentom ich zaspakajania. Pierwsze zjawisko przejawia się w ogromnym i wzrastającym znaczeniu reklamy, która dominuje życie codzienne w sposób co najmniej ogłupiający. Nie będziemy się tutaj zagłębiać w arkana ekonomiki reklamy, wystarczy jednak stwierdzić, że konsumentom wmawia się najróżniejsze potrzeby, bez których rzekomo nie mogą się oni obejść. Doprowadza to do istnienia konsumpcji dla konsumpcji, do błędnego koła troski o zdobywanie coraz to innych symboli dobrobytu materialnego, bez względu na ich przydatność. Koszt społeczny reklamy wynosi dziesiątki miliardów dolarów i pokrywany jest w całości przez biernych konsumentów. Drugą metodą podnoszenia konsumpcji jest ułatwianie konsumentom nabywania produktów, głównie domów i dóbr trwałej konsumpcji na spłaty. Ogromny wzrost długu konsumpcyjnego w ostatnich latach nie powoduje w zasadzie żadnych trudności dopóki istnieje wysoka koniunktura. Załamanie się jej może spowodować przez reakcję łańcuchową likwidacji ratalnego długu i związanych z tym trudności finansowych progresywne dalsze załamywanie się całego systemu przez spiralę spadku wydatków i dochodów.

Tak więc należy stwierdzić, że aczkolwiek amerykański system gospodarczy zaspakaja większość podstawowych potrzeb z nadmiarem, to cały szereg innych, również podstawowych potrzeb, traktuje co najmniej po macoszemu, przede wszystkim dlatego, że trudno jest je zaspokoić w ramach systemu opartego na zysku. Co więcej, w poszukiwaniu coraz to innych rynków zbytu ucieka się on do sposobów kosztujących społeczeństwo zbyt wiele w stosunku do zadowolenia uzyskiwanego z zaspakajanych potrzeb.

2. *Utrzymywanie cen na poziomie uniemożliwiającym osiąganie zbyt wysokich zysków*

Teoria ekonomii mówi nam, że cena jest w zasadzie wypadkową dwóch sił, odźwierciadlając z jednej strony intensywność popytu a z drugiej koszt produkcji, łącznie z zyskiem. Idealnie, cena powinna równać się kosztom krańcowym, kiedy to, w warunkach konkurencji, przedsiębiorca otrzymuje swój normalny zysk. Każde odchylenie się od tej sytuacji oznacza, że dane przedsiębiorstwo, a zarazem cała gospodarka, nie wykorzystuje w pełni swego potencjału i że jednocześnie powstają w systemie zbyt wysokie (*abnormal*) zyski.

Wydaje się, że jednym z zadań systemu gospodarczego powinno być dążenie do minimalizacji odchyleń od idealnej sytuacji rynkowej. Wiadomo, że konkurencja doskonała istnieje jedynie w teorii a w praktyce przeważają monopole, oligopole, kartele

i inne zgrupowania producentów. Nie mamy zamiaru zagłębiać się w przyczyny takiego stanu rzeczy i przyjmujemy istnienie jego jako *datum*. Nasuwa się tu jednak pytanie, czy zbyt wysokie zyski, i stąd wysokie ceny, powstające w wyniku braku konkurencji na rynku, nie są nieproporcjonalnie duże w stosunku do kosztów i czy nie możnaby ich obniżyć.

W większości wypadków wysokie ceny tłumaczy się koniecznością poważnych wydatków na badania (*research*) i innowacje, bez których nie ma mowy o postępie technicznym. Jest to jeden ze standartowych argumentów mających na celu obronę monopoli, używanych ciągle jeszcze zarówno przez *businessmen*'ów jak i profesorów ekonomii. Chociaż nie ulega wątpliwości, że coraz to większe nakłady przeznaczone są na badania, postęp techniczny jest bardzo nierównomierny i tylko w niewielu wypadkach daje konsumentowi korzyści poprzez zniżkę cen.

Po drugie, wysokie zyski są rzekomo niezbędne w celu skłonienia potencjalnych inwestorów do zainwestowania ich funduszy, zapewniając w ten sposób zatrudnienie, zwiększając dochód społeczny, ogólny dobrobyt i potencjał gospodarczy. Trudno się dziwić, że inwestorzy nie są z natury altruistami i że starają się zapewnić sobie jak najwyższe zyski.

Po trzecie, w związku z poprzednim argumentem twierdzi się, że zyski automatycznie reinwestowane są w przedsiębiorstwie. Innymi słowy, wysokie zyski doprowadzają do wysokich inwestycji.

Żaden z powyższych argumentów nie trafia nam do przekonania. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w dużej ilości wypadków ceny na rynku amerykańskim mają charakter cen monopolistycznych i że jako takie są sztucznie zawyżone ponad poziom kosztów. Wobec tego zbytni zysk powinien być zmniejszony, lub co najmniej jego stopa powinna być ustabilizowana. Zysku nie można całkowicie wyeliminować nie zmieniając tym samym struktury gospodarki amerykańskiej. Jedynym bodajże sposobem stabilizacji zysków byłoby wprowadzenie kontroli cen i płac, na co również się nie zanosi. Trudno sobie także wyobrazić obniżenie stopy zysku przez sztuczne stworzenie konkurencji. Jest rzeczą nad wyraz wątpliwą czy istniejące przedsiębiorstwa oligopolistyczne dobrowolnie dopuściłyby nowych konkurentów, a nawet gdyby to nastąpiło to koszt wejścia (*cost of entry*) do większości przemysłów jest prohibicyjnie wysoki.

Oligopolistyczna organizacja rynku oznacza również, że nawet w okresie niskiej koniunktury większość cen pozostaje bez zmian lub wzrasta. Ekonomista amerykański Means wykazał, że cały szereg cen pozostawał przez długie okresy czasu bez zmian pomimo wahań w popycie. Znanym dowodem istnienia ,,cen administrowanych'' (*administered prices*), wspomnianych również przez Sołowija, to okres zwyżki cen w latach 1955-58, w czasie pokoju, równowagi budżetowej i konserwatywnej polityki monetarnej. Klasyczne źródło inflacji, a mianowicie nad-

mierny popyt, nie istniało wtedy, a mimo to ceny wykazywały tendencję zwyżkową.

Brak, czy też prawie kompletny zanik, konkurencji nie ogranicza się bynajmniej do producentów. Podobne zjawisko ma miejsce na rynku pracy W rezultacie mamy do czynienia z konkurencją dwóch monopoli, przedsiębiorców i związków zawodowych, która z zasady kończy się zwyżką cen lub długotrwałym strajkiem, obniżeniem dochodów realnych reszty ludności i marnotrawstwem zasobów.

Ogólnie rzecz biorąc nie wydaje nam się, aby system gospodarki amerykańskiej spełniał postulat gwarantowania takiego poziomu cen, któryby eliminował zbyt wysokie zyski. Istniejące odchylenia cen od kosztów napewno nie są ograniczane do minimum, a wręcz przeciwnie, marże te albo pozostają na niezmienionym poziomie albo też wzrastają, utrudniając optymalne funkcjonowanie systemu gospodarki amerykańskiej.

3. *Ciągłość zatrudnienia*

Od końca Drugiej Wojny Światowej gospodarkę amerykańską można by scharakteryzować jako gospodarkę mniej lub więcej pełnego zatrudnienia. Jak słusznie zauważył Sołowij wysoka koniunktura w latach powojennych spowodowana była głównie likwidowaniem oszczędności nagromadzonych przez ludność w latach wojennych, jak również programem inwestycji mających na celu wyrównania luk w kapitale, którego nie odnawiano w czasie wojny. Czynniki te, jak również wysoka stopa urodzeń, rozwój nowych przemysłów (urządzenia klimatyzacyjne, telewizja, rakiety, energia atomowa) i ciągły wzrost wydatków na badania, powodowały, że procent bezrobotnych był stosunkowo niski. Jednocześnie jednak wydatki na zbrojenia przyczyniały się walnie do utrzymywania wysokiej koniunktury. Dla przykładu w latach 1947-1957 wydatki te wyniosły ponad 325 miliardów dolarów, więcej aniżeli wartość inwestycji w sektorze prywatnym, z których spora część była i tak wynikiem zapotrzebowania ze strony państwa.

Toteż automatycznie nasuwa się pytanie, jak przedstawiać się będzie sprawa pełnego zatrudnienia, jeżeli nastąpi ogólne rozbrojenie lub też wydatki na obronę zostaną ustabilizowane. Należy się spodziewać, że pociągnie to za sobą wzrost bezrobocia, któremu można będzie zapobiec albo przez podniesienie poziomu inwestycji prywatnych, albo wydatków ze strony państwa. Inwestycje prywatne opierają się w dużej mierze na popycie konsumentów, który, jak to stwierdziliśmy powyżej, jest już w dużym stopniu nasycony — lub nawet przesycony — tak, że nie można nań zbytnio liczyć. Pozostają więc wydatki z budżetu państwa. Tutaj, jak to również zostało już stwierdzone, istnieją ogromne możliwości w dziedzinie szkolnictwa, opieki społecznej, gospodarki mieszkaniowej czy komunikacji.

Słowem, wybiegając myślą w przyszłość, nie wydaje się nam, aby obecny system gospodarki amerykańskiej był w stanie zapewnić ciągłość zatrudnienia na dłuższą metę bez powiększenia roli sektora publicznego. Należy również zaznaczyć, że sytuacja w ostatnich latach nie tak znów bardzo odbiega od sytuacji w latach 20-tych zakończonych długotrwałym kryzysem. W latach tych Stany Zjednoczone przechodziły również przez *boom* demograficzny i również miał miejsce szybki wzrost nowych przemysłów wytwarzających samoloty, radia, filmy i przedmioty domowego użytku. Jedyną poważną różnicą w porównaniu z okresem lat 20-tych jest istnienie w chwili obecnej pokaźnego sektora publicznego, z obroną narodową jako najważniejszym jego składnikiem. Można tutaj zaznaczyć, że amerykańskie sfery *business'*owe na ogół nie sprzeciwiają się wydatkom obronnym, które nie konkurują z inicjatywą prywatną, a które wywierają duży wpływ na ogólną koniunkturę.

Powiększenie wydatków państwowych jest przeto nieuniknione celem utrzymania względnie pełnego zatrudnienia. Pomijamy już tutaj problemy związane z automatyzacją, jak również problemy związane z polityką związków zawodowych, których często krótkowzroczna taktyka prowadzi niejednokrotnie do długotrwałych strajków i zahamowania koniunktury. Dopóki jednak stojące przy władzy czynniki rządowe domagać się będą jednym tchem pełnego zatrudnienia, stałych cen, niskich podatków i potężnego potencjału obronnego, trudno spodziewać się jakichś radykalnych zmian w obecnym systemie, jak również trudno oczekiwać definitywnego rozwiązania problemu bezrobocia.

Czy obecny system przetrwa?

Drugim pytaniem, nad którym zastanawia się Sołowij, jest to, czy obecna forma systemu amerykańskiego skazana jest na zagładę, czy też ma ona widoki na przetrwanie. Dodać tutaj można jeszcze pokrewne pytanie czy obecny system, nawet gdyby przetrwał w mniej lub więcej tej samej formie, zdolny jest zagwarantować wysoką stopę wzrostu. Kwestia ta, tak ważna w chwili obecnej, została prawie że w cytowanym artykule pominięta.

Przez słowo ,,zagładę'' rozumiemy tutaj zajście w gospodarce amerykańskiej tak daleko idących zmian, że z obecnej jej formy nie pozostałoby ani śladu. Przychodzi tu na myśl możliwość zaistnienia na gruncie amerykańskim systemu sowieckiego. Pomijając tutaj sposób, w jaki system ten mógłby przeszczepić się (klęska militarna, rewolucja), jest rzeczą paradoksalną, że tego rodzaju przejście do nowych form nie oznaczałoby wcale nastąpienia zasadniczych zmian w obecnym systemie amerykańskim. Innymi słowy, wydaje się nam, że pomiędzy oboma systemami zachodzi więcej podobieństw aniżeli różnic.

Następujące fragmentaryczne porównanie, oparte głównie na A. Berle, *Power Without Property,* wykazuje jak dalece kapitalizm przestał być zjawiskiem typowym dla systemu amerykańskiego a przemienił się w system o cechach bardziej uniwersalnych.

(1) System amerykański jest w zasadzie pluralistyczny, tj. decyzje ekonomiczne pobierane są w wielu ośrodkach dyspozycyjnych. Występuje w nim jednak warstwa manadżerów, jednolita światopoglądowo, o takich samych zainteresowaniach, wykształceniu, członkostwie w tych samych stowarzyszeniach, czytająca te same pisma, spotykająca się na posiedzeniach dyrektorów różnych firm. Istnienie takiej warstwy w praktyce stwarza warunki dużej jednolitości decyzji.

System sowiecki jest formalnie monolityczny. W systemie tym, poza niedawną decentralizacją gospodarki powstały odrębne ośrodki zainteresowania (*interest groups*) w poszczególnych departamentach, ministerstwach i republikach. Powstała tam także osobna klasa specjalistów i ekspertów (opisana w ,,Nowej Klasie'' Dżilasa), o własnych zainteresowaniach i poczuciu jednolitości. Widzimy przeto, że pluralistyczny system amerykański wykazuje cechy ujednolicenia, podczas gdy monolityczny system sowiecki zdradza tendencje pluralistyczne.

(2) W systemie amerykańskim podział dochodów zachodzi według dość ezoterycznie pojętego ekonomicznego ,,wkładu''. Zaznacza się tu jednak tendencja do zmniejszania różnic w dochodach po potrąceniu podatków. W systemie sowieckim podział dochodów miał następować teoretycznie według zasad egalitarnych, w praktyce jednak względy biurokratyczne i ekonomiczne wprowadziły poważne odchylenia od tych zasad.

(3) Mimo popularnie głęboko w Stanach Zjednoczonych wszczepionej niechęci do planowania gospodarczego planowanie takie bezsprzecznie występuje w formie regulowania działalności gospodarczej przez różnorakie agencje rządowe, tak federalne jak i lokalne. Planowanie występuje również na szczeblu przedsiębiorstw, szczególnie w dziedzinie inwestycyjnej. W systemie sowieckim istnieje planowanie centralne. Coraz więcej jednak funkcji planowania przenosi się na podrzędne jednostki. Poza tym w organizacji funkcyjnej planowania dużą rolę w inicjowaniu propozycji dotyczących programów pozostawia się przedsiębiorstwom.

(4) Gromadzenie oszczędności jest w Stanach Zjednoczonych formalnie funkcją indywidualnych decyzji. Coraz większa część tej akumulacji staje się obecnie zinstytucjonalizowana przez oszczędzanie w ramach przedsiębiorstw, planów emerytalnych, ubezpieczeń na życie itp. Szczególnie akumulacja finansowa przedsiębiorstw jest wynikiem decyzji ich dyrektorów, pobieranych niezależnie od życzeń akcjonariuszy.

W systemie sowieckim oszczędzanie odbywa się na podstawie decyzji centralnych i jest od konsumenta formalnie niezależne. Ostatnio jednak nacisk ze strony ludności spowodował w Związ-

ku Sowieckim przesunięcie się środków w stronę konsumpcij, a więc relatywne zmniejszenie oszczędności.

(5) W dziedzinie dyspozycji kapitałem tak w Stanach Zjednoczonych jak i w Rosji Sowieckiej decyzje inwestycyjne pobierane są przez nieliczną grupę ludzi. W Stanach Zjednoczonych inwestycje dokonywane są w zasadzie po linii preferencji konsumentów, podczas gdy w Rosji Sowieckiej duża chłonność rynkowa w połączeniu z niską produkcją artykułów konsumpcyjnych powodują, że w decyzjach inwestycyjnych życzenia konsumentów mogą ciągle jeszcze mało być brane pod uwagę. W miarę jednak podnoszenia się produkcji w Rosji preferencje konsumentów będą odgrywać coraz to większą rolę. Świadczą już o tym wiadomości o zniżkach cen oraz zmniejszeniu produkcji artykułów ,,niechodliwych''.

(6) W dziedzinie szkolnictwa i nauki, począwszy od pomocy przy budowie szkół, a kończąc na przyznawaniu dużej ilości kontraktów badawczych uniwersytetom, system amerykański przesuwa się stopniowo w stronę finansowania przez państwo. Czy nauka sowiecka zdolna jest zapewnić sobie większą niż dotychczas niezależność od wpływów państwowych, jest rzeczą sporną.

Naszkicowana powyżej tendencja do upodabniania się treści odmiennych systemów gospodarczych nie pozostaje bez logicznego uzasadnienia. Napotykając podobne problemy gospodarcze, technologiczne i socjalne, systemy te znajdują podobne rozwiązania i wytwarzają podobne formy. W chwili obecnej zarówno Rosja Sowiecka jak i Stany Zjednoczone wykazują duże różnice w porównaniu z tymi samymi państwami z lat dwudziestych czy nawet trzydziestych. Wyższe stadium rozwoju gospodarczego wymaga zmian instytucjonalnych i konieczność ta dotyczy każdego systemu. W miarę postępującego rozwoju gospodarczego oba systemy, amerykański i sowiecki, ulegać będą dalszym przemianom i można spodziewać się, że w przyszłości podobieństwo między nimi jeszcze bardziej się zwiększy.

Przetrwanie obecnego systemu amerykańskiego wiąże się z utrzymaniem wysokiej stopy wzrostu. W obecnej chwili stopa ta nie jest jednak zadawalająca. Jak już wspomnieliśmy o tym powyżej obecny system amerykański jest w stanie zagwarantować względnie pełne zatrudnienie i wysoką koniunkturę opierając się w dużej mierze na wydatkach obronnych. Wyraziliśmy również przekonanie, że inwestycje i spożycie prywatne, które do tej pory były źródłem ekspansji gospodarczej, są prawdopodobnie niewystarczające dla utrzymania wysokiej stopy wzrostu (powyżej 5 procent). Wobec tego jedynie duże zwiększenie inwestycji i innych wydatków państwowych może stopę taką zagwarantować. Zwiększenie wydatków państwa na skalę niespotykaną dotychczas w dziejach Ameryki wywołać musi zmiany w istniejącym systemie. Jeżeli państwo nie zwiększy swej roli w życiu gospodarczym Stanów Zjednoczonych, istnieje duże prawdopodobieństwo, że będą one skazane na stagnację. Kapitalizm zaw-

sze chełpił się swą wydajnością w każdej dziedzinie i wobec tego nie jest wykluczone, że stagnacja stać się może większym niebezpieczeństwem dla obecnego systemu amerykańskiego aniżeli częściowe nawet uspołecznienie czy wprowadzenie gospodarki planowej.

Konkluzja

Doszliśmy więc do wniosku, że kapitalizm amerykański nie odpowiada w rzeczywistości utartym pojęciom. Zdołał on wprawdzie przystosować się częściowo do nowych potrzeb prymatu państwa, dobrobytu społecznego, niesienia pomocy gospodarczej dla innych krajów, skomplikowanej wiedzy fachowej i masowej produkcji, wymagającej dużych wkładów kapitałowych, ale nie rozwiązał całkowicie pewnych ważnych zagadnień dotyczących zaspokajania popytu, polityki cen i utrzymania pełnego zatrudnienia. Zmiany jakie w nim dotychczas zaszły miały charakter ewolucyjny, pozostawiając wrażenie ciągłości i nawet statyczności. Powstaje jednak pytanie, czy w obecnej atmosferze rewolucyjnych wprost przemian zachodzących na całym świecie Stany Zjednoczone pozwolić sobie mogą na stopniową i raczej powolną ewolucję swego systemu i na niską stopę wzrostu. Kwestia ta była poruszona przez kandydata partii demokratycznej podczas ostatniej kampanii wyborczej i fakt, że Kennedy został wybrany na prezydenta świadczy o tym, że duża część społeczeństwa amerykańskiego zdaje sobie sprawę z ważności problemu przyspieszenia wzrostu gospodarczego.

Andrzej KORBOŃSKI i B. MIECZKOWSKI

Wiersze

NA ŚMIERĆ POETY

Nad mogiłami jesteśmy najsłodsi
kirem pokryte nasze zjednoczenie
ale gdy człowiek do życia się garnie
jeść chce
a nie chce kraść albo nie umie
wtedy trzymamy się lisio na boku
jak grabarze.

Czym jest poeta
który wśród obcych
chce tworzyć pieśń?
Wiersze nie napełnią mu garnka
a pochwał zdawkowych
nie przyjmie mleczarz
w sobotę rano.

I po cóż takim na świecie żyć?
Gdy nie chcą chodzić pod rączkę
z możnymi
gdy od korytka radiowego stronią
gdy nie przyjmują od ojczyzny żołdu
po co im żyć?

Twoim wdowim groszem
karmione szakale
czarno zawyły
a potem zmilkły
i już się twej ciszy
bać nie przestaną.

I gryźć się będą
że kuci byli, gdy ty byłeś słaby
że szczwanie żyli
obok twojej biedy
z dwiema lewymi rękami.
Będą orkiestrą na twoim pogrzebie
porażoną dotkliwie
delikatnością twojego wspomnienia
chłopięcą duszą, ogromem człowieka.

SURREY W LISTOPADZIE

Jeszcześ urody całej
nie straciła
wsi
gospodarzu mój
zbyt rzadki.

Sopel lodu — czapla
śledzi leniwą wodę.
Bażant krzykliwą sprzączką
utkwił w dojrzałej zieleni
pulsującej
kurkami wodnymi.
Ziąb naszedł gniazda
przezornie puste.
Szkielety drzew
brodzą po kolana
w spalonych liściach.

Idzie czas smętku.
Przez zimne opary
boi się wyjrzeć słońce
i tylko nisko
nad horyzontem się skrada
jak lis do strzeżonej zagrody.

CIEŃ W ZARANIE

Kiedy na ciebie patrzę
moja ukochana
nie pomnę ważnych słów
kto i dlaczego.
Niepokój spełza na krawędź

myśli gołębiem potulnym
do domu wracają.
Wtenczas widzę się w ciszy
w prostocie całej
z dworskości odarty
i koronkowych fraz.
Nawet uczucie przestaje
na słowach najbliższych.

Tak miłość trawi nas
tak na pustynię pędzi.
A na pustyni
wiatr podnosi piaski
i kładzie je na powrót
kiedy przeminie szał.
Lecz chłód jesienny
płoszy zlękłe liście
targa owoce
druzgoce konary
ściera puszystość
i krągłości drąży.

Tak i radości nasze
wnet przeminą.
Wdzięki odmienią przyjaźń
najgorętszą
i stawszy się wprzód jednym ciałem
będziemy by stygnące meteory
których kres w jednej ziemi.

O ukochana!
Znajdziemy w sobie tyle mocy
aby nie wyciąć drzewa
co rodzić przestało?
Czy wzrok łakomy
lustrujący stare
zgrzybiałe gałęzie
uśmierzy pamięć na czas zieloności
czy ułagodzi westchnienie?

Kiedy odejdzie smak
owoców nie pragnąć
fraszka.
Lecz gdy z pięknością
nie szczeźnia łaknienie
podwoje piekieł
otwarte.

Starzy patrzą bezwiednie
na ognie jesienne

palące się w lasach
i traktach rozmokłych.
Symfonii żółci nie widzą.
Nawet owoc rumiany
nie cieszy ich oczu
utkwionych
w niemy rozpad
trwania.

O uciszenie dni
półsennych i siwych
laską podpartych
o ukochana
dziś
kiedy twoje jagody
mówią świeżością
godzi się troskać
i w klęskę ubierać
w samo zaranie
naszej miłości?

Florian ŚMIEJA

SAM NA SAM Z UCZONYM

Badasz szrony runiczne i właściwości metali:
Prężność gazów, tężenie płynów, ciepłotę, ciężar i ruchy powietrza.
Utrwalasz łańcuchy wybuchów, drgania, wstrząsy, przenikanie.
A jednak cóż wiesz o materii? Poza zjawiskami
Żyjącymi w dzikusie poprzez doświadczenie,
Ciągłość ciałek krwi, dziedzictwo komórek,
Zwięzłe zwoje mięśni w stopach albo w krtani!
Co wiesz o wzroku matki, co jak pocisk w lufie
Zmartwiał, kiedy jej córkę ze złotych warkoczy ostrzygli?
Shańbili, a potem zabili w gazowej komorze.
Co wiesz o Oświęcimiu i Workucie? O młodej żonie co od ściany bledsza
Uczuła śmiertelny postrzał w białych piersiach, gdy pod nimi,
Jak w bezpiecznym schowku rósł poczęty syn? Podkutymi butami
Zadeptano oboje. Twardniejącymi wargami szeptała: — „Jezu, Jezu ukochany!” —

Nie chcesz nic wiedzieć. Co wiesz o żarach, gdy się w oczach pali

Wszystko w coś wierzył? A nastają czasy, chórem
Zabijające całe narody; epoki wstydu, hańby i zagłady.
Mory, pożary, zdrady, znikczemnienie.
Wiem, że pytając o to, ja cię nie zatrwożę,
Uczony głupcze. Usiądziesz znowu przy stole w swym
[laboratorium
Badać narządy trawienne much, gdy czarne dymy walą
[z krematorium.

Ślęczysz nad wziernikiem w Nowym Yorku, Berlinie, Bristolu,
[Paryżu i Ufie.
Skrzypią srebrne dźwigi, trzeszczą zegary, retorty, kotły,
[ciepłomierze, skuwki,
Lancety, sprężyny, ochraniacze, butle. Badasz minerały, gady,
Lilie, kaczki, hel, uran, oceany, pajęczynę, sny i czerwone
[mrówki.
Znasz syk acetylenu, rtęć, promieniowanie źrenicy sów,
[krwawe smaki w ogniotrwałym naczyniu,
Ale nie znasz człowieka. Nie znasz siebie.
Bo nie znasz życia. Znasz chaos; jak trupy zlepione w zieloną
[poczwarę w Katyniu.

Kilka tysięcy lat temu, Orfeusz, płacząc rzewnie stratę
[Eurydyki,
Gdy się wymknęła życiu zamiótłszy smutno cmentarz złotymi
[włosami,
Śledził czerwonymi oczami dzikie gęsi krzyczące na niebie.
Płakał i pytał w gaikach słowiki
Dlaczego poszła, zostawiając męża,
Harfę i źródło, rosę, chleb pszenny, łoże wysłane ciepłymi
[skórami,
Na pastwę żalu okrutniejszego niźli szczęk oręża?

Nie było odzewu, więc odważny człowiek
Postanowił odpowiedzieć sam. Wziął przewiązki, srebrny
[pieniążek, maku srebrne gałki
I złotostrunną harfę. Przeszedł pola, bory, miasta, wioski,
Aż znalazł dolinę, gdzie cyprysu jeden czarny ćwiek;
Wiatr dmący dziko po niskich badylach;
Mglista młaka, liście łopuchu, ostu srebrne pałki.
Gdzie kres.

Harfę złotostrunną w młakę wrzucił:
Przewiązki, srebrny pieniążek, sandały, chlamidę, płaszcz,
[rycerski pas.
Potem sam z płaczem się rzucił. Do dziś jeszcze błyszczą na
[motylach
Srebrzyste drachmy pod oczami. Na skrzydłach drgają złote
[głoski

Odpryśnięte od harfy, gdy leciała w przepaść gdzie zamarza [czas:
Gdzie tak jest tak i nie jest nie.
Skąd nigdy nie wrócił.

Cóż ty mi odpowiesz? Który dziesięć lat czytasz szkarłatny [przełyk gadu,
Wiążesz bomby z uranu, jesz pieczeń wołową, śpisz pod kołdrą
Ogrzewaną elektrycznie, czujesz zero, myślisz tyle ile dziecko [obsypane odrą.
Nic nie odpowiesz. Czysto ogolony, wygodne ubrany,
Syty, urządzony, mieszkający w czystych, cichych willach.
Będziesz robił swoje. Skupiony jak aksamitnej żmii leniwy [krąg w fiołkach pozwijany,
Póki nie zginie od własnego jadu.

Marian CZUCHNOWSKI

Archiwum polityczne

Rosja - Niemcy - Ameryka

Układ rozbrojeniowy w takiej czy innej formie — może być klęską albo sukcesem. Wszystko zależy w jakiej sytuacji politycznej został zawarty. Pokojowa koegzystencja i międzynarodowe odprężenie nie są automatyczną funkcją układów rozbrojeniowych. Przeciwnie, układy rozbrojeniowe tylko wówczas przyczynią się do stabilizacji sytuacji międzynarodowej jeżeli będą funkcją i konsekwencją szerszego układu politycznego. Tego porządku nie wolno odwracać tak jak nie można stawiać wozu przed koniem. Jak Sowiety wynegocjują z Zachodem korzystny dla nich układ kontroli zbrojeń atomowych (i innych) na inicjatywę polityczną w większej skali będzie za późno.

Osobiście sądzę, że Sowiety są zainteresowane w osiągnięciu porozumienia w sprawie kontroli zbrojeń i prób atomowych. Nie wydaje mi się również by różnice w podejściu do polityki międzynarodowej pomiędzy Rosją a Chinami wypływały jedynie z odmiennych interpretacji ideologicznych. Bez względu na kanony marksizmu inaczej wypadnie analiza sytuacji międzynarodowej przeprowadzona przez przywódców mocarstwa wysoko uprzemysłowionego, a inaczej przez przywódców państwa w 80 procentach rolniczego i biednego. Żadna ideologia nie zmieni tych podstawowych faktów. Co innego jest być marksistą w Moskwie, a co innego jest być marksistą w Pekinie. Bo jeżeli marksizm nie ma być „teorią oderwania się od rzeczywistości'' (określenie Chruszczowa), lecz przeciwnie jeżeli ma być metodą analizy rzeczywistych warunków gospodarczo-społecznych — to jest jasne, że oceny rosyjska i chińska muszą być różne.

Przywódcy sowieccy pragną, niemniej niż ich towarzysze chińscy, światowego zwycięstwa komunizmu. Lecz Rosjanie mają niewspółmiernie więcej do stracenia (w razie konfliktu) i dlatego ich polityka jest ostrożna i z każdym rokiem będzie ostrożniejsza. Nie ulega wątpliwości, że Chruszczow szczerze pragnie triumfu komunizmu w skali światowej, ale nie za cenę

zrównania z ziemią 60% potencjału przemysłowego ZSSR. Do takich ofiar komuniści sowieccy nie są gotowi i najżarliwszy marksista w tej sprawie ich nie przekona. To nie tylko marksizm determinuje mentalność i politykę danego narodu, lecz przede wszystkim stopień rozwoju gospodarczego. Za 15 lat komunistyczna Rosja będzie znacznie bardziej podobna do kapitalistycznej Ameryki niż do hiper-komunistycznych, ale jeszcze zapóźnionych w rozwoju Chin.

W niniejszym artykule wychodzimy z przesłanki, że Rosja nie dąży obecnie do wojny. Odrzucając wojnę, trzeba przyjąć teorię zastępczą. Przemianowanie koegzystencji na ,,walkę klasową'' w skali międzynarodowej, która w przyszłości ma przynieść pełny triumf komunizmu — służy temu zadaniu. Komunizm nie może się wyzbyć swego uniwersalistycznego utopizmu bo inaczej przestałby być komunizmem. Millenium komunistyczne, jako oficjalny artykuł wiary, podtrzymywane będzie do ostatka.

Ale z punktu widzenia praktycznej polityki inne problemy są istotniejsze.

Co się dzieje wewnątrz Rosji? Rosjanie inaczej mówią z turystami czy dziennikarzami amerykańskimi, od których roi się w Moskwie, a inaczej mówią z Polakami, którzy podróżują po Związku Sowieckim z paszportem Polski Ludowej. Konfrontując te dwa źródła informacji można sobie wyrobić przybliżony pogląd na klimat psychiczny współczesnej Rosji. A to jest decydujące. Hitler nie wyskoczył, jak Minerwa, z głowy Jowisza, tylko wyrósł z duchowego klimatu ówczesnych Niemiec.

Rozmawiałem ostatnio z trzema Polakami, którzy w r. 1960 — spędzili po kilka miesięcy w Związku Sowieckim. Byli to przedstawiciele inteligencji technicznej. Żaden nie jest komunistą.

Jednemu z nich stosunkowo jeszcze młody profesor wyższej uczelni w Moskwie powiedział co następuje: ,,W kołach inteligencji rosyjskiej od zakończenia wojny istnieje poważny ferment. Ale my nie możemy pozwolić sobie na ,,polski Październik''. W naszych warunkach ,,Październik'' oznaczałby wojnę domową (antagonizmy narodowe i chłopskie powstanie przede wszystkim), a wojna domowa spowodowałaby obcą interwencję. Zamiast liberalizacji mielibyśmy okupację. Byłby to koniec Rosji jako wielkiego mocarstwa''.

Lęk przed wojną domową, a w jeszcze większej mierze lęk przed interwencją — jest motywem, który stale się powtarza nawet w rozmowach z potencjalnymi ,,rewizjonistami'' rosyjskimi. Zachodni sowietolodzy nie doceniają nacjonalizmu rosyjskiego. Rosja nigdy w dziejach nie była taką potęgą, jak w tej chwili — nigdy nie miała takich przemysłów i takich osiągnięć. Czy jest możliwe obalenie systemu bez ryzyka zepchnięcia Rosji w odmęt walk domowych — co stanowiłoby zaproszenie dla obcej interwencji i przyniosło upadek wielko-mocarstwowego stanowiska w świecie?

Emigracyjni sowietolodzy określają często Rosję jako największy z krajów ujarzmionych. Trudno o większy nonsens. Węgrzy czy Polacy byliby gotowi zapłacić każdą cenę za wyzwolenie i witaliby spadochroniarzy amerykańskich kwiatami. Ale nie Rosjanie. W tej materii nie należy mieć żadnych wątpliwości. Z tego rodzaju bagażem złudzeń maszerowały wszystkie armie inwazyjne od Napoleona po Hitlera. W świecie Historii nie ma bardziej niewdzięcznego zadania jak wyzwalanie Rosjan spod takiej czy innej rodzimej tyranii.

Czy to oznacza, że Rosjanie są zadowoleni z panującego systemu? Nie. Większość Rosjan nie jest zadowolona z obecnego systemu i pragnie liberalizacji, ale nie za każdą cenę.

Chruszczow pragnie szczerze światowego zwycięstwa komunizmu, ale nie jest gotów zapłacić za ów triumf ryzykiem zrównania z ziemią sowieckiego przemysłu. Inteligent rosyjski pragnie szczerze demokratyzacji i liberalizacji ustroju społecznego — ale nie jest gotów zapłacić za ową liberalizację ryzykiem wojny domowej i obcej interwencji. I to jest płaszczyzna, na której spotyka się Chruszczow — jako głowa i symbol systemu — z potencjalnie fermentującym inteligentem rosyjskim. Święta Rosja — *first!*

W tym miejscu czytelnik zapyta: ,,Dobrze — ale jak w takim razie inteligent rosyjski wyobraża sobie zmianę czy choćby tylko postęp na drodze ku liberalizacji''?

W przeciwieństwie do opinii młodego rosyjskiego profesora — moi polscy informatorzy uważają, że większość inteligencji rosyjskiej jest bierna, a o fermencie można mówić tylko w odniesieniu do jednostek.

Polski specjalista opowiedział mi następujący, jakże charakterystyczny, epizod: W domu młodego moskiewskiego lekarza, wieczorem po kolacji dyskutowano na temat ,,polskiego Października''. Gdy późną nocą wszyscy się rozeszli gospodarz powiedział swojemu polskiemu gościowi: ,,znam tych ludzi od lat ale dopiero dziś dowiedziałem się, co oni naprawdę myślą. Pańska obecność podziałała na nich, jak iskra na proch. Gdyby pan u mnie nie zamieszkał pewnie do końca życia nie dowiedziałbym się, co moi znajomi myślą w tych tak ważnych sprawach. Myśmy odwykli od bezpośredniości i otwartości, która u Pana, jako u Polaka, jest czymś naturalnym''.

Wartość tego epizodu polega na jego anty-klasyczności. Zgodnie z kanonami oficjalnej sowietologii inteligenci rosyjscy winni mówić szczerze w zamkniętym gronie, a wykazywać maksymalną przezorność w obecności cudzoziemca. W rzeczywistości jest odwrotnie.

Ale ów epizod, który bynajmniej nie jest odosobniony — przytoczyłem z uwagi na jego wartość charakterologiczną. Wydaje się, że w Rosji fermentują jednostki, a nie grupy, czy koła inteligencji. Ferment się nie ujawnia — nie przybiera charakteru fenomenu społecznego, zbiorowego. Można to tłumaczyć rozmaicie. Klasyczna interpretacja — to strach. Ludzie się

boją. Boją się wtyczek, doniesień, uwięzienia, zesłania itd. Nie ulega wątpliwości, że po 40 latach panowania systemu — powyższe momenty odgrywają poważną rolę. Ale zdaniem moich polskich informatorów lęk nie wyjaśnia w pełni tej postawy. Inteligenci rosyjscy, nawet krytycznie ustosunkowani do komunistycznej ,,teologii'' — uważają, że w obecnej sytuacji międzynarodowej jakikolwiek kryzys wewnętrzny spowodowałby obcą interwencję i degradację Rosji do poziomu Niemiec z 1945 roku.

My, na Zachodzie, jesteśmy od kolebki wychowywani w przekonaniu, że Rosji nikt nie zagraża natomiast, że Rosja zagraża wszystkim. Ale inteligent rosyjski również od kolebki wychowywany jest w zupełnie innej tradycji i w innym poglądzie. Rosyjski inteligent nie wątpi, że Ameryka pomogłaby, w razie sprzyjających okoliczności, do obalenia systemu — ale nie wątpi również, że likwidacja komunizmu wyglądałaby bardzo podobnie do likwidacji hitleryzmu — co wszyscy dobrze pamiętają. Wielu inteligentów rosyjskich wyrażało pogląd, że Amerykanie w takiej sytuacji skorzystaliby z okazji, by rozparcelować Rosję i pozbyć się groźnego konkurenta na polu gospodarczym.

W oparciu o analizę sytuacji w Rosji należy stwierdzić, że istnieją dwie możliwości zaatakowania problemu. Albo trzeba zdobyć się na interwencję i obalić komunizm siłą — albo trzeba stworzyć warunki, które przyspieszyłyby procesy liberalizacyjne wewnątrz Rosji.

Mówienie o ,,wyzwoleniu'' w okresie kiedy jest wiadomo, że Zachód na wyzwolenie siłą nigdy się nie zdobędzie — jest w dosłownym tego słowa znaczeniu wspomaganiem partii komunistycznej ZSSR. Tego rodzaju propagandą podtrzymuje się mit interwencji, który stanowi bezcenny atut w rękach sowieckich przywódców.

Rozpatrując polityczną problematykę Sowietów trzeba rozróżnić dwie grupy zagadnień. Pierwszą grupę stanowią zagadnienia przedpola tj. imperium satelickiego, Niemiec i Europy. Druga grupa obejmuje polityczne problemy poza-europejskie.

Jest oczywiste, że czy to będzie Kongo, Laos czy Kuba, Sowiety walczyć będą o wpływy. Ale rozwój wydarzeń w Kongo czy na Kubie nie wpływa bezpośrednio na sytuację wewnętrzną w Rosji. Natomiast cokolwiek dzieje się na europejskim przedpolu — może mieć bezpośredni wpływ na sytuację wewnątrz Związku Sowieckiego.

Wiem od Polaków, którzy byli w Rosji po powstaniu węgierskim, że reakcja inteligencji była bardzo rozmaita. Było wiele krytycyzmu, a nie brakło i zdecydowanych potępień. Na Zachodzie nie spotkałem się nigdy z informacją, która pochodzi z tych samych źródeł, że spora garść żołnierzy i oficerów armii sowieckiej przeszła na stronę powstańców węgierskich.

Budapeszt czy Warszawa to nie to samo co Kongo. Kilkadziesiąt mil w linii powietrznej od granicy polskiej leży Berlin — najbardziej zagadkowa stolica świata.

Trzeba powiedzieć sobie otwarcie: na europejskim przedpolu wszystko jest płynne, dopóki Niemcy są płynne. Wszystko jest prowizorium, dopóki Niemcy są prowizorium. Wszystko jest pod znakiem zapytania, dopóki los Niemiec jest pod znakiem zapytania. Tylko poprzez ostateczne rozwiązanie (po ich myśli) kwestii niemieckiej Sowiety mają szansę zabezpieczenia swojego imperium satelickiego. I odwrotnie — tylko poprzez narzucenie kompromisowego rozwiązania kwestii niemieckiej Ameryka ma szansę wydobycia — choćby częściowego — narodów wschodniej Europy spod bezpośredniej władzy Moskwy.

W Rosji nie nastąpią żadne poważniejsze zmiany dopóki na przedpolu europejskim trwa stan potencjalnego kryzysu. Rosjanie wiedzą doskonale, że trzecia wojna światowa jeżeli kiedyś miałaby wybuchnąć — wybuchnie raczej nie w Kongo ani nie na Kubie, lecz w Europie. Pod tym względem Europa jeszcze ciągle stanowi centrum świata. Do rangi drugiej Korei — może zaawansować każdy kraj poza-europejski. Ale nie Niemcy i nie Francja i nie Belgia.

Dopóki na przedpolu trwa stan potencjalnego kryzysu — Rosja czuje się zagrożona. Niemcy zachodnie na przestrzeni 15 lat, z kraju rumowisk i zgliszcz przemieniły się w pierwszą potęgę gospodarczą na kontynencie i są na najlepszej drodze do przedzierżgnięcia się w następnych kilkunastu latach w pierwszą w Europie potęgę militarną. Niemcy zachodnie są głównym antykomunistycznym agentem Ameryki. Są jedynym krajem na świecie, gdzie antykomunizm jest nie tylko ideologią, ale i pożywką dla rewizjonistycznego imperializmu. To jest antykomunizm premiowany. To jest antykomunizm, który w następnym pokoleniu przerodzić się może w zdyscyplinowany nacjonalizm.

W Paryżu, w Londynie czy w Brukseli ludzie przywykli z czasem do współczesnej sytuacji europejskiej i w cieniu potencjalnego kryzysu uprawiamy wszyscy ,,business as usual''. Organizujemy wspólny rynek — projektujemy konfederację 6-ciu państw — prowadzimy niekończące się rokowania z konkurencyjną siódemką, której przywodzi Anglia. Innymi słowy zachowujemy się tak, jakby sytuacja europejska była nie tylko unormalizowana — ale ostatecznie ustalona.

Lecz tylko z tej strony barykady sytuacja wygląda tak idyllicznie. Ten sam obraz oglądany z Moskwy przedstawia się zgoła inaczej. Tu wchodzi w grę nie tylko imperium satelickie — nie tylko względy bezpieczeństwa — ale status Rosji jako mocarstwa europejskiego. Rosja, jeżeli chce pozostać w Europie, musi szukać porozumienia z Niemcami. Tylko porozumienie z Niemcami przypieczętowałoby los ujarzmionych narodów we wschodniej Europie i — powiedzmy to szczerze — zapewnić by mogło trwały pokój na kontynencie europejskim. Dlatego dla mnie osobiście nie ulega wątpliwości, że wcześnie lub później Rosja szukać będzie porozumienia z Niemcami. Owo porozumienie nie musi mieć formy nowego Rapallo. W pierwszej

fazie porozumienie może się wyrazić w korzystnym dla Niemiec układzie gospodarczym. Nie należy nigdy zapominać, że Rosja w każdej dziedzinie może zaoferować Niemcom znacznie więcej niż Ameryka. Ciekawe jak nic się nie pisze w światowej prasie o coraz bardziej rosnącej współpracy przemysłu zachodnio-niemieckiego ze Związkiem Sowieckim.

Na Zachodzie zbyt często poświęcamy dla antykomunizmu realną politykę. W tym braku wizji kryje się wielkie niebezpieczeństwo. W takich bowiem warunkach odprężenie, do którego dąży Zachód może się okazać klęską.

Dziś porozumienie rosyjsko-niemieckie wydaje się czymś nieprawdopodobnym. Ale za rok czy za dwa lata Rosja w negocjacjach kontroli zbrojeń może pójść na znaczne ustępstwa, może wyreżyserować konferencję na szczycie — krótko, może zainicjować międzynarodowe odprężenie w skali do tej pory nienotowanej. Jeżeli nastąpi porozumienie z Niemcami to z całą pewnością w takim klimacie. Wówczas ostrze antykomunizmu będzie przytępione, a na Zachodzie zaroi się od piewców odprężenia. Wówczas szeroki układ gospodarczy rosyjsko-niemiecki i rozmowy zmierzające do poprawy stosunków sowiecko-niemieckich — będziemy traktowali za *nasz „sukces”*, za ważny krok na drodze odprężenia i odwilży.

Nie należy przewidywać żadnych dramatycznych wydarzeń. Rosja nie poświęci ani Ulbrichta ani granicy na Odrze i Nysie. Otworzy natomiast nowe szerokie perspektywy eksportowe dla przemysłów zachodnich Niemiec i zapewni im dyskretne poparcie w Europie.

Istnieje pewna zasadnicza wspólnota interesów rosyjsko-niemieckich w Europie i, jeżeli się temu nie przeszkodzi, owa wspólnota z całą pewnością znajdzie z czasem swój polityczny wyraz wbrew i pomimo barier ideologicznych.

Niemcy mogą osiągnąć hegemoniczne stanowisko na kontynencie tylko przy poparciu Rosji. Rosja może zabezpieczyć swe imperium satelickie tylko poprzez porozumienie z Niemcami.

Gdyby wypadki miały w przyszłości potoczyć się po tej linii — odprężenie i stabilizacja sytuacji w Europie okażą się największą klęską w dziejach kontynentu.

Krótkowzrocznie pojmowane interesy antykomunizmu dyktują nam podtrzymywanie status quo. Ale polityka Zachodu podtrzymując obecny stan rzeczy i rezygnując z jakiejkolwiek próby własnego rozwiązania problemu niemieckiego — ułatwia de facto grę Rosji. Bo w gruncie rzeczy Zachód gotów jest zgodzić się na odprężenie za darmo — gotów jest powitać odprężenie na obecnych warunkach. A możemy przyjąć za pewnik, że rosyjską inicjatywę w sprawie Niemiec poprzedzi głośno reklamowane „odprężenie”. I wówczas na inicjatywę Zachodu w Europie będzie za późno.

Problem można ująć również inaczej. Zachodowi dogadza status quo, dlatego skłonni jesteśmy przypuszczać, że obecny stan rzeczy będzie trwał pod warunkiem, że nasz system będzie-

my stale wzmacniali. Analizę polityczną zastępujemy ,,dialektyką'' antykomunizmu. W myśl założeń owej ,,dialektyki'' jak długo trwa zimna wojna należy zbroić Niemcy, rozbudowywać NATO itd. Ideologia antykomunistyczna zakłada tylko dwie możliwości zakończenia zimnej wojny. Albo zimna wojna przemieni się w gorącą i zakończy się zwycięstwem Zachodu — albo komunizm zbankrutuje i upadnie bezkrwawo. W obu wypadkach antykomunizm zakłada likwidację komunizmu jako jedyne rozwiązanie zimnej wojny i obecnego kryzysu. W moim przekonaniu jest rzeczą bardzo niebezpieczną zdradzać politykę na rzecz ideologii. Bo historyczne doświadczenie dostarcza niezbitych dowodów, że na daleką metę interesy polityczne wypływające z konkretnych geograficznych i ekonomicznych warunków — biorą górę nad postulatami ideologicznymi.

Rosja nigdy z niczym się nie spieszy. Jej politykę cechuje długofalowość typowa dla wielkich, kontynentalnych imperiów. Poza tym w polityce sowieckiej istnieje długa lista *priorities*. W chwili obecnej sytuacja w Afryce wyklucza odprężenie — toteż kwestia niemiecka czeka ,,w lodówce'' na swoją kolejkę. Być może czekać będzie 5 a może 15 lat. Ale przyjdzie chwila kiedy kwestia niemiecka pojawi się na warsztacie. Jest prawdopodobne, że Rosjanie sądzą, iż w najbliższej dekadzie bardzo wydatnie pomnożą swe sukcesy — co Niemców, którym imponuje potęga, odpowiednio zmiękczy.

Dopóki w Niemczech są przy sterze ludzie wojennego pokolenia — prowizorium trwa. Ludzie wojennego pokolenia czekają na zjednoczenie, na obalenie granicy na Odrze i Nysie — żyjąc w anormalnej atmosferze, która jest dalszym ciągiem okresu wojny i okupacji. Ale z czasem i Niemcy uświadomią sobie, że nie można dziesiątkami lat prowadzić ,,business as usual'' mając sowieckich żołnierzy pod bramą brandenburską. Na coś trzeba się będzie w końcu zdecydować. Gdy skończy się okres obecnego wyczekiwania ,,cudu nad Odrą'' realistyczna polityka niemiecka będzie miała do wyboru tylko dwie możliwości: albo Rosjan pobić albo się z nimi ułożyć. Moskwa spokojnie czeka na ten moment, który z całą pewnością nadejdzie.

Amerykanie nie zdają sobie sprawy, że niemiecki *ruch* rewizjonistyczny jest potencjalnie *anty-amerykański*. Bo najbardziej rozczarowanymi i zawiedzionymi będą rewizjoniści. Gdy stanie się oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że nie będzie ,,wyzwolenia'' siłą, ani rewizji granicy na Odrze i Nysie — jeżeli nastąpi choćby chwilowe odprężenie pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem — wówczas z kół rewizjonistów wyjdą najbardziej fanatyczni zwolennicy zbliżenia niemiecko-rosyjskiego i najbardziej nieprzejednani oskarżyciele Ameryki. Moskwa potrafi to wówczas zdyskontować.

Rosja pragnie bezpieczeństwa i ustabilizowanych stosunków na przedpolu środkowo-europejskim ponieważ z tej historycznej bazy wychodziły wszystkie wyprawy przeciw Moskwie. Należy uwzględnić ten postulat z dwóch przyczyn. Po pierwsze

— każdy plan Zachodu, który nie będzie uwzględniał tego postulatu Rosja odrzuci. Po drugie — ustabilizowanie sytuacji na przedpolu środkowo-europejskim położy kres mitowi o interwencji i w rezultacie przyspieszy procesy liberalizacyjne w Rosji.

Na czym polega problem? Problem polega na tym by zadośćuczynienie tym rosyjskim postulatom nie odbyło się w przyszłości kosztem Europy i i kosztem bezpieczeństwa Zachodu. Innymi słowy, by realizacja powyższego postulatu nie przybrała formy porozumienia rosyjsko-niemieckiego.

Rosja jest zwolenniczką podziału Niemiec. Nie wiadomo czy tak będzie zawsze. Osobiście skłaniam się dziś do poglądu, że podział Niemiec może raczej ułatwić niż utrudnić stabilizację sytuacji europejskiej. Ale niezależnie od tego poglądu — trzeba stwierdzić, że Ameryka nie ma możliwości ani zlikwidowania Ulbrichta siłą ani zapłacenia ceny, którą za głowę Ulbrichta zażądałaby Rosja.

Nie jest żadną polityką powtarzać w kółko, że narody ujarzmione z wschodnimi Niemcami włącznie — mają prawo do samostanowienia, do suwerenności, wolnych wyborów itd. Trzeba cierpliwie, krok po kroku stwarzać warunki umożliwiające ewolucję w tym kierunku. Stojąc nieustępliwie na stanowisku zjednoczenia Niemiec Amerykanie odcinają sobie wszelkie możliwości kompromisowego rozwiązania problemu Niemiec i wschodniej Europy. Można wyznawać cele maksymalne, ale głosić należy cele minimalne gdyż tylko poprzez realizację celów minimalnych wiedzie droga do osiągnięcia celów maksymalnych.

Akceptując maksymalne cele zachodnich Niemiec z odmową uznania granicy na Odrze i Nysie włącznie, Amerykanie własnymi rękami budują przyszłą niemiecką antyamerykańską opinię społeczną. Bo można przyjąć z prawdopodobieństwem 90 % — że Ameryka nie będzie miała nigdy możliwości zrealizowania tych maksymalistycznych postulatów. Należy o tym pamiętać, bo kompromisowe i wstępne rozwiązanie, które pragniemy zaproponować — spotka się z zarzutem, że byłoby dla Niemców nie do przyjęcia. Ale chcąc zadowolić niemieckich maksymalistów trzeba by pobić Rosjan na głowę i odbudować Rzeszę niemiecką co najmniej w granicach z 1939 r. Wszystko poniżej tego poziomu spotka się z krytyką. Nie jest ważna krytyka — istotne natomiast jest, by rozczarowane Niemcy nie zwróciły się w przyszłości ku Rosji. A rozczarowanie *jest nieuchronne* ponieważ Stany Zjednoczone nie będą miały możliwości odrestaurowania Niemiec w ich przedwojennych granicach. Nie będą nawet miały możliwości przywrócenia Niemcom ziem nad Odrą i Nysą.

Więc jakie jest wyjście?

Należy uznać podział Niemiec za fakt historyczny — być może nieodwracalny. Wychodząc z powyższego założenia można by zaproponować Rosji utworzenie dwóch odrębnych stref neutralnych: zachodniej i wschodniej. Strefę zachodnią tworzyłaby Niemiecka Republika Federalna wraz z Berlinem. W skład strefy

wschodniej wchodziłyby NRD, Polska, Węgry i Czechosłowacja. Obie strefy byłyby wolne od obcych wojsk i baz, zdemilitaryzowane i pod kontrolą stałej komisji wyłonionej przez Radę Bezpieczeństwa ONZ. Strefa zachodnia należałaby nadal do kontynentalnej Europy zachodniej — strefa wschodnia wchodziłaby w skład obozu państw socjalistycznych. Oczywiście państwa stref neutralnych nie mogłyby należeć ani do NATO ani do tzw. Paktu Warszawskiego. To jest rozwiązanie kompromisowe i minimalne. Ale sądzę, że z wszystkich do tej pory wysuwanych projektów jest najbardziej realistyczne. Niemniej urzeczywistnienie tej koncepcji przyniosłoby ogromne korzyści.

Widmo porozumienia rosyjsko-niemieckiego zniknęłoby z horyzontu. Niemcy trwale podzielone i zneutralizowane przestałyby być potencjalnym kandydatem do Rapallo w jakimkolwiek wydaniu.

W Rosji upadłby mit interwencyjny ponieważ historycznna baza inwazyjna zostałaby spacyfikowana.

W Polsce i w Czechosłowacji upadłby mit niemieckiego rewizjonizmu, który do tej pory stanowi jedyną platformę nacjonalistycznej solidarności łączącej partię z nie-komunistycznym społeczeństwem.

We wschodniej strefie neutralnej powstałyby korzystne warunki do przyszłej federacji. Federacja państw wschodnio-europejskich skupionych wokół zjednoczonych Niemiec byłaby dominowana przez Niemców. Niemcy wschodnie natomiast w ramach federacji wschodnio-europejskiej byłyby partnerem cennym, lecz nie groźnym. W ten sposób podział Niemiec mógłby się stać twórczym czynnikiem przebudowy i ustabilizowania systemu europejskiego.

Lecz plany federacyjne to są marzenia przyszłości. W pierwszej dekadzie po utworzeniu stref neutralnych nastąpiłyby w państwach satelickich znaczne przemiany. Nie byłoby ,,wyzwolenia'', ale państwa ,,strefy wschodniej'' otrzymałyby nowy status międzynarodowy. Znikłyby garnizony sowieckie i nacisk Moskwy zmalałby bardzo wydatnie. Próba jakiejkolwiek zbrojnej interwencji ze strony Moskwy byłaby wówczas zamachem na obowiazujący układ międzynarodowy, a nie ,,wewnętrzną akcją policyjną'', jak w wypadku powstania węgierskiego. Nie byłoby ani likwidacji partii komunistycznej, ani nie byłoby wolnych wyborów. Jednakże administracje komunistyczne w strefie neutralnej znalazłyby się w nowej sytuacji i musiałyby niepomiernie bardziej liczyć się z opinią społeczną niż dziś. Ten czynnik jak również obcięcia wydatków zbrojeniowych i w konsekwencji poprawa koniunktury gospodarczej spowodowałyby z czasem ewolucyjne przemiany i ogólną liberalizację. Z chwilą gdy zniknęłyby garnizony i bazy sowieckie oraz groza bezpośredniej interwencji wojskowej — poprawiłyby się z czasem również stosunki z Rosją.

Sceptycznie usposobiony Czytelnik powie, że perspektywy naszkicowane powyżej są zbyt optymistyczne. Być może. Nie-

mniej zorganizowanie stref neutralnych byłoby w porównaniu z sytuacją obecną krokiem naprzód i stworzeniem możliwości ewolucyjnych, których dzisiaj nie ma. Sytuacja państw w wschodniej strefie neutralnej byłaby delikatna i trudna, ale nie beznadziejna jak obecnie.

Zdaję sobie sprawę, że dla ,,dialektyków'' antykomunizmu nasza koncepcja jest nie do przyjęcia. Ale pewne artykuły pisze się nie tylko dla polityków, lecz i dla historyków. Pisze się po to, by kiedyś historyk wertując stare roczniki emigracyjne odnotował, że były jednak pisma i byli ludzie, którzy widzieli i przestrzegali.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

MORAŁ POLITYCZNY

Gdyby jutro wybuchła wojna i potoczyła się ,,konwencjonalnie'' — to z całą pewnością w oparciu o precedensy z niedawnej przeszłości przywódców sowieckich umieszczono by na liście zbrodniarzy wojennych. Wielu z nich zasłużyło sobie na to miano niemniej niż Ribbentrop.

Wojna totalna jest formą polityki bezkompromisowej i zmierza do bezkompromisowego celu, tj. bezwarunkowej kapitulacji przeciwnika. W takiej sytuacji można się powołać na bezkompromisowe normy moralne. Ale polityka pokojowa stanowi niekończący się łańcuch kompromisów i skłonna jest zawsze poświęcić względy moralne dla korzyści politycznych.

Niewątpliwie siłą antykomunizmu jest jego protest moralny. Ale ci antykomuniści, którzy dla bezkompromisowej moralności wyrzekają się kompromisowej polityki — wyłączają się poza nawias życia. Tu leżą źródła całkowitego wyobcowania góry emigracyjnej z zachodniego świata. Nasi moralni anty-komuniści nie krytykują Zachodu — oni go potępiają. To są dwie rzeczy całkowicie różne.

Kompromisowość w polityce ci panowie uważają za ,,giętkość'' znamionującą brak zasad moralnych. Z drugiej strony ci sami panowie, którzy piętnują giętkość w polityce — w swoim życiu, a zwłaszcza w sprawach finansowych wykazywali często nadmiar giętkości, czego przykładem są dzieje tzw. powiernictw i afera Bergu. Mamy tu przykład odwrócenia zdrowego porządku rzeczy. Trzeba być niezłomnym moralnie a giętkim politycznie, a nie odwrotnie.

Siłą antykomunizmu jest niewątpliwie protest moralny. Ale nie należy nigdy zapominać, że komunizm nie jest tylko problemem moralnym. Przede wszystkim jest zagadnieniem politycznym. I tylko w płaszczyźnie politycznej może znaleźć swe rozwiązanie.

W ustroju demokratycznym o wszystkim decyduje prawo wielkiej liczby. Ci członkowie parlamentu brytyjskiego, którzy protestowali przeciwko Jałcie — wykazali wysoki poziom moralny. Lecz na politykę brytyjską nie wywarli wpływu bo było ich za mało. Czy postąpili źle? Na pewno — nie. Są wypadki kiedy należy protestować nawet ryzykując całkowite odosobnienie. Ale dotyczy to tylko jednostek względnie grupy czy frakcji, ale nigdy państwa czy narodu.

Niemal 200 lat niewoli oraz okresy periodycznych powstań wyrobiły w nas nawyk identyfikowania polityki państwowej z indywidualnym kodeksem moralnym. Gdy w jesieni 1939 r. mjr. Hubal postanowił nie zdejmować munduru i prowadzić partyzantkę — stawiał znak równania pomiędzy polską polityką niepodległościową, a własnym kodeksem moralnym, nie zastanawiając się czy narodowi polskiemu wyjdzie to na dobre. Jest klęską jeżeli w danej sytuacji naród nie potrafi wydać z siebie ani jednego Reytana. Ale jest jeszcze większą klęską, gdy 90 % społeczeństwa przemienia się w Reytanów.

Długotrwała niewola i klęski wyrobiły w nas skłonność do dwóch krańcowych reakcji: protest albo kolaboracja. Jedni bezkompromisowo kolaborują drudzy bezkompromisowo protestują — polityki, która jest sztuką kompromisu, nie robi nikt.

Brak silnej i ugruntowanej polskiej tradycji państwowej utrudnia nam nie tylko prowadzenie własnej polityki, ale zrozumienie obcej polityki państwowej.

Naród państwowy jest czymś więcej niż sumą patriotycznie nastrojonych jednostek. W gruncie rzeczy egzaltowany nacjonalizm utrudnia krystalizację politycznej myśli państwowej. Zmysł państwowy Anglików czy Francuzów działa polskim Reytanom na nerwy. To wszystko jest małością, giętkością i kapitulanctwem. Ale rezultaty ich giętkości są niepomiernie lepsze niż naszej niezłomności. Polacy mają legion bohaterów, ale ani jednego męża stanu. Amerykanie czy Anglicy mają bohaterów niepomiernie mniej, ale nie brak im mężów stanu.

Polityka w przeciwieństwie do etyki i nauk moralnych nie daje odpowiedzi na pytanie co jest słuszne, a co jest niesłuszne. Polityka stara się wypracować odpowiedź na pytanie: co jest możliwe i w danej sytuacji osiągalne, a co w danym układzie jest niemożliwe i nieosiągalne.

Nasi „niezłomni", którzy problem komunizmu i Rosji sowieckiej rozpatrują wyłącznie w płaszczyźnie moralnej — mają w zanadrzu bardzo ważkie argumenty — od ludobójstwa, czystek stalinowskich, łagrów aż po Katyń. Ale argument moralny staje się dopiero wówczas faktem politycznym, gdy się za nim opowie większość. Postawa naszych „niezłomnych" jest *de facto* rezygnacją z polityki nie dlatego, że argumenty, które głoszą są niesłuszne — ale dlatego, że argumenty te pomimo ich moralnej słuszności nie są kośćcem polityki mocarstw Zachodu. Czytelnik zapyta: skąd ta pewność? Historia uczy nas, że argumenty moralne wywierają nikły wpływ na politykę mocarstw. Od Berlina po San Francisco byli wszyscy moralnie po stronie powstańców węgierskich. Ale politycznie nie poparł ich absolutnie nikt. Lecz historia uczy tylko tych, którzy chcą się uczyć.

Czy z tego co powyżej powiedziano należy wysnuć wniosek, że argument moralny jest bez znaczenia? Nie. Ale nie należy identyfikować go z argumentem politycznym.

Od zarania historii żyjemy w świecie polityki siły. Gdyby kiedyś przeprowadzono powszechne rozbrojenie i utworzono rząd światowy wtenczas polityka siły — jaką znamy od dwudziestu wieków — dobiegłaby kresu. Wówczas — wolno ufać — momenty moralne i humanitarne odgrywałyby w polityce daleko większą rolę niż dziś. Ze sceny dziejowej zniknęłaby polityka zagraniczna. Mielibyśmy tylko politykę wewnętrzną i *welfare state* w skali światowej. Dopóki jednak ludzkość nie zrealizuje tego marzenia skazani jesteśmy na politykę siły i różne warianty *balance of power*. W ramach tak pojmowanej polityki wypadło nam żyć i działać.

Na czym polega ,,emigracyjność'' emigracyjnej polityki? ,,Emigracyjność'' sprowadza się do faktu, że możemy sobie pozwolić na niezłomną moralność ponieważ za nic nie ponosimy odpowiedzialności. Możemy być bezkompromisowi ponieważ nie prowadzimy żadnej realnej polityki. Innymi słowy jesteśmy Katonami, bo to nas nic nie kosztuje i wszyscy o tym wiedzą.

Gdyby Rosjanie jutro wynieśli się z Polski, gdyby powstał w Warszawie rząd wyłoniony z wolnych wyborów — następnego dnia jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stalibyśmy się wszyscy optymistycznymi zwolennikami pokojowej koegzystencji. Innymi słowy odzyskawszy twardy grunt pod nogami zaczęlibyśmy myśleć kategoriami polityki państwowej.

Fałszywość postawy naszych ,,niezłomnych'' polega na tym, że w imię moralności domagają się od innych decyzji, której — gdyby mieli własne państwo — z całą pewnością by nie podjęli. Gdybyśmy mieli niepodległe państwo graniczące na przestrzeni setek kilometrów z atomową Rosją — żadnemu z polskich generałów nie przyszłoby do głowy deklamować o ,,zawierusze wojennej''. Bylibyśmy wszyscy za kontrolą zbrojeń, koegzystencją i pokojem. Berło ,,niezłomności'' przekazalibyśmy emigrantom ukraińskim i litewskim.

Polityka państwowa służy wyłącznie interesom określonego państwa i narodu. Ale moralność musi być jedna dla wszystkich. Dlatego niebezpiecznie jest przykrawać moralność do polityki.

CZARNA WIOSNA

Afryka jest kontynentem ,,dla specjalistów''. Przeciętny czytelnik prasy o Afryce wie bardzo mało. Kilka cyfr umożliwi nam dojrzenie czarnego lądu we właściwej perspektywie.

Ludność świata według danych z roku 1959 wynosiła 2,9 miliardów. Na Afrykę przypada 240 milionów. W porównaniu z Azją (1,6 miliardów) czy z Europą (425 milionów) to jest bardzo mało.

Jak przedstawia się polityczny status 240 milionów Afrykańczyków? 176 milionów osiągnęło niepodległość. Statusem kolonialnym objętych jest jeszcze 64 miliony. 15 milionów żyje pod władaniem białych osadników.

Na 240 milionów czarnych mamy w Afryce 5,800.000 Europejczyków. Na całym olbrzymim kontynencie afrykańskim mieszka mniej Europejczyków niż w Londynie.

Największym skupiskiem białych jest Unia Płd. Afrykańska, gdzie żyje 3.100.000 Europejczyków. Poza Unią Płd. Afrykańską ludność biała jedynie

w Algerii osiąga cyfrę miliona. Wszędzie indziej gęstość białego zaludnienia jest nikła.

Największymi państwami pod względem ilości mieszkańców są: Nigeria, Zjednoczona Republika Arabska, Etiopia, Unia Płd. Afrykańska, Kongo, Maroko i Sudan.

W Europie państw niepodległych ubywa — w Afryce stale przybywa. W roku 1914 w Afryce były tylko dwa państwa niepodległe: Abisynia i Liberia. Ale jeszcze 5 lat temu w roku 1956 — państwa niepodległe stanowiły zdecydowaną „mniejszość". W roku 1956 niepodległe były tylko: Tunis, Libia, Egipt, Sudan, Etiopia, Unia Płd. Afrykańska, Liberia i Maroko. Dziś wyliczenie wszystkich niepodległych państw afrykańskich zajęłoby pół kolumny druku.

Pozycja białych jest określona ich liczebnością. Europejczycy nie stanowią nawet dwa i pół procent ogółu mieszańców kontynentu. Mniejszość czarna w Stanach Zjednoczonych jest pięciokrotnie większa niż mniejszość europejska w Afryce.

Sytuacja być może ułożyłaby się inaczej gdyby nie Ameryka.

Ale w ubiegłym wieku, w czasach Livingstone'a i Stanleya, nikt nie chciał osiedlać się w Afryce. Panowało wówczas powszechne przekonanie, że w Ameryce ziemi nigdy nie zabraknie dla tych, którym stary świat wyda się za ciasny.

Jest oczywiste, że dwu czy nawet trzyprocentowa mniejszość nie może na dłuższą metę zgłaszać pretensji do jakichkolwiek przywilejów. Szczytem krótkowzroczności jest podejmowanie w takiej sytuacji polityki rasistowskiej na wzór prem. Dr. Verwoerda. Rasizm należy potępić w każdym wydaniu, ale z punktu widzenia praktycznej polityki warto podkreślić, że tylko większość ma szanse realizowania rasizmu, a nigdy mniejszość. Polityka rasistowska jest zwykle „usprawiedliwieniem" przemocy i bezprawia większości w stosunku do prześladowanej mniejszości. Dlatego niezależnie od względów moralnych polityka rasistowska nie leży w interesie Europejczyków w Afryce, podobnie jak nie leży w interesie Murzynów w Ameryce.

Wiosna czarnych ludów wybuchła w okresie historycznego konfliktu między Wschodem i Zachodem. Dla Moskwy ludy kolorowe są pionkami na szachownicy w walce z Ameryką. Rosja nie jest zainteresowana w problemie ludów Afryki — jest tylko zainteresowana w światowej walce przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Sedno problemu afrykańskiego polega na tym, by Amerykanie nauczyli się rozróżniać pomiędzy niepodległością i neutralizmem a pro-komunizmem. Identyczny pogląd wyraziliśmy 10 miesięcy temu na łamach „Kultury". Obecnie do podobnych wniosków doszedł „The New York Times" co oczywiście jest niepomiernie ważniejsze. Cytowane pismo w artykule redakcyjnym (19.2.1961) — pisze między innymi co następuje:

> „Afrykańscy neutraliści głoszą namiętnie, że są istotnie neutralnymi. Jeżeli prez. Nasser — twierdzą neutraliści — kupuje broń od Czechosłowacji i korzysta z pomocy sowieckiej przy budowie zapory wodnej w Assuanie — czyni to dlatego, że Zachód nie zaoferował mu pomocy. Neutraliści afrykańscy przeczą oficjalnej tezie zachodniej, że okres kolonializmu jest definitywnie zamknięty. Wskazują na kolonie portugalskie i oskarżają zachodnie mocarstwa kolonialne, że opuszczają afrykańskie terytoria przez bramy oficjalnej niepodległości a wracają

poprzez drzwi kuchenne. Jako klasyczny przykład cytują rolę Belgów w prowincji Katanga.

Neutraliści są przekonani, że polityka neutralizmu z czasem rozszerzy się na cały kontynent afrykański i usunie w cień przywódców murzyńskich będących pod wpływem brytyjskim lub francuskim.

Jeżeli powyższa analiza jest słuszna, głównym zadaniem polityki Stanów Zjednoczonych musi być — po pierwsze rozwijać i pielęgnować (cultivate) różnice pomiędzy sowieckimi a neutralistycznymi celami i po drugie — wzmacniać i wspomagać afrykańskie państwa neutralne, by uczynić je mniej zależnymi od pomocy Sowietów. Gdy powyższy cel zostanie urzeczywistniony — a administracja Kennedy'ego zdaje się w tym kierunku zmierzać — wówczas niezależne, neutralne państwa afrykańskie same przeciwstawią się penetracji sowieckiej".

Gdy „Kultura" wysuwała identyczne tezy przed kilku miesiącami — londyńskie „Wiadomości" uznały to za „sukurs" dla propagandy sowieckiej. Obecnie obóz „sukursantów" uległ poważnemu wzmocnieniu poprzez akces „The New York Times".

Identyfikowanie neutralizmu z postawą pro-komunistyczną doprowadzić by musiało do „sztucznego zapłodnienia" konfliktem ideologicznym całego kontynentu afrykańskiego. Dla 98% mieszkańców Afryki ów spór ideologiczny jest czymś całkowicie obcym i bez powiązania z rzeczywistością.

Ameryka w stosunku do problemu afrykańskiego znajduje się w sytuacji uprzywilejowanej. Jest nie tylko największym mocarstwem świata, ale jest również najstarszą antykolonialną potęgą świata. Antykolonializm jest dziś jedynym uniwersalnym ruchem na czarnym kontynencie. Rywalizację z Sowietami należałoby rozegrać w tej płaszczyźnie. Ameryka winna z jednej strony wywrzeć potężny nacisk w celu przyspieszenia likwidacji resztek kolonializmu w Afryce — a z drugiej strony podjąć na szeroką skalę akcję zmierzającą do zapoznania czarnej inteligencji z polityką kolonialną i narodowościową Związku Sowieckiego. Jedna z wielkich fundacji amerykańskich powinna powołać do życia międzynarodowy Instytut Antykolonialny, którego zadaniem byłoby naukowe i bezstronne badanie kolonializmu. Historia kolonializmu będzie przez następne dziesiątki lat przedmiotem studiów i opracowań, ponieważ stanowi dziejowe zaplecze większości państw afrykańskich. Instytut winien również skupić specjalistów od zagadnień kolonializmu sowieckiego.

Jeżeli proponowany instytut miałby spełnić swoje zadanie trzeba by odrzucić wszystkie szablony propagandowe. Ludów afrykańskich nie ma powodu karmić opowieściami o Katyniu, bo Katyniów w Afryce były setki, nie ma powodu opowiadać im o łagrach, bo łagrów w Afryce nigdy nie brakowało. Nie ma potrzeby tłumaczyć im, że związki zawodowe w Sowietach są fikcją — bo w Afryce albo ich nie ma albo również są fikcją. Innymi słowy antykomunizm, który na Zachodzie stanowi jeden z produktów „masowej kultury" — do eksportu na rynki afrykańskie zupełnie się nie nadaje.

Ale są inne kluczowe zagadnienia. Kto — poza grupą nielicznych specjalistów zna dokładnie dzieje polityki sowieckiej w stosunku do mniejszości muzułmańskich? Islam jest czołowym zagadnieniem Afryki i jego wpływ i zasięg stale wzrastają. Kto wie — poza garstką spacjalistów — o tajemnicach sowieckiego *melting pot* ludów, o likwidacji republik i narodów,

o losach Tatarów Krymskich, Kałmuków czy Czeczeńców-Ingusów. Na odcinku kolonializmu dzieją się w Sowietach cuda nie notowane nigdzie na świecie. Borys Lewickyj w poprzednim numerze „Kultury" podaje, że według oficjalnych danych ostatniego spisu ludności — narodowości takie jak Kazachowie, Kirgizi, Tadżycy przekształciły się w *mniejszości* narodowe we własnych republikach. Nigdy dotąd w dziejach proces wynaradawiania ludów i kolonizowania ich ziem nie był podjęty na taką skalę jak w Sowietach.

To są zagadnienia którymi winien zająć się międzynarodowy Instytut Antykolonialny. Historię kolonializmu sowieckiego potraktowaną obiektywnie i źródłowo należałoby poprzez Instytut udostępnić inteligencji krajów afroazjatyckich.

Sukces na odcinku kolonializmu sowieckiego byłby wprost proporcjonalny do stopnia obiektywizmu w analizie zagadnień kolonializmu zachodniego. Jeżeli instytut wykazałby jakiekolwiek tendencje „wybielające" w stosunku do kolonializmu zachodniego — wszystko co miałby do powiedzenia o kolonializmie wschodnim tj. sowieckim potraktowano by za propagandę. Dlatego instytut powinen być ogranizacją prywatną, opartą o jedną z fundacji cieszących się międzynarodowym uznaniem.

We wszystkich projektach tego typu chodzi o pieniądze i o ludzi. Afryka jest kontynentem przyszłości. Europejczycy będą niewątpliwie odgrywali w Afryce znaczną rolę, ale tylko ci Europejczycy, którzy przyczynią się do budowy nowego antykolonialnego ładu.

Z informacji, które podaje prasa afrykańska (w języku angielskim) wynika, że zarówno Departament Stanu jak i fundacje amerykańskie łożą poważne sumy na szkolnictwo, służbę zdrowia, pomoc technologiczną itd. Rekrutuje się nauczycieli, inżynierów, prawników, lekarzy, administratorów, socjologów.

Jak Polacy ustosunkowują się do tego wielkiego problemu i wielkiej szansy?

Radio Warszawa podało, że na apel światowej Organizacji Zdrowia postanowiono wysłać do Afryki 16 lekarzy, wybitnych specjalistów. Sądzę że nie należy obrabowywać uniwersytetów polskich z wybitnych specjalistów — należałoby natomiast wysłać do Afryki młodych lekarzy, których pensje w kraju są niskie, a perspektywy skromne. Młodych dyplomantów można by wysłać znacznie więcej niż 16.

A może w innych dziedzinach jest lepiej? Owszem, z ramienia PAN wyjeżdża młody obiecujący historyk na... San Domingo szukać polskich pamiątek napoleońskiej epopei. Sanacja czy komuniści — na takie imprezy w Polsce zawsze znajdą się pieniądze.

A jak na emigracji? Góra emigracyjna identyfikuje antykomunizm z reakcjonizmem. Kto nie jest reakcjonistą jest automatycznie krypto-komunistą i agentem Moskwy. Fakt, że reakcjoniści nigdy i nigdzie nie wywalczyli niepodległości, a dostarczyli natomiast legionu kolaborantów — nikogo nie martwi.

Lubimy wyszydzać materializm Anglosasów — ich egoizm i kult zysku. Wspaniały starzec Bertrand Russell na czele protestacyjnego pochodu, wydał się emigracyjnym „idealistom" figurą śmieszną.

Niech zmaterializowani, skomercjalizowani Amerykanie służą pół darmo w Korpusie Pokoju. Nasi emigrancyjni „idealiści" wolą solidną Katangę

z królewskim przyjacielem p. Tchombé. Jak doniósł londyński „Dziennik Polski" garść Polaków ma nadzieję wyjechać do Katangi na „dobrze płatne stanowiska". Są już tam zresztą Polacy, ale bynajmniej nie w Korpusie Pokoju. My już do końca będziemy stawiać na generałów Franco, Czang Kai-Szeków, Tchombów — tworząc ślepą rotę zamierającej epoki.

SPRAWA ROJECKIEGO

Trzy lata temu wylądował w Niemczech Jan Rojecki, architekt i literat. Drukowaliśmy w „Kulturze" jego opowiadanie pt. „Zaginiony bez wieści". Rojecki przybył do Niemiec by przeprowadzić rewindykację nieruchomości, które przed wojną należały do jego rodziny. W ubiegłym roku kilka miesięcy spędził w Izraelu, ale wrócił do Niemiec i osiedlił się na stałe w Monachium. Pracował w biurze architektonicznym i nieźle zarabiał.

Rojecki miał paszport polski. Przed kilku miesiącami, gdy ważność jego paszportu dobiegała kresu — zwrócił się do Polskiej Misji Wojskowej w Zachodnim Berlinie z prośbą o wydanie mu paszportu konsularnego. Paszportu konsularnego mu odmówiono. Został aresztowany przez policję niemiecką — osadzony w więzieniu, a następnie odesłano go do obozu.

Władze niemieckie odmawiają Rojeckiemu przyznania statusu uchodźcy politycznego ponieważ — choć miał paszport PRL — przyjechał do Niemiec (ostatnio) nie z Polski, lecz z Izraela. W rezultacie Rojecki stracił wszystko — pracę, mieszkanie, urządzenie, meble. Jest dosłownie nikim, bo nawet nie jest DP-isem.

Sprawa Rojeckiego była szeroko omawiana w prasie niemieckiej. Ale nikt mu nie pomógł — ani Związek Dziennikarzy, ani jakakolwiek inna polska instytucja, bo Rojecki nie jest „swoim człowiekiem".

Kilka dni temu temu kancl. Adenauer w czasie konferencji prasowej wyraził obawę, że proces Eichmana wywoła falę uczuć antyniemieckich. Osobiście sądzę, że nie tyle Eichmann co formalistyczne, bezduszne stosowanie przepisów — czy to w sprawie odszkodowań dla kacetowców, czy to w wypadku bezbronnych ludzi, jak Rojecki mobilizuje uczucia antyniemieckie w świecie.

Apelujemy do organizacji polskich w Niemczech, a w szczególności do Związku Dziennikarzy, by wszczęły energiczne kroki w obronie Rojeckiego.

LONDYŃCZYK

Chiński dramat na albańskiej scenie

W drugiej połowie lutego, w stolicy Albanii Tiranie odbył się czwarty z kolei zjazd tamtejszej komunistycznej Partii Robotniczej. Wydarzeni

to nie zasługiwałoby na uwagę, gdyby na owym kongresie nie ujawnił się szereg nadzwyczaj ciekawych zjawisk, które wiążą się współzawodnictwem między chińską, a linią sowiecką w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Obserwatorzy rozdźwięków w bloku wschodnim, już wkrótce po ogłoszeniu uchwał listopadowej konferencji 81 partii komunistycznych, zarejestrowali, że komuniści albańscy skłaniają się raczej w kierunku Pekinu aniżeli Moskwy. W grudniu w Tiranie świętowano bardzo uroczyście 81 rocznicę urodzin Stalina. W kilka dni później przywódca komunistów albańskich Enwer Hodża wysłał depeszę gratulacyjną do Mao Tse-tunga z okazji 67 urodzin wodza komunizmu chińskiego. W depeszy tej Hodża oświadczył, że doktryna Mao posiada ogromne znaczenie dla międzynarodowego ruchu komunistycznego. Również Chińczycy w rozmaitych dokumentach, stwierdzili, że Albańczycy reprezentują prawidłowy kierunek marksizmu-leninizmu. Obydwie partie wydały w ciągu ostatnich miesięcy wiele deklaracji, w których wyrażono solidarność w walce przeciwko rewizjonizmowi jugosłowiańskiemu. W tym samym okresie czasu w Związku Sowieckim można było zanotować daleko idącą powściągliwość w stosunku do Jugosławii.

Sam zjazd partii albańskiej, stał się z miejsca platformą, na której starły się dwie różne tendencje. Chruszczow, w pozdrowieniu przekazanym przez Pospiełowa, jednego z głównych ideologów partii sowieckiej wyraził bardzo ogólnikowo i w sposób oschły sympatię wobec polityki prowadzonej w Tiranie. Mao Tse-tung natomiast rozpływał się w komplementach pod adresem partii albańskiej. Za główne zasługi Albańczyków uznał bezkompromisową walkę przeciwko „klice titowskiej" oraz obronę „czystości idei komunistycznej. Ta dziwna oś pomiędzy nieproporcjonalnymi sojusznikami wystąpiła bardzo wyraźnie w szeregu sformułowań, których użył Enwer Hodża w swoim zasadniczym referacie wygłoszonym na zjeździe. Wspomniał on bardzo pozytywnie o roli Stalina, zażądał, aby Chiny wzięły udział w ewentualnej nowej konferencji wielkich mocarstw, i zaatakował w bardzo agresywny sposób nowy rząd amerykański. Właśnie ten ostatni szczegół jest nadzwyczaj charakterystyczny jeśli chodzi o uwypuklenie różnic w bloku wschodnim. Jak wiadomo, Chruszczow i jego zwolennicy w państwach satelickich unikają konsekwentnie wszelkich ataków wobec polityki prezydenta Kennedy'ego.Chińczycy odrzucili od pierwszego dnia zmiany rządów w Ameryce tego rodzaju taktykę i kontynuują taką samą ostrą walkę przeciwko Kennedy'emu jak to czynili w stosunku do Eisenhowera. Ponadto, Enwer Hodża użył dobrze znanego starego tricku stalinowskiego, obwieścił bowiem delegatom na zjazd i gościom z partii zagranicznych, że albańskie władze bezpieczeństwa wykryły niedawno rzekomy spisek, którego celem było obalenie władzy komunistycznej w Albanii. Odpowiedzialnością za te knowania przywódca albański obarczył Jugosławię, Grecję oraz VI flotę amerykańską, operującą na Morzu Śródziemnym. Ciekawe, że Chińczycy zrobili dookoła tej sprawy wiele szumu, w Związku Sowieckim natomiast „sensacyjne" enuncjacje Hodży zupełnie zignorowano.

Potwierdzeniem istniejących nadal rozbieżności ideologicznych między Moskwą a Pekinem były wystąpienia delegatów zagranicznych. Pospiełow który imieniem delegacji sowieckiej wygłosił dość długie przemówienie, ostrzegł co prawda w sposób dość okrężny tym niemniej bardzo wymowny tych komunistów, którzy pragnęliby po swojemu interpretować uchwały mos-

kiewskie 81 partyj. Szczególnie ostro napiętnował on „sekciarzy" i „lewicowych renegatów" nie konkretyzując oczywiście kogo ma na myśli. Dokładnie taką samą linię nakreślił szef delegacji polskiej Roman Nowak, który ostrze swych wywodów zwrócił przeciwko tym wszystkim czynnikom, które podważając tezy Chruszczowa o koegzystencji, wyrządzają wielką szkodę ruchowi komunistycznemu. Mimo to Albańczycy znaleźli poparcie dla swych ultraradykalnych poglądów nie tylko u Chińczyków. Do ich stanowiska przychyliły się również delegacje takich partii jak indyjska, burmańska, indonezyjska, koreańska i malajska. Świadczyłoby to o tym, że rozdźwięk w międzynarodowym ruchu komunistycznym,, wbrew zapewnieniom, iż obecnie nie ma rzekomo żadnych niesnasek, poczynił w ostatnim okresie dalsze postępy. Partia albańska opowiedziała się jak najwyraźniej po stronie komunizmu chińskiego. Dla Moskwy, jeśli się zważy, że Albania od wielu lat czerpie pomoc gospodarczą i militarną ze Związku Sowieckiego jest to zjawisko bardzo nieprzyjemne. Prawdopodobnie dlatego Chruszczow odwołał z Tirany dotychczasowego ambasadora, zbyt słabego na skomplikowane zadania i posłał tam speca od zagadnień bałkańskich, a jednocześnie funkcjonariusza obeznanego dokładnie ze sprawami ideologicznymi, dawnego politruka w Armii Czerwonej — Szyjkina.

B.O.

Przegląd niemiecki

PRZED WYBORAMI

Zbliżające się wybory do parlamentu, chociaż odczuwalne na każdym kroku, nie zmieniły ustalonego od kilku lat życia codziennego w Niemczech Zachodnich. Przemysł pracuje na pełnych obrotach i bez wstrząsów. Nawet zabieg pięcioprocentowej zwyżki marki niemieckiej, z lekka utrudniający eksport, nic nie zmienił. Tak zwany „Wirtschaftswunder" trwa, ludzie wykorzystują to jak kto umie, nie zwracając większej uwagi na wydarzenia międzynarodowe. Partie i różne organizacje polityczne szykują się — też jak która umie — do wrześniowej rozgrywki. Jedynie politycy, zwłaszcza zawodowi, przeżywają emocje najróżniejszej natury.

Być może te przedwyborcze nastroje spowodowały, że zagadnienie stosunku Niemiec Zachodnich do Polski i Polaków uległo dalszemu zagmatwaniu, a różne poczynania pełne są sprzecznych i trudnych do zrozumienia posunięć zakulisowych w Bonn. Z wielu plotek, niedyskrecji przypadkowych i celowych, oświadczeń i zaprzeczeń, wywołanych warszawskimi podróżami Bertholda Beitza, można jednak wyciągnąć trzy istotne dla nas wnioski:

— Myśl nawiązania i ułożenia nieistniejących od 1939 roku stosunków niemiecko-polskich dojrzewa i rozrasta się wśród polityków, powodując znamienne wypowiedzi, lub epizody w rodzaju inicjatywy koncernu Kruppa.

— Wpływy niezłomnych odnawiaczy dawnej Rzeszy są wciąż jeszcze dostatecznie silne, by unicestwiać próby porozumienia nie zapewniającego Niemcom granic co najmniej z 1937 roku i uprawnień „mniejszościowych" w Polsce. (Tu należy zauważyć, że jednocześnie Związek Polaków w Niemczech — byłych obywateli Trzeciej Rzeszy — w szesnaście lat po wojnie nie zdołał uzyskać odszkodowania za zrabowany w hitlerowskich czasach majątek, ani należytego szkolnictwa „mniejszościowego").

— Zmiana tej sytuacji może nastąpić nie wcześniej jak w kilka miesięcy po wrześniowych wyborach. Nie pozostaje przeto nic innego, jak cierpliwie oczekiwać i obserwować wydarzenia. Cierpliwie, bo tak się warunki układają, że wcale nie jest pewne, aby nawiązanie i uporządkowanie wzajemnych

stosunków było nam potrzebniejsze niż krystalizującemu się państwu zachodnio-niemieckiemu.



Równolegle z przejawami dążeń do porozumienia wśród niektórych dygnitarzy i polityków, można od pewnego czasu obserwować podobne oddolne zjawisko, zwłaszcza wśród młodszego pokolenia nie pamiętającego rządów i praktyk Trzeciej Rzeszy; roczniki 1939-40-41 już masowo zapełniają pierwsze semestry wyższych uczelni. Ilość zebrań młodzieżowych, poświęconych zagadnieniom polskim i dyskusjom na temat wzajemnych stosunków, była w ubiegłym roku tak duża, że można było doszukiwać się jakiegoś planowego działania. Okazuje się jednak, że ani sfery rządowe, ani duchowne, lub partyjne nie inicjują takich zebrań,chociaż je tolerują i niejednokrotnie wydatnie wspomagają.

Tego rodzaju zebrania dają wiele do myślenia, wiele wyjaśniają i pobudzają optymistyczne nadzieje. Przykłady: Uniwersytet Ludowy (*Volkshochschule*) dużego miasta na północy Niemiec urządza sobotnio-niedzielne seminarium na temat stosunków niemiecko-polskich. Około osiemdziesięciu uczestników poniżej 25 lat, na ogół dobrze orientujących się w historii i stosunkach polskich, zarzuca kierownika kursu bardzo rzeczowymi pytaniami. Kierownik ze swej strony wykazuje niezwykle obiektywną i tak obszerną znajomość naszej historii, że mógłby mu jej pozazdrościć niejeden z naszych rodaków zaliczanych do inteligencji. Na niedyskretne pytanie kierownik odpowiada z humorem: — To moja łysina trochę mnie postarza, mam 28 lat, w Polsce nigdy nie byłem, ale przed dwoma laty uzyskałem doktorat u profesora L. za temat z historii Polski. Profesor L. żywo uczestniczył w zjeździe historyków niemieckich i polskich w Tybindze w 1956 roku.

Inne zebranie, w Bawarii, organizowane przez jeden z wielu związków młodzieżowych. Po referacie o stosunkach niemiecko-polskich dyskusja. Kilku starszych dyskutantów porusza osobiste przeżycia i dramaty wysiedleńcze. Młody student politechniki stawia wniosek: Porzućmy wreszcie podejścia uczuciowe, dyktujmy rzeczowo możliwości przyszłego współżycia.

Jeszcze inne podobne zebranie dyskusyjne w Nadrenii. Jest obecnych kilka uczennic gimnazjalnych, wśród nich jedna Polka. Siedzą zwartym stadkiem, często szepcąc coś między sobą. W dyskusji jeden ze starszych panów, socjalnie i politycznie dość wysoko postawiony, czterokrotnie zabiera głos, ani razu nie wykroczywszy poza granicę osobistych przeżyć i zarzutów. Znudzone dwie uczenice, Niemki, zapytują obecną Polkę: — Jak myślisz, czy możemy z tym polskim referentem pogadać po zebraniu, ale same, bez tych starych nudziarzy?

Te przykłady potwierdzają słuszność myśli Georga Streitera, politycznego redaktora miesięcznika „West-Oestliche Begegnung", stwierdzającego, że „Dopiero nowa generacja, nie będąca już świadkami ZŁA, będzie mogła pewnego dnia stanąć bez uprzedzeń do wspólnej rozmowy; generacja ludzi patrzących w przyszłość a nie w przeszłość i uwolnionych od balastu niemożliwości zapomnienia".

Zdanie Streitera, rokujące możliwość porozumienia w ciągu niedalekich lat, ale nie teraz, w szesnaście lat po zakończeniu działań wojennych,

trudno nazwać optymistycznym. Ale w warunkach, gdy jeszcze głosy „niezłomnych" wywierają na decyzje państwowe mocniejszy wpływ, niż głęboko przemyślane słowa kardynała Doepfnera i ewangelickiego teologa, profesora Bartha, gdy wypowiedzi wybitnych filozofów, historyków i publicystów mogą być skutecznie tłumione niewybredną połajanką, sama nadzieja możliwości porozumienia — niezbędnego dla obu narodów — jest pocieszająca.



Wrześniowe wybory przesądzą trzy zagadnienia:

Pozostanie przy władzy rządzących od dwunastu lat katolickich i protestanckich demokratów, lub ujęcie władzy przez socjalistów;

Wzrost, lub zanik wpływów i znaczenia „trzeciej siły", wywodzącej się od dawnych liberałów i zgrupowanej w FDP (*Freie Demokratische Partei*);

Zagładę, lub dalszą wegetację dwóch partii: konserwatywno-narodowej partii dolno-saskich Bauerów DP. (*Deutsche Partei*) i koniunkturalnego Bloku Ogólnoniemieckiego GB/BHE (*Gesamtdeutscher Block, dawniej Block der Heimatvertriebenen und Entrechteten BHE*).

Przy nikłych widokach powodzenia wyborczego DP i GB/BHE i wobec ciągot liberałów do ponownego związania się z grupą Adenauera, o charakterze przyszłego rządu zadecyduje rozgrywka między Chrześcijańskimi Demokratami i Socjalistami.

Do tej rozgrywki ugrupowanie dziś rządzące przystępuje pod dwoma hasłami: na wewnątrz — żadnych eksperymentów! Utwierdzać i poszerzać osiągnięty dobrobyt; na zewnątrz — wzmacniać powiązania z zachodnimi sojusznikami i współpracę w „szóstce" europejskiej. Nadzieje sukcesu Chrześcijańscy Demokraci opierają na zaufaniu wypływającym z ogólnego dobrobytu i z innych osiągnięć dwunastu lat rządów, oraz na popularności czołowych polityków tej grupy.

Proces wielkich przeobrażeń, trwający wśród niemieckich socjalistów, jest jeszcze daleki od ustalenia nowych podstaw ideologicznych i taktycznych, obowiązujących na dłuższy czas. Być może dlatego — jako magnes mający przyciągnąć wyborców — socjaliści wyznaczyli kandydata na przyszłego kanclerza w osobie Willi Brandta (1), którego popularność należy przypisywać raczej trudnemu stanowisku nadburmistrza Berlina, niż działalności partyjnej. Wysunięcie kandydatury dynamicznego nadburmistrza pozwala domyślać się, że SPD ma nadzieję łatwiej dojść do władzy przy pomocy popularnego nazwiska i amerykańskiego hasła „odmładzania", niż na drodze ideologicznych programów. Brandt w grudniu rb. ukończy 48 lat; o kilka tygodniu później Adenauer — 86, a Erhard — 66.



Niemiecki Instytut Demoskopii (*Umfragen über Adenauer*, Verlag für

---

(1) Willy BRANDT — jest to pseudonim z czasów emigracji w latach 1934-45 urodzonego 18 grudnia 1913 roku w Lubece Karla Herberta FRAHM'a. Brandt od 1949 roku jest posłem SPD, od 1957 — rządzacym Nadburmistrzem Berlina i prezesem niemieckiego parlamentu rad gminnych i miejskich.

Demoskopie, Allenbach — Bonn 1961) podaje interesujące wyniki ankiety dotyczącej popularności poszczególnych polityków:

Pytanie: „*Z wymienionych tu piętnastu polityków czynnych w Niemczech — kogo uważasz za najzdolniejszego, najsprawniejszego?*".

Odpowiedzi otrzymane w czerwcu 1959 roku.

	Ogółem %	*Mężczyźni* %	*Kobiety* %	*CDU/CSU* %	*SPD* %	*FDP* %
Konrad Adenauer	28	27	29	54	10	13
Willy Brandt	17	20	15	8	28	18
Ludwig Erhard (wice-kanclerz)	13	15	11	13	9	25
Theodor Heuss (b. prezydent)	10	8	12	8	11	9
Carlo Schmid (wice marsz. Parlamentu, w.-prezes SPD)	9	12	6	2	22	11
Erich Ollehauer (prezes SPD)	3	4	3	1	9	—
Eugen Gerstenmaier (marsz. Parlamentu)	3	4	3	2	3	10
Heinrich Lübke (prezydent)	2	2	2	2	1	1
Heinrich Krone (Prezes Frakcji CDU/CSU)	1	1	—	1	—	—
Franz Etzel (Minister Skarbu)	—	—	—	—	—	3
Fritz Schaeffer (min. spraw.)	—	—	—	—	—	—
Karl Mommer (sekr. frakcji SPD)	—	—	—	—	—	—
Gerhard Schröder (min. spraw wewnętrznych)	—	—	—	—	—	—
Franz-Josef Strauss (min. spr. wojsk.)	—	—	—	1	—	—
Odpowiedzi „Nie wiem" itp.	15	9	19	8	8	10

Pytanie: „*Kto z wielkich Niemców najwięcej dla Niemiec uczynił?*". Czas i % odpowiedzi:

	Stycz. 1950	*Sierp.* 1953	*List.* 1953	*Stycz.* 1955	*Wrześ.* 1955	*Stycz.* 1956	*Paźdz.* 1958
Bismarck	35	36	32	30	32	27	23
Adenauer	—	3	9	17	15	24	26
Hitler	10	9	9	7	6	8	4

•

Przed parlamentem, jaki ukonstytuuje się po jesiennych wyborach, wyłania się ewentualność niezwykle ważnej i trudnej decyzji o wielkim historycznym znaczeniu, decyzji uznania drugiego państwa niemieckiego, tzn. nieuznawanej dotychczas „Niemieckiej Republiki Demokratycznej". Wielu polityków niemieckich wprost nie chce dopuszczać myśli o możliwości potrzeby takiej decyzji. Czy jednak dotychczas obowiązująca w Niemczech teoria o niepodzielności sukcesji po Drugiej i Trzeciej Rzeszy da się utrzymać przy życiu — można powątpiewać.

Zagadnienie bowiem — jedno czy dwa państwa niemieckie — powstało i istnieje i prędzej lub później musi znaleźć swe rozwiązanie.

S. W. KOZŁOWSKI

Sowiecki antysemityzm

Juliusz Streicher, wydawca i redaktor ,,Der Stuermer'' zawisł wprawdzie na szubienicy z wyroku Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze, ale w ZSSR został rehabilitowany.

Streicher był propagatorem najobrzydliwszej formy antysemityzmu, której wstydzili się nawet ,,ideolodzy'' tego kierunku. ,,Der Stuermer'' zamieszczał ryciny przedstawiające Żydów jako degeneratów, ludzi fizycznie wręcz odrażających. Były to ilustracje do artykułów o niszczycielskiej, trucicielskiej i zbrodniczej działalności Żydów.

Takimi samymi ilustracjami, odpowiednio przystosowanymi do terenu, ozdabia swój artykuł niejaka H.S. Rusakiwśka w miesięczniku ,,Nauka i Żittia'', oficjalnym organie ,,Towarzystwa Krzewienia Politycznej i Naukowej Wiedzy-Ukraińskiej SRR''.

Instytucja wydająca ten ,,naukowo-popularny miesięcznik'' jest ogólno-sowiecką. Pod takim samym tytułem jako mutacja ukazuje się to pismo w różnych językach.

Dlatego też, choć artykuł Rusakiwśkiej ukazał się w języku ukraińskim nie znaczy, że jest wyrazem nastrojów społeczeństwa ukraińskiego, że obrazuje jego nastawienie. Wręcz przeciwnie! Wolno zaryzykować twierdzenie, że ogłaszając ten artykuł, właśnie w języku ukraińskim, Moskwa świadomie zmierzała do obarczenia społeczeństwa ukraińskiego odpowiedzialnością za swoją politykę.

,,Na służbie imperializmu'' brzmi tytuł artykułu w sowieckim piśmie. Nad nagłówkiem rysunek, żywcem wzięty ze ,,Stuermera'': potężne cielsko w cylindrze, na którego brzuchu widnieje znak dolara ,,$'', po lewej ręce w kabłąk zgięta postać, trzymająca w zębach kapelusz, takaż postać po prawej stronie. Na pierwszej widnieje napis ,,judaizm'', na drugiej ,,syjonizm''. Cielsko sypie dolary w nastawione kapelusze.

Rycina wprowadza Czytelnika w sedno rzeczy. Można by nawet zrezygnować z lektury artykułu, tym bardziej, iż jest kilka dalszych rysunków niemniej wymownych. I tak dwa wskazują, jak to ,,syjonizm'' usiłuje bezskutecznie rozwalić

„braterstwo pracujących". Objaśniający napis głosi: „W rękach imperialistycznej reakcji syjonizm stanowi instrument walki z robotniczo-rewolucyjnym ruchem".

Dalszy rysunek — chyba najbardziej cyniczny to wysoki but żołnierski, na którym widnieje swastyka. Przed tym butem zgięta w służalczej pozie „idealna" postać Żyda.

A napis głosi: „W roku hitlerowskiej okupacji przywódcy syjonistyczni służyli faszystom".

Inny rysunek przedstawia Żyda, który miętosi w misie banknoty i monety. „W synagogach znajdują schronienie wszelkiego rodzaju oszuści i obieżyświaty" — brzmi wyjaśnienie do ryciny.

No, ale dość o ilustracjach, przejdźmy do tego tekstu „popularno-naukowego".

Termin „judaizm" oznacza, zdaniem autorki „system religijnych poglądów i obrządków wierzących Żydów". Po rozejściu się ludności Palestyny po różnych krajach — wywodzi ta „uczona" sowiecka — powstała nowa forma żydowskiej społeczności religijnej — synagoga.

Pod tym autorytatywnym stwierdzeniu pisze:

„Judaizm był zawsze wrogo nastawiony do rewolucyjnego ruchu, w tym również do żydowskiego ruchu robotniczego. W synagogach, we wszystkich sprawach, decydowali bogaci".

Na potwierdzenie tych słów cytuje dowody:

„Halperin właściciel cukrowni w carskiej Rosji eksploatował nie gorzej Ukraińców i Rosjan, jak biedotę żydowską. Kacnelson, przedstawiciel carskiej ochrany, składał systematycznie doniesienia na rewolucyjnie nastrojonych robotników".

Judaizm był jeśli nie wprost na służbie carskiej to współdziałał w walce z ruchem rewolucyjnym. Przywódcy religijni otrzymywali za to sowite nagrody. I znowu niezwykle przekonywujący dowód.

„Muratow, tambowski gubernator, w 1907 r. ubiegał się u ministra spraw wewnętrznych Stołypina o odznaczenie złotym medalem miejscowego rabina Joffego, który pomógł w zdławieniu politycznych niepokojów".

Ale ponieważ Rusakiwśka nie zamierza bronić caryzmu, ani przedstawić go jako opiekuna Żydów, więc dodaje, że władze carskie siały antysemityzm dla rozbijania jedności klasy robotniczej i że z antysemityzmem walczyli przede wszystkim Lenin, L. Tołstoj, M. Gorkij, W. Korolenko i „postępowi działacze społeczni".

„Duchowieństwo judaistyczne ustosunkowało się wrogo do rewolucji październikowej. Na czele synagog i organizacji religijnych stali w pierwszym okresie władzy sowieckiej przemysłowcy i spekulanci. Rabini zakazywali wierzącym posyłania dzieci do szkół, usuwali z synagog ojców, których dzieci wstąpiły do pionierów lub komsomołu. Kontrrewolucyjni wyznawcy

judaistycznej religii utrzymywali ścisły związek ze światową reakcją zagranicą. Kiedy w 1930 r. Papież proklamował „krzyżową wyprawę" przeciwko naszemu państwu, przyłączyli się do niej rabini. Oni to uzupełnili różne oszczerstwa na naród sowiecki, wezwali światową burżuazję żydowską do finansowania zbrojnej interwencji państw kapitalistycznych przeciwko socjalistycznej ojczyźnie".

Niestety znakomita autorka nie uzupełnia swoich wywodów równie przekonywującymi dowodami, jak poprzednio. Nie wyjaśnia nam więc kiedy dokładnie w latach 1930 odbył się ten „pochód krzyżowy", proklamowany przez papieża i finansowany przez kapitalistów żydowskich. Zrezygnowała również z podania jak zakończyła się ta wyprawa. Ale pisze dalej:

„Szczególnie reakcyjnym rysem judaizmu jest jego specyficzny nacjonalizm: poza Żydami nikt nie może wyznawać judaistycznej religii. Znalazło to swój wyraz w żydowskim, burżuazyjnym nacjonalizmie-syjonizmie, który powstał pod koniec XIX wieku... Główne jego zadanie to walka z marksizmem i rewolucyjnym ruchem. Celem jego jest oderwanie żydowskiej klasy pracującej od klasowej walki międzynarodowego proletariatu, rozpalenie uprzedzeń między Żydami a innymi narodowościami... Syjonizm wypracował specjalną teorię, głoszącą iż między robotnikami żydowskimi a robotnikami innych narodowości istnieje ogromny antagonizm".

„Aby wkraść się w zaufanie robotników, syjoniści podszyli się pod socjalizm, nazwali swoją partię „Poalej Sjon" (Robotnicy Syjonu). Naturalnie nie udało się to, gdyż już w przeddzień rewolucji 1905 r. okazało się, że partia ta służy burżuazji żydowskiej, głosząc że „rosyjska rewolucja nie dotyczy Żydów, i nie rozwiąże problemu żydowskiego".

Czegoż wobec tego można się było w dalszym rozwoju wydarzeń spodziewać od Żydów?

„Po rewolucji październikowej, która przyniosła wszystkim narodom Rosji, w tym i Żydom, pełne wyzwolenia z ucisku socjalnego i narodowego, *syjoniści utworzyli szereg antyradzieckich nacjonalistycznych organizacji, których szpiegowsko-sabotażową działalnością kierowali amerykańscy i angielscy imperialiści. Rewuckij i Goldman, przywódcy „Poalej-Sjonu" na Ukrainie w latach* 1918-1919 *brali czynny udział w tworzeniu kontrrewolucyjnej Rady i rządu hetmana Skoropadskiego. Jeden z głównych przywódców „Ogólnych Syjonistów" Żabotyński, współpracował z okrutnym wrogiem narodu ukraińskiego Petlurą, z którym zawarł specjalną umowę. Do walki z radziecką władzą Żabotyński zorganizował żydowski legion wojskowy „Brit Hahajasz"* (Związek wojskowy), który rozpadł się natychmiast po rozgromie Petlury".

„Po zakończeniu wojny domowej syjoniści kontynuowali działalność antyradziecką. Wszelkimi sposobami przeszkadzali oni podjęciu pracy przez zdeklasowaną część ludności żydowskiej, werbowali młodzież dla emigracji do Palestyny. Wespół z kułakami i NEP-manami przeciwstawiali się wysiłkom partii komunistycznej zmierzającym do socjalistycznej przebudowy kraju".

„W latach hitlerowskiej okupacji kiedy prześladowano setki tysięcy Żydów, kiedy ginęli oni z rąk hitlerowskich morderców, przywódcy syjonistyczni pomagali nazistom. Kierownik Towarzystwa Kolonizacyjnego Żydów dr Nosig był doradcą Gestapo. W 1944 r., w przeddzień bohater-

skiego powstania w warszawskim getcie, bojowa antyfaszystowska organizacja żydowska wydała wyrok śmierci na gestapowca-syjonistę".

„Uczona" autorka pomieszała przy tym daty, gdyż w 1944 getto było już zlikwidowane, natomiast w sierpniu tego roku wybuchło powstanie w Warszawie. Ale cóż znaczą takie drobnostki...

Niebezpieczeństwo żydowskie nie skończyło się. Powstał Izrael, jako oręż „imperialistów". Rządy tego państwa są reakcyjne, jęczą pod ich jarzmem robotnicy. Żydzi z Azji i Afryki wykonują niewolnicze prace i podlegają dyskryminacji. Stany Zjednoczone płacą Izraelowi za swoje bazy wojskowe.

„Głosząc iż Izrael jest ojczyzną wszystkich Żydów, przywódcy syjonistyczni wykorzystywują nacjonalistów żydowskich w krajach ludowej demokracji dla ożywienia działalności szpicgowsko-sabotażowej".

Ilustracją oblicza Izraela jest zdaniem autorki fakt, że jest to jedyne państwo otrzymujące reparacje od NRF.

„A przecież wszystkim doskonale wiadomo, że z powodu okupacji ucierpiał nie Izrael, ale ci Żydzi, którzy żyli i żyją na terytorium ZSSR, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bulgarii i Rumunii. W rzeczywistości reparacje przeznaczone są na budownictwo lotnisk wojskowych, szos strategicznych, przemysłu wojennego itp. Słowem nie jest to pomoc dla ofiar faszyzmu, lecz forma zapłaty dla amerykańskiej agentury i za ujarzmienie klasy pracującej narodu żydowskiego".

A kto propaguje antysemityzm? Oczywiście syjoniści.

„Chociaż syjoniści wiele mówią o problemie żydowskim jednakże nie spieszno im z rozwiązaniem go. Więcej, weszli na drogę zaognienia antysemityzmu. Ben Gurion, premier Izraela, złożył oświadczenie w którym powiedział: „Nie wstydzę się przyznać, że gdybym posiadał nie tylko wolę, ale i moc wybrałbym grupę bardzo młodych, rozsądnych i skromnych ludzi, oddanych naszej idei i pragnących pomóc w powrocie Żydów i wysłałbym ich do tych krajów, w których Żydzi pogrążyli się w grzesznym samozadowoleniu. Zadaniem tych młodych ludzi byłoby szerzenie haseł antysemickich, prześladowanie nimi tych Żydów. Naturalnie musieliby działać pod obcymi maskami. Zapewniam, że w wyniku takiej akcji przybyłoby z tych krajów 10.000 razy więcej imigrantów aniżeli w następstwie działalności tysięcy emisariuszy wygłaszających marne kazania". A więc jak z tego wynika syjonizm i antysemityzm to dwie strony tego samego medalu, zrodzonego przez burżuazyjny system społeczny".

Izrael — czytamy dalej w „Nauka i Žittia" — prowadzi „pod ideologicznym sztandarem walkę przeciwko narodom arabskim i komunistom". Z dalekich stron powraca jednak autorka do kraju ojczystego. Trzeba wzbudzić uczucia do Żydów przykładami terenowymi, bliższymi. A więc znowu okres wojny.

W obronie ojczyzny walczyły wszystkie narody. Byli i Żydzi-żołnierze „ale byli i tacy, którzy zdradzili swoją ojczyznę i poszli na służbę faszystów. Jednym z nich był W. Waj-

sztejn, którego w 1942 r. gestapowcy mianowali naczelnikiem bloku obozu koncentracyjnego we wsi Bałki, powiat Barsk...".

Ogromne przestępstwo antypaństwowe obarcza niejakiego Rżawińskiego, rabina wsi Kliszkiwce, w województwie Czerniowce, który „wszedł na drogę fałszerstwa. Na listę członków tak zwanej „dwunastki" wpisał nie tylko osoby nie mające nic wspólnego z religią, jak np. komunistę M. Golikmana, który tylko w dzieciństwie był w synagodze, ale i ludzi dawno zmarłych".

Dlaczego dopuścił się tej zbrodni? Aby uzyskać zezwolenie na otwarcie synagogi. I jakże w tych warunkach mieć zaufanie do Żydów?

Inny rabin, nazwiskiem Sztraks, 23 marca 1955 r. w synagodze w Chersoniu pieniądze złożone na tacy schował do kieszeni. Podobnie postąpili rabini Placht i Hojfman. Ale autorka wobec tych dwóch ostatnich nie jest już tak dokładna ani w określeniu dnia ani miejsca.

Swoje wywody kończy Rusakiwśka następująco:

„Judaizm to jeden z przeżytków ideologii burżuazyjnej. Większość ludności żydowskiej naszego kraju zerwała z tą reakcyjną przeszłością, ale pewna część pozostaje jeszcze pod wpływem duchowieństwa judaistycznego, zatruwającego jeszcze ciągle świadomość wierzących. Ujawniając reakcyjną istotę judaizmu i syjonizmu trzeba wychowywać wszystkie narody Związku Sowieckiego w duchu proletariackiego internacjonalizmu, w duchu ofiarnej walki o zwycięstwo komunizmu".



Chruszczow na pierwszej konferencji prasowej w Stanach Zjednoczonych, we wrześniu 1959 r. w odpowiedzi na pytanie w sprawie antysemityzmu oświadczył, że w ZSSR istnieje braterstwo narodów. Wszystkie żyją w zgodzie i miłości. Nie ma więc żadnego problemu narodowościowego.

Artykuł w „Nauka i Żittia" jest ilustracją tego stwierdzenia.

Kraj

Skrawek Ojczyzny (II)

Województwo warszawskie było zawsze i przede wszystkim, bo aż w 70 % województwem rolniczym, i jest nim dalej. Miało także swój przemysł, który w 15 lat po ostatniej wojnie został przemianowany na Warszawski Okręg Przemysłowy, wytwarzający 9 % globalnej produkcji przemysłowej Polski i zatrudniający przeszło ćwierć miliona robotników. Obejmuje on swoim zasięgiem wyłącznie powiaty podwarszawskie i składa się z dwóch podstawowych gałęzi: przemysłu maszynowego i metalowego wytwarzających ciągniki, maszyny rolnicze, obrabiarki i niektóre wyroby przemysłu włókienniczego, spożywczego, chemicznego i gumowego.

Ostatnia wojna dotknęła województwo warszawskie specjalnie dotkliwie nie tylko z uwagi na samą Warszawę, zniszczoną kompletnie. Na wsi, co czwarta zagroda chłopska uległa zniszczeniu a z 2088 zakładów przemysłowych ocalało tylko 627, z których z kolei jedynie niewielki procent nadawał się do natychmiastowego uruchomienia.

Kolejnictwo uległo zniszczeniu w 80%, poczta i telekomunikacja w 60 %, rolnictwo i przemysł rolny w 35 %, a gospodarka leśna w 30%. Odbudowa stolicy, skupienie na niej całej uwagi władz państwowych, tworzenie zaplecza przemysłowego wokół Warszawy i tylko dla niej — odwróciło na wiele lat uwagę od całokształtu stosunków ekonomicznych w innych częściach województwa warszawskiego, co w następstwie doprowadziło do jednego z największych kontrastów w sercu Polski: Warszawa-pałac leży na ziemi pańszczyźnianych chałup o słomianych dachach, parterowych i piętrowych domków, drewnianych lub świecących nagą, nieotynkowaną cegłą.

Wieloletnia odbudowa stolicy, odbywająca się w warunkach zupełnej izolacji od problemów całego województwa, stworzyła w samej stolicy i jej podstołecznym rejonie trudności mieszkaniowe i komunikacyjne, których rozwiązanie nie nastąpi ani w

tej, ani w przyszłej pięciolatce. Ucieczka ludzi ze wsi i bliższych i dalszych miasteczek do stolicy i jej okręgu przemysłowego stworzyła drugi z największych paradoksów serca kraju: codzienne przelewanie się mas ludzkich śpieszących do pracy z jednego krańca Warszawy na drugi. Ze Skierniewic i Żyrardowa do Otwocka, a z Otwocka do Piaseczna lub Góry Kalwarii i na odwrót.

Ziemia mazowiecka cierpi na wiele innych chorób. Cierpi na przewagę gospodarczą rolnictwa nad przemysłem z powodu niemożności rozbudowy własnej bazy surowcowej. Rolnictwa, które rozdrabnia się coraz bardziej w małe, indywidualne gospodarstwa. Cierpi na brak rozbudowanej sieci komunikacyjnej, na złe drogi główne i boczne, słabe mosty, mały i ciągle niewystarczający, a do tego przestarzały tabor samochodowy i kolejowy. Cierpi na brak dostatecznej ilości urządzeń melioracyjnych, na dotkliwy brak wody w wielu ośrodkach miejskich, zwłaszcza tych, które są już skupiskami przemysłowymi, na brak odpowiednich urządzeń oczyszczania ścieków fabrycznych, urządzeń wodno-kanalizacyjnych. W ogóle uporządkowanie i wykorzystanie wody jest zagadnieniem niemniej istotnym od budownictwa mieszkaniowego.

Cztery zasadnicze rejony województwa warszawskiego są biegunowo różne i aż dziw bierze, że każdy kierunek marszruty z Warszawy na północ, południe, wschód czy zachód w promieniu 100 km, dając coraz to inny obraz topograficzny, ukazuje niezmienne zaniedbanie i zacofanie gospodarcze, a co z tym idzie w parze — społeczne i kulturalne.

Rejon podwarszawski, w którym mieszka 65 % ogółu ludności miejskiej województwa i koncentruje się większość zakładów przemysłowych jest ściśle związany z samą Warszawą. Tu wszystkie bolączki życia współczesnego występują w sposób jak najbardziej jaskrawy i dokuczliwy. Drugim jest rejon podlaski, słabo zorganizowany gospodarczo, z 17 % ludności miejskiej — procentem najniższym nie tylko w samym województwie ale i w skali krajowej. Trzeci — kurpiowski, stojący jeszcze niżej od podlaskiego, składa się z samych łąk i pastwisk, które potrzebują wielu inwestycji melioracyjnych i wodnych i jak dotąd nic się nie dzieje w tym kierunku. Jedynie rejon płocko-ciechanowski, podobnie jak i sąsiednie rejony typowo rolniczy, otrzymuje w Płocku rafinerię nafty i kombinat petrochemiczny awansując w ten sposób w hierarchii ekonomicznej województwa na drugie miejsce po stolicy.



Województwo warszawskie rozporządza wieloma środkami lokomocji: pociągami elektrycznymi, parowymi, wąskotorowymi i komunikacją samochodową (PKS). Z samej Warszawy do szeregu miejscowości podwarszawskich docierają kolejki EKD (Elektryczna Kolej Dojazdowa), tramwaje, czerwone samochody

komunikacji miejskiej (MPK), a w samym mieście jeszcze i trolejbusy. Granice wielkiej Warszawy znalazły się daleko od centrum miasta i przeciętna trasa czerwonych samochodów komunikacji miejskiej wynosi 17 do 20 km, podobnie jak i niektórych tramwajów. Kolejki EKD dochodzą jeszcze dalej, wąskotorowe sięgają najdalej aż do Nowego Miasta n/Pilicą, a więc 80 km. Samochody PKS na terenie województwa docierają do najdalszych punktów miejskich i wiejskich, do Żuromina i Płocka — na trasach ponad 120 km, i łączą także stolicę z Zakopanem, Olsztynem, Białymstokiem i setką innych miejscowości, zaś kolej elektryczna i parowa tak z całym województwem jak i resztą kraju.

Niestety, nawet ten olbrzymi wysiłek jaki położono, zwłaszcza po październiku, na rozbudowę i usprawnienie komunikacji tylko w niewielkiej cząstce poprawił sytuację.

Prymityw komunikacji polskiej jest zaskakujący. Nowe wozy kolejowe, tramwajowe i autobusy widzi się tylko na terenie Warszawy, w większych miastach wojewódzkich i na głównych szlakach komunikacyjnych. Czym dalej od stolicy, tym gorzej podróżuje się, przy czym tempo tej podróży nic a nic nie zmieniło się od czasów kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Petersburskiej. Trasę kolejową 97 km Warszawa — Ciechanów przebywa się pociągiem osobowym w 2 godziny, pośpiesznym w półtorej. Z Warszawy do Łodzi na trasie 132 km jedzie się 2 godziny i 32 minuty pociągiem osobowym, pośpiesznym zaś 2 godziny. Z Warszawy do Płocka, na trasie 120 km jedzie się PKS-em 3 i pół godziny, do Żuromina 4 godziny, kolejką wąskotorowa, osobową do Nowego Miasta n/Pilicą na trasie 80 km, 4 i pół godziny, pośpieszna 2 i pół godziny. Najlepiej jeszcze spisuje się stara kolejka dojazdowa (EKD) i PKS-owska komunikacja podwarszawska, gdzie autobusy jeżdżą co 20 min. i 30 min. i trasę 20 km. przebywają w pół godziny. Tak więc osobowa komunikacja kolejowa i samochodowa na terenie całego kraju odbywa się w tempie nie przekraczającym 40 km./godz.

Ale czym dalej od Warszawy, tym gorzej. Z Piaseczna do Grójca prócz kolejki wąskotorowej poruszającej się z szybkością 20 km/godz. chodzą także autobusy PKS-u, stare graty sprzed 10 i więcej lat, brudne, z nieuprzejmą obsługą. Podobnie wyglądają wszystkie szczeble komunikacji w innych powiatach. Na wszystkich tych lokalnych trasach, jak np. Ciechanów — Płońsk, Ostrołęka — Maków Mazowiecki, Płock — Żuromin itp. chodzą stare wozy a pasażerowie są zdani na łaskę i niełaskę, dobry lub zły humor konduktorów i kierowców. Podobnie dzieje się w kolejnictwie na trasach lokalnych, powiatowych, a choć tam pasażer nie jest już narażony na gburowatość i łaskę konduktora, niszczy za to ubranie i mienie o brudne ławki, półki, okna, drzwi oraz sadzę wpadającą do wagonów przez wszystkie szczeliny. Z Kutna do Gostynina, czy też z Nasielska do Płońska i Sierpca, tak jak i na innych bocznych liniach kursują stare wagony z siatką na rzeczy w miejsce półki, brudne i

okopcone, oświetlone gazem, który nie we wszystkich wagonach funkcjonuje. Tu nie przestrzega się zasady — wagon dla niepalących, wagon dla palących, podobnie jak na dalekobieżnych liniach PKS-owskich nie przestrzega się zasady uprzejmości i uczynności konduktora i kierowcy względem pasażera, nie mówiąc już o punktualności wyruszenia, zatrzymywania się na przystankach i dalszego odjazdu.

Kierowcy i konduktorzy PKS trzymają się starej zasady, która ma już za sobą 20-letnią tradycję: są oni współwłaścicielami wozu na trasie jego podróży. Za jedne 5 lub 10 złotych wysadzają i wsadzają podróżnych po drodze, przed, po i między przystankami, ładują i wyładowują bagaże na dach wozu i do środka wozu, udostępniają zarezerwowane miejsca na przodzie lub dopychają środek autobusu wracającymi z targu wieśniakami i wieśniaczkami, powodując nadmierne jego przeciążenie. Tylko na podmiejskich liniach PKS-u gdzie chodzą nowe Carosy i Fiaty istnieje zakaz palenia. Na trasach dalekobieżnych zakaz ten nie istnieje; pasażerowie, zwłaszcza kobiety i dzieci znoszą niesamowite męki na ciasnych siedzeniach, w zapchanym do ostatniego stojącego miejsca wozie, w którym większość pasażerów przez 2, 3 lub 4 godziny jazdy pali duszące i gryzące ,,Sporty'', ,,Mocne'' i inne podłe gatunki papierosów. Zapach alkoholu, niedomytych ciał, kiełbasy, czosnku i cebuli, benzyny i tytoniu, wielogodzinna podróż w tych warunkach daje się we znaki nawet najbardziej odpornym organizmom. Obraz brudnego wozu, bo są one tak jak ludzie, najczęściej niedomyte, nieogolonego, niechlujnie wyglądającego, w brudnej koszuli, brudnych rękach i w pomiętym szaro-granatowym mundurze konduktora, który grubiańsko traktuje pasażerów — długo tkwi w pamięci i wywołuje niechęć do jakiegokolwiek tańszego podróżowania po Polsce. Pozostaje więc samolot, taksówka i 1-sza klasa pociągów dalekobieżnych, bo pociągi elektryczne podmiejskie tego rodzaju luksusem nie dysponują. Jednakże i tu podróżnego, który pragnie ciszy, spokoju i względnej czystości współpasażerów — prześladują ludzie. Są nimi najczęściej kolejarze. Kolejarze w Polsce Ludowej posiadają 80% zniżki. Ci więc najczęściej korzystają z przedziałów I klasy. Nikogo już więc nie dziwi, skromnie siedzący cywil — rodzynka w cieście granatowych, kolejarskich mundurów w przedziale 1 klasy PKP.

Plaga ulg państwowych i miejskich w postaci bezpłatnego korzystania z miejskich i państwowych linii komunikacyjnych przez urzędników kolejowych, milicje, pracowników EKD, PKS, MPK, całej masy innych funkcjonariuszy jest najbardziej widoczna i dokuczliwa na tak zwanych miejskich liniach autobusów pośpiesznych, przebiegających z jednego krańca Warszawy na drugi we wszystkich kierunkach, a pomyślanych dla dobra Warszawiaków, oszczędzających w ten sposób na drogich taksówkach. Mimo zakazów, apelów i próśb odnośnych władz — zwykli pasażerowie, płacący za bilet, nie mają miejsc siedzących, a nawet często i stojących.

Nerwowe życie, trudne warunki mieszkaniowe, praca, nie dająca ani zadowolenia, ani odpowiedniego wynagrodzenia, kłopoty, którym nie ma końca, napięcie w jakim się żyje od szeregu lat, wszystkie te czynniki powodują wybuchy gniewu, irytacji, nerwów w wielu miejscach publicznych, ale najwięcej w przeładowanych, wolno posuwających się środkach komunikacyjnych miejskich i podmiejskich. Tam dopiero widzi się, słyszy i wyczuwa jak w Polsce jest źle, jak nieznośnie ciężko szaremu obywatelowi.



Wojna zakończyła się w Polsce nie w r. 1945 ale w r. 1956, czyli o całe 11 lat później. Przez te 11 lat w dalszym ciągu zamykano ludzi w więzieniach i obozach, rozstrzeliwano i wieszano, bito i torturowano.

Dalej prowadzono rabunkową, eksploatacyjną gospodarkę, wycinano lasy, dewastowano kopalnie, pośpiesznie budowano zakłady przemysłowe, których wyroby wywożono nocnymi transportami na wschód i zachód. Oba plany gospodarcze, 3-letni i 6-letni były wielką fikcją i skończyły się zupełnym fiaskiem wprowadzając kraj w stan kryzysu ekonomicznego i marazmu gospodarczego. Polska była w r. 1956 jedynym krajem w Europie, który nie odbudował się po wojnie i nie podniósł gospodarczo. Poziom życia obywateli nie podniósł się, ale raczej cofnał. Polska stała na ostatnim miejscu, może przedostatnim (przed Albanią) w strukturze ekonomiczno-gospodarczej państw paktu warszawskiego. Biły ją na głowę pod każdym względem Rosja Sowiecka, Niemcy Wschodnie i Czechosłowacja, dorównywały a wnet i prześcignęły Bułgaria, potem Węgry i Rumunia, choć i tam działy się cuda nie lepsze niż w Polsce.

Październik 1956 r. zakończył w Polsce wojnę, zakończył bezprawie, rabunkowa gospodarkę, skończył z poczuciem nędzy, poniżenia i strachu. Wyzwolił entuzjazm, otworzył oczy ludziom szeroko i pozwolił mówić, mówić, mówić... Cztery lata gomułkowskiej ,,wewnętrznej wolności'' nie zdołały naprawić 6 lat okupacji i 11 lat brutalnej przemocy, ale przynajmniej dały tę wymarzoną i potrzebną Polakom ,,wewnętrzną niepodległość''. I na pewno gospodarczo i kulturalnie zrobiły dużo.

Odetchnęła szeroko prowincja, znajdująca się pod dyktaturą powiatowych duumwiratów: I sekretarza partii i komendanta UB, od których humoru, podejrzliwości, broszurkowej wiedzy i chronicznego półanalfabetyzmu był zależny los każdego człowieka.

Polska rewolucja październikowa rozpoczęła się na szczeblu centralnym i bardzo powoli schodziła na niższe szczeble — województw i powiatów. Niemniej schodziła, choć nie zeszła całkowicie. Jeszcze dziś w niektórych województwach, a w wielu powiatach straszą ludzi duumwiraty, triumwiraty i partyjki w partiach.

W miastach prowincjonalnych, przede wszystkim powiatowych zaroiło się od klubów i klubików. Wszystkie one zostały utworzone przez uciskaną dotąd inteligencję i miały różne nazwy, ale słowo inteligencja zawsze posiadało w nich swoje poczesne miejsce.

Kluby te, jak najbardziej radykalne, skupiające ogół inteligencji pragnącej czynu, a tłumionej dotychczas w swojej działalności i nie dopuszczanej do decydowania o losach miasta i ziemi, na której ono leżało — stały się zalążkiem pełnej odnowy politycznej, gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Niestety, szybko jedne za drugimi poczęły ginąć, znikać, rozwiązywać się, lub zmieniać swoje dotychczasowe oblicze radykalne, rewolucyjne na rozrywkowo kulturalne. Jaka była tego przyczyna? Bardzo zwykła: kluby zagroziły egzystencji politycznej komitetów powiatowych i miejskich PZPR-u. Ostrze ich krytyki i pierwszych poczynań było skierowane tylko i wyłącznie przeciwko dotychczasowej polityce niektórych osób z partii i samej partii, przeciwko UB z jego komendantem na czele, wreszcie przeciwko kacykom gospodarczym terenu, to znaczy różnym dyrektorom i kierownikom nielicznych fabryk i przedsiębiorstw przemysłowych, których kwalifikacje równały się zeru.

Przez cały rok 1957 trwała uporczywa walka pomiędzy komitetami powiatowymi PZPR, a klubami popaździernikowymi. Ani jeden z klubów nie wyszedł zwycięsko z tej walki. Wszystkie musiały skapitulować, rozwiązać się lub zmienić swój kierunek z radykalno-rewolucyjnego na kulturalno-towarzyski. Owszem klęska nie była zupełna, tu i tam spadł ze swego stołka taki czy inny prowincjonalny kacyk z partii czy UB, niemniej oba urzędy pozostały niezachwiane i nienaruszone w zakresie swych kompetencji i władzy. Stąd, jeśli jeszcze gdzieś pokutuje duch stalinizmu w Polsce, to przede wszystkim na prowincji. Stąd też nienawiść, która po październiku wybucha jeszcze tu i tam, jak to miało miejsce w Nowej Hucie, Zielonej Górze, Olsztynie, Otwocku, czy też w powiatowym mieście Żurominie, gdzie miejscowa ludność nie pozwoliła na pochowanie zwłok I sekretarza PZPR na cmentarzu rzymsko-katolickim i dopiero interwencja milicji i wojska dopomogła w szybkim pogrzebaniu porzuconej trumny pod cmentarnym murem. Nie, to nie były ekscesy o charakterze religijnym, ponuracko-średniowiecznym, jak to pisała prasa warszawska, był to gniew i nienawiść ludu do ciemiężcy, który przez wiele lat gnębił i terroryzował miasto i powiat.

Likwidowano kluby w różny sposób: komitet powiatowy Partii obejmował nagle, ochoczo i entuzjastycznie patronat nad nad nim... I koniec z klubem. Klub obejmował patronat nad fabryką. Następował przypływ różnorodnego elementu, zaczynało się picie wódki w lokalu klubowym, gra w karty, bójki i awantury. Klub rozwiązywano. Jako antidotum zakładano kluby ZMS (Związku Młodzieży Socjalistycznej) albo kluby przy

Powiatowym Domu Kultury i rozpoczynała się walka klubów, odwracająca uwagę klubu inteligencji od spraw miejscowych, a skupiająca na tym, co zawsze Polacy lubili: wzajemnym szkalowaniu się, i zwalczaniu. Jeśli te sposoby nie dawały rezultatu, uderzano indywidualnie w najbardziej czynnych działaczy klubu, a najczęściej w samego prezesa. Uderzano plotką, donosem, ściąganiem komisji rewizyjnej nie tylko na klub, ale przede wszystkim na instytucję, w której prezes pracował lub prowadził. Wykańczając i kompromitując ludzi, wykańczano i kompromitowano kluby. Bo partia nie mogła w żadnym wypadku stracić swojej roli, znaczenia i oblicza.

Po raz drugi w krótkim okresie socjalistycznej ,,wewnętrznej niepodległości'' inteligencja odsunęła się od spraw miasteczek, regionów i ziem. Raz jeszcze zatriumfowało partyjne kacykostwo.

Nie upłynął rok, jak góra partyjno-rządowa rzuciła hasło Millenium Państwa Polskiego. Zaroiło się od komitetów wojewódzkich, powiatowych i gromadzkich i zaczęły powstawać nowe zupełnie organizacje społeczne, do których znów napłynęła inteligencja. Były to różnego typu i charakteru towarzystwa regionalne, z których nieliczne działały już od kilkunastu i kilkudziesięciu lat, inne powstały zaraz po październiku 1956 i w latach następnych. Niemal każde województwo w Polsce posiada ich kilka lub kilkanaście. Samo województwo warszawskie, nie licząc stołecznych ma ich z tuzin. Do najstarszych zalicza się Two Naukowe Płockie, które w oparciu o 80.000 bibliotekę i kilkuosobowy zespół pracowników naukowych oddziaływuje nie tylko na swój rejon ale i współpracuje z PAN-em (Polską Akademią Nauk) i szeregiem ośrodków uniwersyteckich. Inne towarzystwa regionalne z większych na terenie województwa jak np. Towarzystwo Miłośników Ziemi Kurpiowskiej, Towarzystwo Miłośników Miasta Mławy, Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Płońsku — działają przeważnie w kilku kierunkach. Na pierwszym planie stoją sprawy związane z obchodami Tysiąclecia, potem opieka nad zabytkami swego regionu, odczyty i pogadanki. Na dalszym planie — spotkania i wieczorki o charakterze towarzyskim. Towarzystwa te, nie posiadające żadnej rangi politycznej wegetują ze składek członkowskich lub rzadkich dotacji władz wojewódzkich lub powiatowych, wegetują na marginesie całego życia polityczno-ekonomicznego swego powiatu, żyjąc w iluzji jakiejś pracy społecznej, jakiejś pracy dla ojczyzny. Spełniając niewątpliwie jakąś rolę społeczną i kulturalną, nie spełniają żadnej roli politycznej i dlatego inteligencja popiera je i współdziała tylko dlatego, żeby choć w minimalnym procencie jej pragnienie pracy dla swego skrawka ojczyzny miało jakieś ujście.

◆

Trzeba na koniec rozprawić się z hasłem rzuconym przez satyryków krajowych, które brzmi: „Czy kto stoi, czy kto leży, dwa tysiące się należy". Trzeba także rozprawić się w związku z nim z fałszywym mniemaniem, że ludzie w kraju pracują słabo, nieefektywnie i powoli. Jest to kłamstwo. Każdy człowiek w Polsce pracuje i to pracuje ciężko. I każdy pracuje rzeczywiście za grosze. I każdy musi pracować, bo w przeciwnym razie nie miałby z czego żyć i musiałby zrezygnować z kwaterunkowego, państwowego mieszkania. A to, że praca Polaka w kraju nie jest efektywna, jest powolna — nie jest jego winą ale winą prymitywnych warunków, w których pracuje, prymitywnych urządzeń technicznych i narzędzi, małej ilości maszyn nowoczesnych i wielu jeszcze drobnych niedogodności przemysłowych, lokalowych i życiowych. Przecież w Łodzi większość fabryk włókienniczych pracuje w starych gmachach i na starego typu maszynach, na których widzi się napisy w języku starorosyjskim, przecież tylko niewielka ilość obiektów przemysłowych jest na wskroś nowoczesna, a i te, zbudowane przed rokiem 1956 lub nawet po roku 1956 w porównaniu z coraz to nowymi osiągnięciami technicznymi na zachodzie i wschodzie — są już przestarzałe. Przecież większość robót drogowych wykonują ludzie przy pomocy łopaty i kilofa, a nie maszyn. Przecież nie ma czym uprzątać śniegu, powszechnym widokiem jest jeszcze chłop, wóz i koń ściągnięci do takich czy innych robót, przecież Wisła jest nieuregulowana, przecież...

Jeżeli weźmiemy dwa tysiące złotych polskich wynagrodzenia miesięcznego jako przeciętny zarobek przeciętnego obywatela Państwa Polskiego (zdecydowanie wygórowanego w tym wypadku) i podzielimy go przez miesięczną ilość godziny obowiązującego 8-godzinnego dnia pracy, jeżeli tę pracę potraktujemy jako pracę podwojoną, połączoną z większą utratą energii z powodu prymitywnych warunków pracy, to dojdziemy do wniosku, że współczesny Polak pracuje ciężko i jest najgorzej opłacanym pracownikiem w Europie.

Niewielki to trud podzielić 2.000 zł. przez 184 godziny pracy wykonywanej w miesiącu. 1 godzina pracy kosztuje wówczas 10 zł 86 groszy. Po zapoznaniu się z cenami produktów żywnościowych i towarów przemysłowych w Polsce łatwo będzie można zorientować się, że gros rodzin w Polsce wegetuje i klepie biedę i że miesiąc składa się tu z 20 dni, bo po 20-ym trzeba pożyczać na dalsze utrzymanie rodziny lub żyć z zaliczki. Tak to z miesiąca na miesiąc pogłębia się zależność ludzi od zaliczek, biura, kolegów, przełożonych i obok trosk codziennego życia narasta strach przed utratą pracy.

A z pracą w Polsce jest coraz gorzej i coraz trudniej jest ją znaleźć. Najbardziej charakterystycznym na terenie samego województwa warszawskiego jest zjawisko tzw. bezrobocia sezonowego. Będąc województwem w 70 % rolniczym, w którym dominującą rolę odgrywają sady owocowe i ogrody warzywnicze wraz z cieplarniami — nie może dać zatrudnienia w okresie

zimowym i wiosennym tym wszystkim robotnikom miasteczek rejonów ciechanowskiego, kurpiowskiego i podlaskiego, który pracują w przetwórniach owocowo-warzywniczych latem i jesienią. Statystyki wykazują, że w samym Płocku do czasu budowy rafinerii nafty i kombinatu petrochemicznego bezrobocie sezonowe obejmowało w okresie zimowo-wiosennym przeszło 600 rodzin, a więc 1800 osób. Podobne sytuacje istnieją i w innych województwach, zwłaszcza kieleckim, białostockim, lubelskim, rzeszowskim, ekonomicznie zacofanych.



Po pracy, po zjedzeniu obiadu w kilkudziesięciu miasteczkach województwa warszawskiego ludzie idą szukać rozrywki. Mają do wyboru kilka ewentualności i... najczęściej nie wybierając żadnej wracają ze spaceru do domu. Nie, to nie przesada. W każdym małym miasteczku leżącym ...esiąt kilometrów od stolicy jest najczęściej jedno kino, w którym program zmienia się raz, a nawet dwa razy w tygodniu. Można więc dwa razy w tygodniu być w kinie. Raz na miesiąc lub kwartał można pójść do tej samej sali na przedstawienie przyjezdnej ekipy artystycznej i teatralnej. Można także pójść do Domu Kultury. Jest tam telewizor, stół ping-pongowy, dzienniki i tygodniki, szachy i warcaby. Jeżeli kierownikiem Domu Kultury jest rzeczywiście działacz kulturalny z prawdziwego zdarzenia i dobry organizator i zależy mu na kulturze w miasteczku — to zakłada różnego rodzaju sekcje: literacką, teatralną, filmową, fotograficzną itp. Ponieważ kierownicy zmieniają się bardzo często traktując swoją funkcję jako coś przejściowego do lepiej płatnego stanowiska. Domy Kultury nie spełniają swojej roli i są przeważnie ucieczką miejscowej młodzieży przed niepogodą i nudą. Po październiku niektóre miasteczka zdobyły się na otwarcie kawiarń. I wnet za Warszawą, której kawiarniomania i kawomania osiągnęły swój szczyt (o każdej porze dnia jest w nich pełno) — kawiarnie prowincjonalne zdobyły stałych bywalców, którzy przy pół czarnej (bardzo kiepskiej) i miejscowej gazetce stwarzają sobie jeszcze jedną iluzję „kulturalnego życia". No i wreszcie gospody ludowe. czyli restauracje najgorszego gatunku. W nich jest zawsze pełno. Siedzą tu przy stolikach, zasłanych brudnymi serwetami grupki mężczyzn, pochylonych nad kuflem piwa, nad szklaneczką z wódką, nad kiszonym ogórkiem i kawałkiem chleba z kiełbasą, I rozprawiają pijackim bełkotem, użalają się nad swoim losem, nad pracą, płacą i tym jutrem, które jeśli będzie takie, jak dzisiaj, jak wczoraj, to lepiej niech wcale nie będzie, niech zostanie zmiecione z powierzchni ziemi, z tego smutnego skrawka ojczyzny, na którym chcesz, czy nie chcesz — musisz żyć czasem kochać a jakże często nienawidzieć.

Jerzy PŁOT

List z Australii

W życiu kulturalnym Polonii Australijskiej, aczkolwiek nikłym i ubogim w zjawiska mogące zainteresować inne tereny emigracyjne, mamy ostatnio do zanotowania dwa ważne wydarzenia. Jedno smutne, strata; drugie pozytywne, korzyść. Stratą i to dużą jest odejście Ks. K.E. Trzeciaka C.M. ze stanowiska redaktora „Tygodnika Katolickiego" w Melbourne, na skutek złego stanu zdrowia po dwóch zawałach serca. Korzyścią, której doniosłość i zasięg trudno jeszcze ogarnąć, jest ustanowienie Fundacji Kulturalnej im. min. dr. Sylwestra Gruszki w Sydney przez tamtejsze Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne.

Pomorski aptekarz (studia ukończył w 3 lata i z odznaczeniem), marzący od lat młodzieńczych o pracy misjonarza, po rozbudowaniu apteki, tak aby zapewniła dochód matce i siostrze, zapisuje się na teologię w Krakowie, kończy ją i wyświęcony wyjeżdża na pracę misyjną do Chin. Jest wiosna 1939. W Chinach po roku opanował język w mowie i piśmie (kilka narzeczy), w seminarium wykłada po łacinie, zna również biegle niemiecki, angielski i francuski. Wygnany z Chin przez komunistów przybywa w 1948 do Australii, aby zająć się opieką duszpasterską nad masami dipisowsko-żołnierskimi, zjeżdżającymi tu z Europy. Na motocyklu objeżdża skupiska i obozy polskie. Zakłada naprzód powielaczowe pismo, później przekształca je w normalny i regularnie ukazujący się tygodnik, przenosi go z Bathurst do Melbourne, gdzie przy pomocy polskich parafian stwarza prawdziwą i dobrą drukarnię. Przez jedenaście z górą lat jest tego pisma wydawcą, redaktorem, korektorem, woźnym, reporterem, pracuje — poza obowiązkami kapłańskimi — po 110 godzin tygodniowo, potrafi przy tym być pogodny, mieć poczucie humoru i zaskarbić sobie szacunek wszystkich. Oto sylwetka Ks. Trzeciaka.

Jego zasługi dla Polonii Australijskiej są naprawdę olbrzymie. Gdyby było więcej takich księży polskich, patrzylibyśmy ufniej w naszą przyszłość emigracyjną! Toteż z przyjemnością — choć nie zawsze na wszystko jednakowo reagowaliśmy — chcę „pochwalić" się tym naszym kapłanem.

„Tygodnik Katolicki" dawał pod jego redakcją nie tylko dużo wiadomości z naszego życia, z Polski i ze świata, ale także pouczał w wielu sprawach i zaczynał akcje, które nie wszyscy byli w stanie od razu pozytywnie ocenić. Wspomnę kilka z nich:

W okresie głodu książki polskiej „T.K." drukował w odcinkach kilka utworów Sienkiewicza, Prusa, Wańkowicza, Rodziewiczówny, Czeskiej-Mączyńskiej i innych, pomyślał również o ich *wydaniu książkowym*. Nie tylko drukował w dodatku elementarze polskie, ale nakazał czytelnikom nie mającym dzieci, by kompletowali dodatki i w ten sposób polskie szkoły otrzymały tu pierwsze elementarze zanim jeszcze pomyślał o tym Londyn. Kilkaset egzemplarzy elementarza wydrukował „Tygodnik" Związkowi Polaków w Wiktorii. Redaktor „T.K." przeprowadził pierwszą w polskiej Australii (a ileż takich inicjatyw było na innych terenach?) *ankietę socjologiczną* na temat rozmieszczenia, zarobków, zawodów, dorobku, ubezpieczeń na życie itp. wśród swoich czytelników; wystarczy wspomnieć, że znany socjolog dr. Jerzy Zubrzycki z zachwytem wyrażał się o jej organizacji, wnikliwości i rezultatach. Pierwszy też ks. Trzeciak wołał o zakładanie archiwów i zbiorów dokumentacji na temat naszego tu pobytu — dla przyszłych badaczy. Sekundowało mu w tym dziele wielu księży, głównie Jezuita O. Janus. Pierwszy też zwrócił ks. Trzeciak uwagę na narastający problem starców i „Domów Dziecka", które istnieją dziś już w każdej stolicy stanowej. Z tych Domów wychodzą właśnie w świat pierwsi wychowankowie. Bez pomocy „Tygodnika Katolickiego" i jego czytelników nie rozwinęłyby się one tak wspaniale. Nawet na taki błahy, zdawałoby się temat, jak doradzanie spisywania testamentów, szczególnie osobom samotnym, aby zapewniły prawnie przelanie majątku na rzecz rodzin w Polsce, lub społeczności polskiej w Australii na wypadek śmierci — zabierał wielokrotnie głos. Nieraz też tłumaczył prosto, ale skutecznie, że ludzie goniąc za zarobkiem w nowym kraju popełniają błąd, *a w stosunku do swych dzieci i polskiego stanu posiadania i wpływów nawet zbrodnię*, gdy zamiast kierować dzieci na wyższe studia chcą, by te jak najszybciej zaczęły same zarabiać, kosztem minimalnego wykształcenia. Każdy Polak na wyższym stanowisku, z wyższymi studiami to ważny *asset* w naszym życiu zbiorowym. Na pewno tymże ciągłym przypominaniom w dużym stopniu przypisać należy fakt, że polskie dzieci *tak często* osiągają dobre wyniki w naukach, niejednokrotnie prześcigając nie tylko innych emigrantów, ale i tubylców.

W okresie Olimpiady w 1956, gdy wielu płatnych i chcących wykazać się nadgorliwością działaczy Antykomunistycznej Partii Pracy gardłowało po wiecach i zebraniach, a także w tym duchu pisało listy do redakcyj, aby nie witać zawodników i przypominało Katyń (jak gdyby był on dziełem Sidły, czy Reczka), Ks. Trzeciak umiał pierwszy wystąpić przeciwko temu szkodliwemu pojmowaniu walki z komunizmem i doprowadził do wizyty zawodników w... redakcji „Tygodnika Katolickiego". Niedawno temu przedrukował on z „Kultury" notatke Vincenza o Arcybiskupie Szeptyckim i jego procesie beatyfikacyjnym. Echem tego przedruku było kilka listów od czytelników, okropnych „patriotów" i zacietrzewionych Polaków, którzy zawsze uważają, że Polak to święty, a Ukrainiec to bandyta. W odpowiedzi na to pisał Ks. Trzeciak szczerze o pacyfikaciach i innych błędach polskiej polityki w odniesieniu do Ukraińców i o głupim polskim zacietrzewieniu nacjonalistycznym, które chwali Wolfa, gdy ten czuje się Polakiem i robi zeń bohatera, zaś mianem zaprzańca piętnuje Krassowskiego, jeśli ten czuje sie Niemcem. Nie sposób podać tu wszystkich wstąpień ks. Trzeciaka, jakie kierował do Polaków. Najciekawsze, że zawsze odnosiły skutek. Pióro miał ostre i rzeczowe, wiedzą o tym różne pisma krajowe z „*7dni*" na czele, często go atakujące. Jak również różne miejscowe warchoły.

Na zakończenie mała ciekawostka: Wśród czytelników „Tygodnika Katolickiego" było i jest sporo Żydów, spragnionych wiadomości z Polski. Jeden z nich spytał raz redaktora: *Czy pan jest tym księdzem Trzeciakiem antysemitą?* Nie — odparł poważnie ks. Trzeciak — *Jego synem*. Oprócz poczucia humoru miał zawsze ks. Trzeciak duży zmysł rzeczywistości, końską

energię i pogodę ducha. Ale co ja pisze: miał? Ma i jeszcze będzie miał i jeszcze wróci do nas. (Obecnie „Tygodnik Katolicki" redaguje Roman Gronowski).

Zawiązanie Fundacji Kulturalnej imienia dr. Sylwestra Gruszki ostatniego ministra Rzeczypospolitej na tym terenie i jednego z założycieli PKKA ma swą dużą wymowę. Daleko jej jeszcze do Fundacji Kościuszkowskiej, bośmy o tyle lat młodsi od Polonii Amerykańskiej, słabsi i ubożsi, ale już można mówić o *sukcesie*. Ciekawe jest również, że jak dotychczas Żydostwo Polskie ustosunkowało się do tej sprawy bardzo pozytywnie i *gros* ofiar stąd właśnie przyszło. Z procentów kapitału ulokowanego w akcjach organizatorzy zamierzają corocznie nagradzać i popierać polskie inicjatywy naukowe, artystyczne i kulturalne w tej części świata. Jest to przykład, że prowincja emigracyjna zaczyna wreszcie także pojmować swą rolę!

Andrzej CHCIUK

Konspiracje w lotnictwie polskim (dok.)

Druga konspiracja

W latach 1927-1935 rozwój lotnictwa — w szerokim tego słowa znaczeniu — był niewątpliwie pięknym dorobkiem młodego państwa polskiego. Powstały niemal z niczego przemysł lotniczy miał duże osiągnięcia, komunikacja lotnicza zaczynała wykorzystywać idealne położenie geograficzne Polski, lotnictwo wojskowe wzrosło z 13 eskadr do 47 i pod koniec tego okresu miało niemal całkowicie polski sprzęt. Oczywiście robiono błędy rozmaite w każdej dziedzinie, ale któż ich nie robił? Dzięki szkole podchorążych lotnictwa, otwartej w 1925 roku, lotnictwo było zasilane co roku, począwszy od 1927, młodymi oficerami w liczbie od 50 do 70. Stan samolotów bojowych wzrósł z 250 do 400, a w szkolnictwie i klubach lotniczych było około tysiąca samolotów. Jakie więc były przyczyny wzrastającego niezadowolenia wśród lotników, zwłaszcza młodszych pokoleń?

Przyczyny były zewnętrzne i wewnętrzne. W zewnętrznych na pierwszym miejscu stawiam rolę lotnictwa w siłach zbrojnych: lotnictwo było bronią pomocniczą, nie doceniano jego znaczenia w przyszłej wojnie, stąd na lotnictwo — pomimo jego kosztownego sprzętu — przeznaczano zaledwie około 6 do 8% budżetu obrony narodowej, a stany mobilizacyjne lotnictwa wynosiły poniżej 1% stanu sił zbrojnych; nie było nowoczesnej, własnej doktryny użycia lotnictwa, stąd mieliśmy cztery rodzaje lotnictwa, z każdego po trochu, a całość była związana z działaniami wojska któremu podlegała i z którym miała ściśle współpracować. Patrząc z perspektywy lat, trudno jednak winić generalnych inspektorów i sztab główny: lotnictwo nasze nie miało

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

człowieka na miarę Douheta, Mitchella czy Trencharda, który potrafiłby uczyć władze rozumienia lotnictwa i domagać się kategorycznie zmian. Douhet za swoje gwałtowne protesty i krytykę poszedł do twierdzy, Mitchell z rozpaczy świadomie wykroczył przeciw dyscyplinie wojskowej i musiał opuścić służbę czynną, Trenchard nie czekał długo z podaniem się do dymisji, bo już po siedmiu dniach zrezygnował ze stanowiska szefa sztabu R.A.F. (tj. dowódcy lotnictwa) gdy widział że minister lotnictwa nie zgadzał się z jego planem rozbudowy.

Drugą przyczyną, zewnętrzną, były ogólne stosunki w siłach zbrojnych i w całym życiu państwowym: kult niefachowości, ostre walki polityczne, udział oficerów w życiu politycznym, trwonienie grosza publicznego, remuneracje we wszystkich resortach nie wyłączając sił zbrojnych, w przemyśle, Bereza, wykroczenia policji, zaniedbanie szkolnictwa itd.

Z przyczyn wewnętrznych wymienić można kilka: stałe braki sprzętowe i personalne, wskutek których lotnictwo nie było w rzeczywistości nigdy gotowe do działań bojowych, brak pragmatyki lotniczej, słaba rozbudowa służb lotniczych, uboga sieć lotnisk, niedocenianie radia, mizerne przydziały bomb i amunicji na szkolenie bojowe, ograniczenia paliwa (materiałów pędnych), niewłaściwe umundurowanie, służba garnizonowa, doroczne manewry na szczeblu batalionu, baterii, pułku i najwyżej dywizji częściowo pozorowanej i wreszcie — *last but not least* — zamęczanie personelu latającego wykuwaniem regulaminu piechoty, artylerii, kawalerii i tzw. ogólnej instrukcji walki, co w praktyce wyrażało się w żądaniu od kaprala-pilota by znał organizację wielkich jednostek i rozumował kategoriami wyższych dowódców wojska.

Młodzież nie widziała dorobku, ale widziała w ostrych konturach wiele złych i nieudolnych posunięć władz, bolała szczególnie nad moralnym poziomem życia społecznego. A gdy widmo wojny po roku 1935 zaczynało nabierać coraz wyraźniejszych kształtów, młodzi oficerowie wojska, marynarki wojennej i lotnictwa zdawali sobie sprawę z nieuchronnej klęski, znali bowiem dobrze słabość naszych mas pieszych i konnych w obliczu broni pancernej i lotnictwa oraz beznadziejną sytuację okrętów wojennych na Bałtyku.

Na tym tle ogólnym, zwłaszcza na bazie moralnej, wyrosła konspiracja młodych, ogarniająca oficerów i młodzież akademicka w głównych naszych miastach.

Po około dwuletnim okresie konspiracji powstał związek pod nazwą „Krzyż i Miecz", który w 1937 roku został ujawniony i otrzymał ciche błogosławieństwo Generalnego Inspektora Rydza-Śmigłego.

Inicjatorem konspiracji założycielem wspomnianego związku był por. dypl. pil. Władysław Polesiński.

Był on z pierwszej promocji dęblinskiej (1927) z której również byli znani później lotnicy: Medwecki, Brzezina, Łagu-

na, Ścibior, Michowski, oraz z żyjących Krasnodębski, Orzechowski. Rawicz-Szabuniewicz, Hryniewicz, Piątkowski (Bolesław Pomian).

Jako podporucznik, najpierw obserwator, później pilot, Polesiński służył w 2 p. lot. w Krakowie, gdzie zaprzyjaźnił się z kpt. Niewiarowskim. Pomimo zajęć służbowych i studiów (skończył wydział prawno-ekonomiczny) znajdował czas jeszcze na pracę społeczną, toteż trudno się dziwić, że na drugą gwiazdkę oficerską czekał cztery lata zamiast zwykłych dwóch. Był wzorowym oficerem i dobrym pilotem; znałem opinie jego przełożonych o nim i latałem z nim kilka razy.

Polesiński był człowiekiem o płomiennej duszy, idealistą, głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem. Wierząc niezachwianie w dobroć natury ludzkiej, walczył stale z wiatrakami. Brak mu jednak było wyczucia rzeczywistości — był optymistą bez krzyny realizmu. Rozumowanie jego było logiczne, ale w dążeniu do realizowania wniosków swego rozumowania szedł zawsze za daleko. Nazywano go marzycielem, maniakiem, a czasem nawet — złośliwie — wariatem. W ostatnich latach przed wojną był bez wątpienia *enfant terrible* lotnictwa.

Będąc w wyższej szkole wojennej (1935-1937) Polesiński powziął myśl zorganizowania oficerów i młodzieży akademickiej do walki ze złem w Polsce. Twierdził, że w duszach większości ludzi, zwłaszcza młodych, jest prawdziwa dobroć, szlachetność, gotowość do ofiar, ale indywidualne wysiłki idą na marne, gdyż zło — ludzie źli, zmaterializowani i samolubni — ma wielką siłę, na skutek zorganizowania ludzi złych, którzy się wzajemnie popierają, a ci którzy doszli do władzy czy wysokich stanowisk potrafią majoryzować większość ludzi dobrych. Nawet człowiek z gruntu dobry, gdy dojdzie do odpowiedzialnego stanowiska, ulega przemocy zła pod wpływem słabostek ludzkich, jak obawa narażenia się przełożonym, troska o losy rodziny, niechęć do wyróżniania się z otoczenia itd. Siłę trzeba zwalczać siłą, stąd Polesiński widział jedyną drogę do poprawy w zorganizowaniu ludzi dobrych, bezinteresownych i mających odwagę przekonań.

— Patrz co się dzieje we wszystkich dziedzinach życia społecznego — mówił mi kiedyś, w wojsku, we wszystkich resortach państwowych, w przemyśle, w handlu; ludzie źli, cyniczni, szukający tylko własnych korzyści i ulegający żądzy użycia, szkodzą krajowi na każdym kroku, ale trzymają się, bo się wzajemnie popierają. Wszędzie są sitwy, a gdy ktoś do sitwy należy to czy ma zdolności czy nie, czy jest mądry czy głupi, uczciwy czy lekkomyślny, trzyma się na stanowisku. A kto dobry, ten musi być uległy, bo inaczej go wykończą. Stąd też nie protestuje, nie walczy, tylko idzie za złem owczym pędem. Jeśli zorganizujemy dobro, zaczniemy propagandę uczciwości i moralności społecznej i rodzinnej — to powoli dobro zacznie się tak szerzyć jak dotąd zło się szerzy, a z czasem ludzie słabi

będą musieli ulegać dobru tak jak teraz ulegają złu. A gdy z biegiem czasu ludzie dobrzy dojdą do odpowiedzialnych stanowisk w rządzie, w wojsku, w przemyśle i wszędzie w Polsce, będą wywierali wpływ na całe życie społeczne dla dobra Polski.

Nie pomogły tłumaczenia, że konspiracje w wojsku są sprzeczne z prawem bez względu na szczytne ideały i zamierzenia, że słabości ludzkie w końcowym rezultacie wydadzą złe owoce, co będzie ze szkodą dla wojska i dla kraju. Również nie dał się Polesiński odwieść od myśli zamieszczenia w regulaminie związku nacisku na religię rzymsko-katolicką. Jedyne ustępstwo jakie zrobił, bardzo ważne oczywiście, było to, że po założeniu ,,Krzyża i Miecza'' zameldował wysokim przełożonym — po uprzednim zapewnieniu sobie poparcia u kilku wybitnych starszych oficerów — o założeniu i charakterze związku.

Zwrócił się też Polesiński do walczącego Kościoła; uzyskał audiencję u Prymasa Hlonda, który przyjął go życzliwie; toteż było dla niego wielkim ciosem oficjalne oświadczenie episkopatu, bodaj w końcu 1938 r., wyrzekające się odpowiedzialności i odmawiające poparcia ,,Krzyżowi i Mieczowi''.

Kółka związku wyrastały wszędzie, w wojsku, w marynarce wojennej i zwłaszcza w lotnictwie, na uniwersytetach, w szkołach, w fabrykach. Nie mam szczegółowych danych, sądzę jednak, że do związku należało z sił zbrojnych ponad dwustu oficerów, a młodzieży akademickiej i członków z innych ośrodków było chyba kilkuset. Propagandę dobrą, jak to Polesiński określał, prowadził różnymi sposobami. Jednym z pierwszych posunięć na terenie wojska było ogłoszenie w ,,Polsce Zbrojnej'' cyklu artykułów, które później wydał Polesiński jako broszurę. Autorami byli: Polesiński, Niewiarowski, Łaszkiewicz i ja. Nie należałem wprawdzie do związku, ale ideały Polesińskiego były mi bliskie. Polesiński sam latał po różnych ośrodkach, pomagał w zakładaniu kółek, wygłaszał przemówienia, rozdawał literaturę.

Wiosną 1937 r., gdy Polesiński jeszcze był w W.S.Woj., byłem referentem wydziału studiów w dowództwie lotnictwa. Nadeszła pierwsza okazja zademonstrowania mego stanowiska w stosunku, do remuneracyj, gdyż widziałem, że jak co roku i w tym roku będą wypłacane. Odmówiłem podpisania listy. Wezwany do szefa sztabu ppłk. S. Nazarkiewicza, zameldowałem, że uważam zasadę wypłacania remuneracji za niemoralną. Pułkownik tonem ojcowskim wyjaśniał mi, że władze wiedzą co robią, że tak zwane resztki budżetowe są bardzo małe wobec wielkich potrzeb, a że państwo nie może wojska i urzędników opłacać lepiej, więc te resztki są pewnego rodzaju dodatkiem. Odpowiedziałem, że według moich obliczeń te resztki w ciągu kilku lat wyniosły już sporo milionów złotych, które należało na inne cele obrócić i że w każdym razie wypłacanie oficerom remuneracji jest poniżej godności oficera. Pułkownik dał za wygraną, nie chciał więcej Don Kiszota (jak mnie naz-

wał) przekonywać i polecił kpt. Kinznerowi skreślić moje nazwisko z listy. Zapytałem wobec tego, czy na tym koniec. To już zirytowało szefa sztabu: ,,A co pan myśli? Chce pan żeby Rayski poszedł z panem do raportu do ministra, aby pan ministrowi nagadał głupstw? Panie, gen. Rayski sam nie bierze tych pieniędzy, rozdaje między urzędników, ale do ministra z panem nie pójdzie, nie będzie uczył ministra co ten ma robić''.

Polesiński triumfował: oto był dowód, że nawet uczciwi i porządni ludzie są słabi. Trzeba działać wspólnymi siłami. Postanowiliśmy przy następnej okazji zrobić gremialne wystąpienie. Okazja nadarzyła się w początkach 1938 r., gdy Polesiński również był w dowództwie lotnictwa referentem. Nadeszły wypłaty za pozasłużbowe prace; Polesiński twierdził, że jeśli nie weźmiemy pieniędzy, to znowu rozdadzą między innych, wobec tego podpisaliśmy listę i zaczęliśmy agitację wśród oficerów dowództwa, aby pieniądze te złożyć na szkoły na ,,kresach wschodnich i jednocześnie ogłosić w ,,Polsce Zbrojnej'' apel do kolegów o naśladownictwo. Niestety, znalazło się nas razem sześciu w dowództwie lotnictwa; apel ,,Polska Zbrojna'' ogłosiła, po uprzednim uzyskaniu zgody szefa gabinetu Generalnego Inspektora, i naturalnie odpowiedniej stylizacji naszego apelu (!), ale echa żadnego nie było.

Polesiński nie zraził się, oświadczył po prostu, że następnym razem trzeba będzie zrobić wcześniej propagandę na szeroką, skalę. Dodam tu jeszcze pewien szczegół. W tymże 1938 roku, gdy siły zbrojne były przezbrajane zgodnie z uchwałami KSUS'u, remuneracje nadal wypłacano, ale w przemyśle lotniczym były podwyższone (!). Przypadkowo wziąłem do ręki 'koszulkę' tajnego pisma adresowanego do II wiceministra spraw wojskowych; treść była taka: dowództwo lotnictwa przedstawia panu wiceministrowi tegoroczne sumy na dodatkowe wynagrodzenie dla dyrektorów PZL i motywuje ich zwiększenie ,,wybitnie obywatelskim stosunkiem do przemysłu'', sumy były — dla mnie przynajmniej — przerażające: dyr. Kaźmierczak miał otrzymać 40 tysięcy złotych, dyr. Piotrowski 25 tysięcy, inny pan 15 i czwarty 10. Razem 90 tysięcy złotych. Wiosną 1938 roku! Gdy oburzony do głębi podzieliłem się tą wiadomością z kolegami, jeden ze starszych powiedział mi, że tak jest w całym przemyśle państwowym — dyrektorzy i inżynierowie uprawiają pewien szantaż: nie dacie mi więcej, to pójdę, bo zagranica ofiarowała mi tyle i tyle. I żeby to byli przynajmniej wszystko wybitni fachowcy, ale gdzie tam! Rozmawiałem na temat przemysłu lotniczego z moim przyjacielem Stanisławem Riessem, który był inżynierem i oblatywaczem w PZL; gdy zapytałem o dyrektorów, usłyszałem rewelację: ,,Weź Kaźmierzaka, zdolny facet bez wątpienia, ma dużą praktykę samochodową, jest świetnym administratorem, ale przecież na lotnictwie nie zna się zupełnie, nie wie jak patrzeć na samolot, pojęcia nie ma co to jest płatowiec, co silnik lotniczy, nic go to też nie interesuje''.

Niedługo dały władze Polesińskiemu wojować w Warszawie; gdy w jakimś artykule zrobił dość wyraźną aluzję do prywatnych spraw ministra, dowódca lotnictwa dostał rozkaz natychmiast przenieść kpt. Polesińskiego jak najdalej od Warszawy. Przeniesiono go do Lidy, jako że wyspy Bute nie było pod ręką. Ale wiosną 1939 r. ukryte siły przychylne idealiście spowodowały ponowny jego przydział do stolicy, mianowicie do Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

Kpt. Polesiński zginął w Kampanii Wrześniowej, w październiku, latając z obserwatorem por. dypl. Ludwikiem Kózką na szkolnym, nieuzbrojonym samolocie R.W.D.8 na rozpoznanie i łączność dla grupy generała Kleeberga.

Trzecia konspiracja

Jak już wspomniałem, wiem o niej mało i właściwie nie mam nic do dodania do tego co napisał o ,,Łańcuszkach dobrych przyjaciół'' p. Sęp-Szarzyński. Przypuszczam, że kpt. Niewiarowski zamierzał kontynuować prace Polesińskiego, zaczynając od skromnych kółek, co na terenie Rumunii było jedyną możliwością.

Twierdzenie, że związkowcy kpt. Niewiarowskiego zasłużyli się przy ewakuacji lotników z Rumunii odpowiada prawdzie, niemniej należałoby dodać, że ,,Łańcuszki'' nie robiły ewakuacji z własnej inicjatywy, a były wykonawcami zarządzeń różnych przełożonych. Podobnie było przy ewakuacji z Francji; jest zanotowanych kilka nazwisk oficerów, którzy należeli do konspiracji, niemniej prawdą jest, że spośród organizatorów ewakuacji zasłużyli się bardzo gen. Ujejski i śp. płk. dypl. Bohuszewicz, którzy przyjechali do Anglii ostatnim statkiem.

O działaniu konspiracji we Francji mam również bardzo luźne i niepewne wiadomości. Być może, a prawie na pewno, miała ona wiele do czynienia z akcją przeciw gen. Zającowi. Wiem konkretnie, że po długich naradach wybrano delegację w osobach kpt. Michowskiego, kpt. Kerna i por. Jakubowskiego dla zażądania, jak mi mówił Michowski, od gen. Sikorskiego usunięcia gen. Zająca ze stanowiska dowódcy lotnictwa. Ciekawe było w tym to, że nie wytypowano następcy, a po prostu przypuszczano, że gen. Sikorski znajdzie kogoś odpowiedniego. Naczelny Wódz przyjął delegację, wysłuchał argumentów, ale gdy delegacja nie potrafiła dać konkretnych uzasadnień względnie zarzutów przeciw gen. Zającowi, Naczelny Wódz zmył głowy delegatom i odesłał ich z niczym do Lyonu.

Raport u Naczelnego Wodza był posunięciem słusznym w zasadzie, była to decyzja postawienia sprawy otwarcie, po męsku — niestety, akcja nie była należycie przemyślana i dlatego skończyła się fiaskiem, a co gorsze, nie zrobiła na N.W. żadnego wrażenia. Gen. Sikorski nie orientował się w nastro-

jach panujących w lotnictwie, nie rozumiał przyczyn kryzysu zaufania do starszych w lotnictwie. Przegrana kampania była tylko ostatnią kroplą oliwy w tym ogniu, który palił się od szeregu lat. Gdyby więc delegacja przybyła do N.W. z dobrze opracowanym memoriałem lub przygotowanym przemówieniem, gdyby wykazała, że nie o gen. Zająca samego chodziło i nie o klęskę wrześniową, to może N.W. zapytałby o radę, a wtedy można było stwierdzić, że dla uzdrowienia atmosfery i dla dobra rozwoju sił powietrznych — konieczne było cesarskie cięcie. Należało oddać do dyspozycji ministra wszystkich pięciu generałów lotnictwa i wszystkich pełnych pułkowników, z jednym wyjątkiem: płk. Pawlikowskiego, którego można było mianować dowódcą lotnictwa. W każdym razie, delegacja mogła była osiągnąć to, że gen. Sikorski byłby się zainteresował bliżej lotnictwem i przemyślał co robić. Gdyby nie we Francji, to w każdym razie w Anglii, po *Battle of Britain,* np. wiosną 1941 roku, byłby mógł przeprowadzić radykalne zmiany, usuwając wszystkich wspomnianych powyżej, a dobierając zespół: płk. Pawlikowski i ppłk. Makowski (który był jeszcze podpułkownikiem i po dowodzeniu 300 dywizjonem) byłby zapewnił nowy prąd w lotnictwie i jednocześnie usunął ogólne niezadowolenie, które było żyznym gruntem dla konspiracji. Nie są to dzisiejsze moje pomysły, myślałem tak w latach 1940/41. Pomimo szacunku i sympatii jakie miałem dla generałów Kalkusa i Ujejskiego oraz kilku pułkowników, uważałem, że powinni byli odejść, usunąć się ze sceny; zrobili już swoje, lepiej czy gorzej, ale z różnych względów nie nadawali się do kierowania sprawami lotnictwa w ówczesnych warunkach, a sam fakt ich obecności na różnych stanowiskach zadrażniał sytuację. Jedynie Pawlikowski miał mir, był popularny i powszechnie szanowany, a nawet lubiany. Makowski spisał się doskonale w lotnictwie bombowym, wiedziano że umiał z godnością i stanowczością rozmawiać z Brytyjczykami, toteż ta para — dowódca i zastępca — nie koniecznie najlepiej dobrana, to przyznaję, byłaby najlepszym rozwiązaniem.

W związku z tym mała dygresja. W przeddzień uroczystości sztandarowej, czyli 15 lipca 1941 r., jechałem samochodem attaché wojskowego, ppłk. dypl. obs. Kwiecińskiego do Swinderby. Jako dwaj Poznaniacy rozmawialiśmy szczerze. Pułkownik zapytał mnie w pewnej chwili czy nie sądzę, że N.W. powinien nareszcie zrobić zmiany w dowództwie lotnictwa. Argumentował tak: „Bo proszę Pana, kim byli w lotnictwie Ujejski i Sznuk, a tym bardziej Wojciechowski? Niczym. Jak ma generał dekorować załogi odznaczeniami bojowymi kiedy sam ich nie ma? Linia sarka, trudno im się dziwić. Jak Pan myśli kto byłby dobry na dowódcę? Ja myślę, że chyba Makowski. W naszej wojnie latał, dostał Virtuti, teraz pomimo swoich lat też wylatał dużo godzin, za co przecież nic mu nie dadzą, bo i co mogą dać? Z Anglikami umie sobie świetnie radzić i wszyscy go szanują".

Początki czwartej konspiracji

Po prawie rocznym adiutantowaniu płk. Stachoniowi i następnie ppłk. Makowskiemu w Hucknall, Bramcote i Swinderby, zostałem w listopadzie 1940 przeniesiony do inspektoratu. Miałem od stycznia w kieszeni zgodę pisemną dowódcy P.S.P. na pójście do brytyjskiej szkoły pilotażu; najpierw gen. Kalkus uprosił mnie abym zgodził się zostać adiutantem 300 dywizjonu na pierwszy okres szkolenia, a potem nowy dowódca, gen. Ujejski, nie uhonorował zgody wyrażonej przez gen. Zająca na mój pilotaż i ,,dla dobra służby'' wziął mnie — niby na rok — do inspektoratu. Nieszczęściem moim było to, że znałem angielski dobrze jeszcze z gimnazjum i byłem w 1938 r. na stażu w R.A.F.'ie. Musiałem więc poczekać aż młodzi się przeszkolą, tak że dopiero w połowie 1942 r. wyrwałem się do latania.

Piszę o tym dlatego, że trudno mi się zgodzić z twierdzeniem p. Sępa-Szarzyńskiego, gdy pisze: ,,Dopiero gdzieś w połowie 1942 kpt. Niewiarowski nie bez trudu dał się przekonać, że w Londynie trzeba założyć przyjacielskie koło z udziałem tych środowisk, w których 'Łańcuszek' istniał''. Otóż zaledwie przyjechałem do Londynu dowiedziałem się o istnieniu konspiracji. Były to zapewne jej początki, ale już wtedy nakłaniano mnie do wzięcia udziału ,,w naszej organizacji''. Pamiętam te spotkania w pokoju kpt. Niewiarowskiego i na korytarzu, w całym 1941 roku. Wymienię tu jeszcze kilku kolegów, których p. Sęp-Szarzyński pominął celowo czy przez nieświadomość. Był więc bardzo czynny kpt. obs. inż. Stanisław Pietkiewicz (mjr. Pietkiewicz zmarł po wojnie, w drodze do Argentyny bodaj), kpt. dypl. Kusek, zachodził kpt. Urbanowicz, już wówczas as lotnictwa myśliwskiego, który był za radykalnymi cięciami, jeszcze kilku, i oczywiście Ali przy każdym pobycie w Londynie. Zgadzałem się z poglądami na sytuację, ale twierdziłem, że konspiracja źle się skończy.

Nie będę przytaczał argumentów jakimi wojowaliśmy, ale warto przypomnieć co mi kiedyś kpt. Bujalski odpowiedział: ,,Ty masz przestarzałe poglądy, ortodoksyjne. Zrozum, że nowe czasy i niezwykłe wydarzenia wymagają nowych i niezwykłych metod''.

Kpt. Niewiarowski dobrze wiedział o zakładaniu kółek w dywizjonach, nie darmo był przecież szefem kontrwywiadu, to też wrażenie przeciwne jakie odniósł p. Sęp-Szarzyński było mylne.

P. Sęp-Szarzyński nakreślił sylwetki przywódców konspiracji tak, jak je widział; jest to sprawa osobistego poglądu i nie poruszałbym tej sprawy, gdyby nie to, że podając pewne fakty z kariery służbowej kolegów nie podał wszystkich, przeciwnie, pominął bardzo istotne.

O majorze Bujalskim czytamy w ,,Tropie legendy'', że ,,byłby ideałem oficera, gdyby nie to, że umiał samodzielnie

myśleć", a dalej dodaje autor, że w wojsku naszym panował kult kaprala. Byłem w czynnej służbie 23 lata i wydaje mi się, że jestem w tej materii nieco większym autorytetem od p. Sępa-Szarzyńskiego. Oficerów którzy umieli samodzielnie myśleć, podobnie jak wymienieni przez p. Sępa-Szarzyńskiego koledzy Poziomek, Bujalski, Czerniawski i Niewiarowski, było wielu w wojsku, w marynarce wojennej i w lotnictwie, ale samodzielne myślenie nie koniecznie musi prowadzić do intryg, konspiracji, mieszania się do polityki i do megalomanii. Odwagę przekonań mógł każdy wykazywać jawnie, w stosunkach służbowych i prywatnych, bez wykraczania przeciw karności wojskowej, która jest podstawą spoistości sił zbrojnych i bez przekraczania granic przyzwoitości, poza którymi znajduje się psioczenie na przełożonych i szarganie ich honoru poza ich plecami, w dodatku bez zbadania przyczyn i okoliczności ich postępowania.

Pisząc o aresztowaniu kpt. Czerniawskiego w związku ze sprawą tajnych wydawnictw p. Sęp-Szarzyński informuje Czytelników, że oficer ten był odznaczony „za pracę wywiadowczą na terenie okupowanej Francji zarówno krzyżem Virtuti Militari jak i wysokim odznaczeniem brytyjskim". Jest to prawda, ale — jak mówią Anglicy — nie cała prawda. Autor zapomniał dodać następujące szczegóły, które wnoszą wiele do zrozumienia roli jaką mjr. dypl. pil. Roman Czerniawski później odegrał: kpt. Czerniawski pozostał we Francji samowolnie, wbrew otrzymanemu rozkazowi; nie był członkiem żadnego wywiadu i nie miał do pracy wywiadowczej żadnego przygotowania; oddał duże usługi wywiadowi brytyjskiemu, na którego służbę wszedł, ale z braku doświadczenia popełnił małą lekkomyślność, która po jego zaaresztowaniu przez Abwehrę kosztowała życie kilkudziesięciu 'maquistów'; przyjechawszy do Londynu, po raz drugi, opowiadał o bohaterskiej ucieczce z rąk niemieckich, tymczasem jak się okazało, był dostawiony do granicy hiszpańskiej przez Abwehrę w komforcie, jako jej agent*). Daleki jestem od rzucania kamieniem na kogokolwiek kto pod wpływem perswazyj (czyli tortur) nieprzyjaciela zgodził się pozornie współpracować z nim, ale nie rozumiem, dlaczego p. Sęp-Szarzyński wspomniał o innym koledze ('Hrabia'), który dał się zwerbować „do roli konfidenta N.K.W.D.", a przemilczał analogiczną sprawę kolegi Czerniawskiego? Dla mnie fakt, że mjr Czerniawski będąc cały czas członkiem wywiadu brytyjskiego był jednocześnie jednym z przywódców tajnej organizacji w polskim lotnictwie i nawet 'szarą eminencją dowództwa lotnictwa', jak go nazywano, pozostaje niepokojący i niesmaczny.

Przez dłuższy czas działanie organizacji nie wyrażało się niczym na zewnątrz. Wystąpienie kpt. Hryniewicza w Swinderby było zapewne indywidualnym aktem, nie inspirowanym przez

*) Te i inne szczegóły podawała prasa francuska, szwajcarska i niemiecka w związku z procesem słynnej *La Chatte,* która była aresztowana razem z kpt. Czerniawskim, później sądzona przez Francuzów; obecnie jest na wolności.

organizację. Warto jednak i temu wystąpieniu poświęcić kilka słów, gdyż naświetlenie p. Sępa-Szarzyńskiego nie wydaje mi się słuszne.

Wystąpienie kpt. Hryniewicza (Katoczka) w Swinderby było teatralne i zrobiło na większości uczestników polskich raczej przykre wrażenie, na niektórych komiczne. Gdy por. Polesiński w obecności marszałka Rydza-Śmigłego wygłosił do nowo mianowanych podporuczników w Dęblinie płomienne przemówienie i odebrał od nich ślubowanie na ,,Krzyż i Miecz'', byliśmy na własnym podwórku, wszystko było dobrze; ten i ów się wzruszył, wielu się obruszyło, niektórzy uśmiechali się. Ale w Swinderby programowa uroczystość w obecności licznych Brytyjczyków została zakłócona i skarykaturowana: Hryniewicz ośmieszył nas i nasze lotnictwo, Naczelnego Wodza, w oczach brytyjskich marszałków, generałów i oficerów, którym żaden tłumacz nawet nie próbował wyjaśniać dziwacznej sceny, w której kapitan wyrywa sztandar spod rąk Naczelnego Wodza, odwraca się doń plecami i patetycznym głosem wzywa pana w cywilu do odebrania od niego sztandaru. Dobrze, że organizacja nie zorganizowała tej farsy, nie ma się czym chwalić.

Działalność organizacji i zwycięstwo.

Pierwszym zewnętrznym przejawem działalności tajnej organizacji był list do Prezydenta R.P., potem przyszło wydawanie podziemnej prasy i prasa przygotowawcza do zmiany dowództwa lotnictwa. O pierwszych dwóch przejawach działalności p. Sęp-Szarzyński napisał, nie mam nic do dodania, przemilczał natomiast trzeci, wobec czego muszę ja się nim zająć.

Będąc od połowy 1942 r. do połowy 1943 r. w szkołach i w dywizjonie angielskim, nie stykałem się z działalnością organizacji, ale sądzę, że dopiero śmierć gen. Sikorskiego stała się hasłem intensywnych wysiłków, zmierzających do zmiany dowództwa lotnictwa. Przysłowiowe drzwi od kuchni — niestety nowego N.W. — były otwarte dla Młodoturków. ,,Ali Baba i czterdziestu rozbójników'', jak mówiłem wtedy z ironią, debatowali nad wyborem nowego dowódcy lotnictwa i jego sztabu. Byli pewni, że gen. Ujejski będzie zwolniony, ale Generał ich ubiegł: 17 sierpnia 1943 r. gen. Ujejski złożył prośbę o zwolnienie go ze stanowiska dowódcy lotnictwa, motywując swoją prośbę tym, że nie zgadzał się z metodą odmłodzenia sił zbrojnych stosowaną przez gen. Sosnkowskiego. Polegała ona na tym, że szereg komisji złożonych z młodszych oficerów opiniowało wszystkich oficerów do pułkowników włącznie pod względem ich przydatności do służby. Byłem sam członkiem jednej z takich komisji; rzecz jasna, że komisje składały się głównie z członków 'tajnej' organizacji. Był i kpt. Michowski i kpt. Bujalski w jednej, a nawet znalazł się podporucznik rezerwy w jednej z komisji wojska.

Wrócę na chwilę do pierwszego tygodnia sierpnia, a więc jeszcze przed złożeniem przez gen. Ujejskiego prośby o zwolnienie. Mój dywizjon, przepraszam, 307 dywizjon, w którym miałem zaszczyt służyć jako nawigator w eskadrze p. porucznika Damsza, zlatuje 7 sierpnia na lotnisko Predannack w Kornwalii. Cudny kraj, wspaniałe loty, nastrój w dywizjonie doskonały. Po trzech czy czterech dniach, mamy gościa z Londynu, a właściwie z Afryki: płk. dypl. pil. Mateusz Iżycki przyleciał odwiedzić kolegów, bo w dziennych dywizjonach już był, przyszła kolej na nocny myśliwski. A my tu akurat latamy w dzień. Znamy się z Maciusiem doskonale, w latach 1932/34 był dowódcą 31 eskadry w Poznaniu, w której ja przesłużyłem sześć lat, byłem jakiś czas jego zastępcą (oficerem taktycznym), lataliśmy jako załoga w dzień i w nocy. Tu muszę oddać sprawiedliwość nieboszczykowi, gdyż wbrew plotkom, ja wiedziałem z doświadczenia, że latał dużo i odważnie, choć nie był wcale pierwszorzędnym pilotem, miał zresztą wadę wzroku (astygmatyzm). Dowódca dywizjonu, mjr. Orzechowski, znał płk. Iżyckiego również z dawnych czasów, z Torunia, gdy, jako major, Iżycki był dowódcą dywizjonu szkolnego. Poszliśmy we trójkę nad morze z gościem, to jest Orzechowski, kpt. Lewandowski i ja. Na kilka minut zostaliśmy sami z Maciusiem, a on prosto z mostu pyta mnie, czy wydam dobrą o nim opinię, gdy N.W. mnie zapyta, bo już postanowił zmienić dowódcę lotnictwa i płk. Iżycki jest jednym z kandydatów. Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie, ale powiedziałem, że na pewno mnie N.W. nie będzie pytał o zdanie, a w duchu dodałem, że nie jestem przecież członkiem tajnej organizacji, więc niby skąd?

Okazało się, że miałem słuszność. Zamiar wezwania dyplomowanych został zmieniony na zwołanie odprawy wszystkich byłych i ówczesnych dowódców dywizjonów. Odprawa odbyła się 23 sierpnia, a do czasu wyznaczenia nowego dowódcy obowiązki jego pełnił płk. pil. Stanisław Karpiński.

Na odprawie było ponad 50 oficerów, od 25-letnich kapitanów do 40-letnich podpułkowników. Wstępne przemówienie N.W. było później drukowane w ,,Skrzydłach'', natomiast dalszy przebieg odprawy był 'ściśle tajny'. Ponieważ nie byłem na odprawie, muszę wyjaśnić skąd znam pewne szczegóły o których piszę. Otóż po wojnie, gdy wszelkie nadzieje na powrót do Kraju całości sił zbrojnych spełzły na niczym, niektórzy oficerowie uznali się za zwolnionych z tajemnicy — zwłaszcza, że powszechnie było wiadome już w 1943 roku, iż przedmiotem odprawy było wytypowanie nowego dowódcy P.S.P.

Nie były to oczywiście wybory; jak się N.W. zastrzegł, było to zasięgnięcie rady przez N.W. od 'starszyzny lotniczej', (do której ku własnemu zdziwieniu zaliczani zostali młodzi kapitanowie), który z kandydatów N.W. na dowódcę lotnictwa ich zdaniem jest najlepszy. Nie mogę przysięgać czy kandydatów było sześciu czy ośmiu, a może akurat siedmiu, bo mój informator sam nie pamiętał. Kłopot był w tym, że wielu doradców

N.W. nie znało osobiście wszystkich kandydatów, co gorsza, jednego lub drugiego znali z nazwiska, ale nie mogli do nazwiska przyczepić twarzy! I jak tu głosować? Toteż gdy kazano im napisać na kartce nazwisko jednego kandydata — a N.W. zaznaczył, że oczekuje zgodnej opinii, czyli inaczej mówiąc większości głosów za jednym z kandydatów — ten i ów młodszy oficer zaczął się obracać i pytać sąsiadów. Jeden z moich informatorów tak przedstawił tę chwilę: ,,Głupio mi się zrobiło, szczeniakiem w lotnictwie byłem, gdy wojna wybuchła, akurat kapitanem zostałem fuksem, a tu Naczelny Wódz radzi się mnie kogo ma wyznaczyć na dowódcę lotnictwa. Wiedziałem kto był Rayski, o Makowskim słyszałem, czytałem o przelotach Karpińskiego, ale tych innych nie znałem wcale, nazwisko jedno czy drugie nic mi nie mówiło, no to rozglądam się po sali, a tu od Staszka Brzeziny i innych idą wici: Iżycki. Nie wiedziałem kto to taki. Gdyby Pawlikowski żył, nie byłoby kłopotu, głosowałbym za Stefanem i kropka, Stary był fajny chłop, ale tak co było robić? Pytam się sąsiada: który to jest Iżycki, a on mi mówi, no wiesz ten co był niedawno na stacji, taki przyjemniak, co przyleciał z Afryki, mieliśmy party''.

Tak to większość głosów uzyskał kandydat Młodoturków. Trzeba dodać, że nawet bombowcy głosowali przeważnie na płk. Iżyckiego, gdyż płk. Makowski wprost odmówił przyjęcia stanowiska z rąk konspiratorów, a inni kandydaci — powiedzmy to otwarcie — nie mieli żadnych szans. Wytypowanie nowego dowódcy poszło po linii odmłodzenia, bo płk. Iżycki był najmłodszym z kandydatów — ,,a imię jego — 44'' — i do lotnictwa przyszedł w 1922 r. o ile pamięć mnie nie myli, ponadto jednak miał bez wątpienia szereg walorów, które predystynowały go do najwyższego stanowiska. W rzeczy samej wytypowałem go na dowódcę lotnictwa w 1936 roku, gdy był jeszcze majorem, a jak to było — opowiem. Jadąc do Rembertowa z wykładem dla kursu próbnego do W.S.Woj. spotkałem w pociągu kpt. Madejskiego, który był wówczas na kursie majorowskim. Rozmowa zeszła na 3 i 4 pułk lotniczy i oczywiście na mjr. Iżyckiego. Madejski zapytał mnie co o nim myślę; odpowiedziałem szczerze, że poznawszy go blisko w eskadrze widzę wielkie jego zalety i drobne słabostki oraz, że przewiduje dla niego piękną przyszłość. Na to Madejski roześmiał się i zaczął opowiadać ploteczki o dawnych czasach, o Konstantynopolu i Afryce, kończąc ze śmiechem, że nie poznałem się na Maciusiu i że przekonam się w przyszłości, jak złym jestem prorokiem. Tu mnie poniosło i odparłem, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby Iżycki za dziesięć lat był dowódcą lotnictwa. Omyliłem się o dwa lata, ale nie wiedzieliśmy wtedy o tym. Madejski jednak dodał ostrzeżenie: ,,Panie, jeśli Pana proroctwo się sprawdzi, to pożałuje Pan, zobaczy Pan że Maciuś nas wszystkich wykiwa''. Rozmowę tę przypomnieliśmy sobie z płk. Madejskim pod koniec wojny. Dlaczego o tym piszę? Głównie dlatego, że podzielałem opinię konspiratorów i rozumiałem mo-

tywy ich wyboru bardzo dobrze. Liczyli się z tym, że zdolności dyplomatyczne płk. Iżyckiego, osobisty urok arystokratycznego demokraty w mundurze i znajomość obcych języków, były cechami bardzo pożądanymi w ówczesnych warunkach, natomiast pewna powierzchowność w stosunkach służbowych i bezkrytyczne zaufanie okazywane podwładnym, wydawały się gwarancją, że oto będzie reprezentacyjny dowódca, świetnie ustosunkowany i pełen entuzjazmu, który pozostawi całą robotę sztabowi — oczywiście dobranemu przez organizację — słowem, będzie tak tańczył jak konspiracja będzie grała.

O zmianie dowódcy lotnictwa p. Sęp-Szarzyński napisał kilka zaledwie słów, nawet nie wymienił nazwiska gen. Iżyckiego, a dla podkreślenia jakby, że konspiracja nie miała nic wspólnego z wyznaczeniem nowego dowódcy, dodał: ,,Jak z tego widać nikt z nas nie objął wysokiego stanowiska''. Z przykrością muszę zaprzeczyć temu, gdyż fakty mówią same za siebie.

O wytypowaniu nowego dowódcy przez organizację wie bardzo wielu lotników, a związane z nominacją okoliczności nie pozwalają mieć co do tego żadnych wątpliwości. Przede wszystkim więc, Naczelny Wódz narzucił płk. Iżyckiemu najbliższy sztab — szefem sztabu został ppłk. pil. Stanisław Brzezina, jego zastępcą zaś mjr. dypl. obs. Stanisław Poziomek. Wiem o tym z ust samego śp. gen. Iżyckiego i świadek tej rozmowy żyje. Powiedział nam wtedy generał o warunkach, jakie N.W. mu postawił przed nominacją: musi przyjąć sztab jaki N.W. dla niego wybierze, wyznaczanie na stanowiska od dowódcy dywizjonu w górę należy do N.W., bez wiedzy N.W. nie ma rozmawiać w żadnej ważnej sprawie z Brytyjczykami. Kandydat na dowódcę otrzymał 24 godziny czasu do namysłu. 14 września, a więc w trzy tygodnie po wyborczej odprawie, wyszedł rozkaz N.W. z wyznaczeniem na stanowiska w dowództwie lotnictwa czterech ludzi, z góry wybranych przez organizację. Znałem nazwiska te już przed dymisją gen. Ujejskiego. A teraz, po tylu latach, p. Sęp-Szarzyński próbuje milczeniem pokryć całą tę sprawę. Jakież to jeszcze stanowiska wysokie miała organizacja objąć? Jeśli dodamy tutaj kpt. Bujalskiego w gabinecie N.W., co miało duże znaczenie wbrew zdaniu autora ,,Tropu legendy'', i kpt. Czerniawskiego na wydziale planowania rozbudowy lotnictwa po powrocie do Kraju, dwóch lub trzech komendantów stacji czy dowódców skrzydeł, nieco później doszedł szef wydziału łączności i mjr. Kurzempa w wydziale personalnym — to chyba obraz opanowania kluczowych stanowisk w lotnictwie jest pełny. Nie wiem czy p. Sęp-Szarzyński liczył na naiwność Czytelników czy też sam rzeczywiście był tak naiwny i nie widział zwycięstwa konspiracji? Może jednak powód przemilczenia osiągnięć konspiracji był inny? Zobaczmy co było dalej.

Po kilku miesiącach radosnej twórczości (przepraszam, że się powtarzam, ale tak to określano) zaczęło się coś psuć w pań-

stwie duńskim. Gen. Iżycki zaczął zwolna załatwiać sprawy bez wiedzy czy zgody sztabu lub niezgodnie z życzeniami sztabu, czyli organizacji; płk. Brzezina lawirował, stał się dyplomatą i nie sprzeciwił się gdy dano zatrudnienie kilku starszym panom z czarnej listy („odmłodzenia''), a w ogóle zmiękł, przestał być bojowy i radykalny, jakim go znano dotychczas. Pozostał więc tylko Poziomek w 1944 r. do pracy, a ten zaczął powątpiewać w możliwość zmian, był zmęczony pracą i beznadziejnością swoich wysiłków. P. Sęp-Szarzyński napisał sucho „wiosną 1944 zestrzelono Poziomka'', ale okoliczności w jakich doszło do zestrzelenia zastępcy szefa sztabu nie podał. Otóż ppłk. Poziomek był przygnębiony i nosił się z zamiarem rzucenia pracy w sztabie, a zatem i pracy po linii konspiracji. Dla wypoczynku duchowego, dla przemyślenia i powzięcia ostatecznej decyzji, pojechał na kilka dni urlopu do 304 dywizjonu; wybrał się jako widz na lot bojowy i zginął w tym locie, 10 kwietnia 1944 r. W dwa tygodnie później — zapewne już wtedy p. Sęp-Szarzyński był w Kairze — organizacja zaproponowała abym ja objął stanowisko po Poziomku.

W związku z chorobą ppłk. dypl. Kleczyńskiego opróżniło się w listopadzie 1943 r. stanowisko dyrektora nauk w wyższej szkole lotniczej, a że nastąpiła zmiana komendanta szkoły, którym został płk. dypl. O. Tuskiewicz, na jego propozycję zostałem wyznaczony na miejsce Kleczyńskiego, pomimo oporów z mej strony, tłumaczenia, że nie wykonałem całej tury lotów operacyjnych i chciałem dalej latać. Trzeci z kolei dowódca pokrzyżował moje plany w myśl oklepanego powiedzenia „dla dobra służby''. Mój stary przyjaciel Brzezina argumentował, że wojna się już kończyła i 307-my nie miał nic do roboty, więc się Virtuti nie doczekam i tak, a usamodzielniona szkoła była ważnym zadaniem do spełnienia. W początkach 1944 roku przygotowywaliśmy więc z płk. Tuskiewiczem nowy kurs, organizowaliśmy egzaminy wstępne, mieliśmy czas zajęty nowymi pomieszczeniami szkoły po jej przeniesieniu ze Szkocji do Weston-Super-Mare itd.

Będąc w Londynie służbowo 28 kwietnia spotkałem w Rubensie kpt. Czerniawskiego. Zaprosił mnie na kawę do Grosvenora przy Wiktorii, gdyż miał do omówienia ważną sprawę. Po banalnym wstępie, rozpoczęła się następująca rozmowa:

Cz.: — Otóż chcemy żebyś objął stanowisko po Poziomku. Mamy do Ciebie zaufanie, sądzimy, że jesteś jedyny na to stanowisko.

Ja: — Zaraz, co to znaczy — my?

Cz.: — No wiesz przecież, nasza organizacja.

Ja: — Organizacja? A co na to Iżycki, co Naczelny Wódz?

Cz.: — Iżycki się zgadza, Brzezina już z nim mówił, a Staszek chce za kilka miesięcy pojechać do Ameryki i potem objąć od Madejskiego TAF, więc ty zostałbyś szefem sztabu. Naczelnego Wodza to my już załatwimy, chodzi tylko o twoją zgodę.

Ja: — Bardzo mi przyjemnie, że macie do mnie zaufanie, ale nie bardzo rozumiem. Wiesz przecież, że odmówiłem wstąpienia do związku jeszcze w początkach, w 1940 roku, i nieraz mówiłem Wam co o tym myślę. Jestem prostym żołnierzem, jeśli N.W. mnie zawezwie i każe objąć stanowisko, to czy i inne, odpowiem — rozkaz panie generale, ku chwale Ojczyzny, ale nie rozumiem, jak może organizacja dawać mi stanowisko? Czy macie naprawdę takie wpływy na wszystko?

Cz.: — Ah, Ty bierzesz wszystko za tragicznie, przesadzasz! Jeśli Iżycki zaproponuje ciebie, to N.W. cię wyznaczy, no a my uradziliśmy z Brzeziną, że ty będziesz najlepszy.

Ja: — No dobrze, powiedzmy, że generał załatwi z Tuskiewiczem i ten mnie puści, bo jak wiesz 15-go otwieramy szkołę. Ale o co Wam chodzi, czego się po mnie spodziewacie? Bo pewno jakieś warunki chcecie mi postawić?

Cz.: — Mój drogi, nie przesadzaj, żadne warunki, ot, po prostu chcemy, żeby twoje drzwi były dla nas zawsze otwarte, byś z nami uzgadniał ważniejsze prace, plany.

Ja: — Oczywiście moje drzwi byłyby zawsze otwarte dla was i dla wszystkich kolegów, papierosy byłyby na stole, zaprosiłbym do bufetu, ale spraw służbowych z nikim nie omawiałbym. Jak ty sobie to wyobrażasz?

Cz.: — Bardzo prosto, idzie nam o to, że co trzy lub cztery głowy — to nie jedna. Chcielibyśmy, żebyś z nami dyskutował ważne sprawy przed proponowaniem decyzji generałowi.

Ja: — Nie, mój kochany, tego wam przyrzec nie mógłbym. Zresztą mam wrażenie, że Tuskiewicz będzie stawiał opór i znajdziecie sobie kogoś innego.

Cz.: — No dobrze, zobaczymy co generał z Tuskiewiczem uradzą".

Wróciłem do Rubensa; w korytarzu spotkał mnie gen. Iżycki; jak zwykle spieszył się, ale zdążył mi rzucić: „Cieszę się, że przychodzisz do nas, do widzenia". Gdy wychodziłem z Rubensa spotkałem płk. Brzezinę; zapytał czy mam czas pojechać z nim „na pieski". W samochodzie od razu zaczął mówić na temat obsadzenia stanowiska jego zastępcy:

B.: — Słuchaj Franek, musisz do mnie przyjść na miejsce Poziomka, ja muszę mieć podporę dyplomowaną, sam wiesz jak to jest. Rozmawiał z tobą już Roman?

Ja: — Tak, właśnie rozstaliśmy się.

B.: — Ja pogadam z Olgierdem dziś jeszcze, naturalnie, że szkoła jest ważna, ale sztab ważniejszy. Przecież mógłbyś zdać funkcję komuś tam. Może Orzechowski, albo Stach Michowski?

Ja: — Tak, Michowski ma większe przygotowanie, ale to już Olgierda sprawa. Myślę jednak, że on będzie chciał mnie zatrzymać przynajmniej jakiś czas, do otwarcia kursu choćby.

B.: — No, wy otwieracie 15-go, więc to dwa tygodnie, tyle można poczekać. Bardzo bym się cieszył stary, bo widzisz, ja mam tego już dosyć, chcę pojechać do Ameryki na szkółkę,

a potem objąć po Madejskim TAF, stanowisko liniowe jest dla mnie odpowiedniejsze, a ty jesteś urodzonym sztabowcem, staż liniowy miałeś, więc wszystko będzie O.K.''.

Następnego rana w Weston-Super-Mare płk. Tuskiewicz powitał mnie nowiną, że na 9.30 ma zamówioną rozmowę z Brzeziną w mojej sprawie. Wiedział już o wszystkim i powiedział poprzedniego dnia generałowi i Brzezinie tak: jeśli uważacie sztab za ważniejszy od szkoły, to sobie Franka zabierajcie, ale niech mi otworzy kurs, dwa tygodnie możecie poczekać. Zadzwonił telefon, rozmowa była krótka, trwała jedną minutę. Z miny płk. Tuskiewicza widziałem, że się nie myliłem. Organizacja zrezygnowała ze mnie, a dowódca lotnictwa i szef sztabu wobec tego oświadczyli, że nie mogą czekać dwa tygodnie i że już ściągają kogoś innego. Naturalnie musieli czekać tydzień czy dziesięć dni, gdyż przeniesienia w systemie R.A.F. nie są rzeczą tak prostą i szybko załatwianą. Byliśmy z płk. Tuskiewiczem ubawieni i zadowoleni z obrotu jaki sprawa wzięła. Wybrany oficer nie był dyplomowany, ale miał głowę na karku i charakter, toteż długo nie wytrzymał na nowym stanowisku. Znacznie później już jeden z członków organizacji miał wysokie stanowisko w sztabie, a gdy wyjechał za morze okazało się, że sprzeniewierzył pieniądze służbowe; mam w tej sprawie odpis pisma gen. Karpińskiego, który był już wtedy dowódcą Korpusu Przysposobienia (P.R.C.). Piszę o tym dlatego tylko, że fakt ten dowodzi jak trudno jest dobierać ludzi do konspiracji i jak srodze można się zawieść. Warto też dodać, że przestano nazywać rzeczy po imieniu i pan ów, pomimo złodziejstwa, jest czynnym członkiem koła Stowarzyszenia Lotników Polskich, którego prezesem był wkrótce potem gen. Karpiński.

Po tragedii Powstania Warszawskiego zaczęto zwalczać płk. Tuskiewicza; z epizodem wykładu na temat powstania złączono sprawy służbowe i prywatne, a wszystko razem było oszczerczą kampanią. Nie twierdzę, że organizacja nakazała kampanię, ale jej członkowie byli winowajcami. Ponieważ odmówiłem udziału w służbowym proteście przeciw komendantowi szkoły, objęto i mnie kampanią. Po dochodzeniach przeprowadzonych przez komisję w osobach: płk. Bokalski, płk. Wojtarowicz i ppłk. Rolski, zjechał do szkoły gen. Iżycki i stwierdził, że komisja uznała zarzuty za bezpodstawne, wypływające z zawiści, zarozumiałości, przeczulenia winnych. Wszyscy zostali natychmiast zabrani ze szkoły. Zadowoliłem się oświadczeniem generała, że nie ma do mnie żadnych pretensyj, ale płk. Tuskiewicz domagał się oddania sprawy do sądu. Po pewnym oporze generał się zgodził; oskarżenie było z paragrafu o oszczerstwo i obrazę przełożonego w służbie. W międzyczasie winnych przeniesiono — na wyższe stanowiska. Jeden w następnych awansach został podpułkownikiem. Wiosną 1945 dekret Prezydenta R.P. umorzył wszystkie sprawy.

Mniej więcej właśnie wtedy organizacja zwróciła się też przeciwko gen. Iżyckiemu. Wybrany dowódca zawiódł oczeki-

wania konspiratorów, nie stanął, ich zdaniem, na wysokości zadania. Głównym kamieniem obrazy było to, że będąc na świeczniku — nie świecił przykładem, przykładem idealizmu, nie myślenia o własnej przyszłości. Rozdzierano szaty z różnych powodów, nie będę tu wchodził w szczegóły, stwierdzę jedynie, że była w tym spora doza hipokryzji i zupełny brak tolerancji. Oto uzasadnienie tego twierdzenia: było powszechnie wiadomem, że pod wpływem zbliżającej się katastrofy narodowej i w związku z tym beznadziejnej sytuacji sił zbrojnych na emigracji, nastąpiła duża zmiana w ludziach i przewartościowanie wielu pojęć. Oficerowie wszystkich stopni do generałów włącznie i szeregowi, zaczęli troszczyć się o własny los i już w czasie wojny robili rozmaitymi sposobami mamonę. W lotnictwie wiedziano od dawna, że w Afryce, w Kanadzie i na wszystkich liniach lotniczych lotnicy uprawiali kontrabandę i trudnili się czarnogiełdziarstwem. Pod koniec wojny i tuż po jej zakończeniu ta działalność obejmowała wszystkie części sił zbrojnych, zarówno polskich jak wszystkich narodowości. Na długiej czarnej liście w ministerstwie lotnictwa było w końcu 1945 roku ponad pięćset polskich nazwisk. Będąc w Brukseli zapytałem kpt. Kałużę ze sztabu naszego oficera łącznikowego jak się ta sprawa naprawdę przedstawiała. Odpowiedział mi szczerze: ,,Ja mogę ręczyć tylko za jednego, który na pewno nie handluje — Madejski. Siedzi w biurze, kładzie pasjansa i czasem gra w kierki. Trzeba samemu zobaczyć co się dzieje w dywizjonach, aby uwierzyć. Oficerowie i szeregowi razem ze służbowymi samochodami, samolotami, giną na całe dnie, wszyscy robią forsę jak mogą. Jedni mądrze, drudzy głupio''. Podobnie mówił mi jeden z dowódców dywizjonów w Niemczech. Nie lepiej było we Włoszech. Oficerowie łącznikowi samolotami przewozili kontrabandę, unikając kontroli podobnie jak to opisał p. Sęp-Szarzyński w związku z przewożoną bibułą; jeden z oficerów sztabowych opowiadał mi, że wybierał lotniska nieużywane, w Anglii i nawet w Szkocji, na tych lądował w locie z Niemiec, a na lotnisku czekał przyjaciel lub przyjaciółka w samochodzie.

Otóż na tym tle rzucanie kamieniem na dowódcę lotnictwa — nawet jeśli było coś prawdy w plotkach szerzonych w Londynie i w pisemkach tajnych związków — wydaje się zemstą za mur graniczny. Innym przebaczano, przyjaźniono się z nimi nadal, ale generała Iżyckiego potępiano.

Smutny epilog: na pogrzebie ostatniego dowódcy lotnictwa gen. bryg. pil. Mateusza Iżyckiego, w Londynie, było 35 osób. W tej liczbie liczona jest rodzina; z lotnictwa był gen. Karpiński, czterech pułkowników, wierny Kiciu (śp. mjr. Kiecoń), i kilku młodszych stopniem, razem tuzin polskich lotników. Z R.A.F. był marszałek Robb, air commodore Russell, jeden oficer dowodzący plutonem honorowym i kpt. Jakimowicz, długoletni łącznikowy do spraw polskich. P. Jakimowicz nie mógł zrozumieć dlaczego na pogrzeb dowódcy lotnictwa nie przybyła delegacja wojska i marynarki wojennej, dlaczego nie było ofi-

cjalnych przedstawicieli władz polskich, sztandarów, mundurów, orkiestry. Mówił tak do mnie: ,,Panie to wstyd, to skandal, przecież tu nikogo nie ma z Waszego *air force*'u, garstka ludzi. Z prowincji nikt nie przyjechał, ale przecież w Londynie jest was masa! Przecież to był nie tylko generał, ale wasz C-in-C. Gdzie ta młodzież, która się koło niego kręciła? Co tam mieli przeciw niemu, to ja nie wiem, ale w obliczu śmierci zapomina się przecież to co było złe, a pamięta się o dobrym. Jakby nie było, generał był dobrym dowódcą, dbał o was, był miły i uczynny, ja to wiem dobrze. Wstyd mi za polskie lotnictwo wobec Anglików''.

Ostateczne rezultaty konspiracji.

Pierwsza konspiracja, po dojściu do władzy drogą przypadku, miała w swej pracy dla dobra lotnictwa bez wątpienia szereg osiągnięć, jednak ostateczny rezultat — którym był stan lotnictwa w przeddzień drugiej wojny światowej — był daleki od zadawalającego. Przyczyny należy moim zdaniem szukać w tym co Niemcy określają powiedzeniem ,,przekleństwo złego czynu'' (*Der Fluch der boessen Tat*). Jak zawsze bywa, między konspiratorami zrodziły się z czasem różnice, nieporozumienia i niesnaski, które w końcu doprowadziły do wzajemnego zwalczania się niektórych przywódców konspiracji. Ponadto, jej przywódcy nabrali przekonania, że są autorytetami we wszystkich dziedzinach lotnictwa i stali się autokratami nie dopuszczającymi innych do głosu, a zwłaszcza nie znosili krytyki. Toteż z konieczności zaczęli się opierać na ludziach mniej wartościowych, ale uległych im. Przytoczę przykłady znane powszechnie w lotnictwie: mjr, pil. inż. Wereszczyński przeszedł wcześnie na emeryturę za napisanie służbowego memoriału, w którym przedstawił braki lotnictwa; był to oficer bojowy, miał Virtuti z wojny, wykształcony i doświadczony technik; ale byli inni oficerowie, starsi wiekiem i bez kwalifikacji, których trzymano w lotnictwie na synekurach. W 1919 r. w maju, podoficer administracyjny Wiktor Pniewski, został mianowany przez Radę Ludową podporucznikiem. Poszedł na front jako dowódca eskadry, a chociaż nie przyznano mu ani polowego znaku pilota ani obserwatora, bo nie był ani pilotem, ani obserwatorem, otrzymał za zasługi wojenne Virtuti Militari. Po wojnie zatrzymano go w służbie czynnej; wykształcenie miał małe — cztery klasy szkoły powszechnej, żadnych kursów fachowych ani cywilnych dokształcających. W 1925 r. był majorem, wylatywał godziny jako pasażer z podoficerami i w dodatku kazał sobie wpisywać więcej aniżeli wylatał, aby szybciej te dziesięć godzin na półrocze odwalić. Podkreślam, że to tylko przykład, było takich więcej. Ale był dobrym administratorem, umiał trzymać ludzi w garści, zresztą był porządnym człowiekiem, a przełożonym zawsze przyznawał słuszność. Nie miał zielonego pojęcia o

pracy bojowej lotnictwa, o nowoczesnych prądach w taktyce, a jednak gen. Rayski zrobił go podpułkownikiem i powierzył mu wysokie stanowisko — kierownika Kierownictwa Zaopatrzenia Lotnictwa. Weźmy inny przykład: ppłk. J. Krzyczkowski, kierownik działu samolotowego Instytutu Doświadczalnego Lotnictwa, przedtem dowódca dywizjonu doświadczalnego, nie miał poza szkołą powszechną innego przygotowania do służby w lotnictwie, był podoficerem mechanikiem o dużej bez wątpienia praktyce i ,,smykałce technicznej'', ale nic więcej, tymczasem w ciągu kilka lat doszedł do stopnia i stanowiska, do których nie miał żadnych kwalifikacji. I temu fachowcowi, zaufanemu gen. Rayskiego, podlegali liczni autentyczni inżynierowie.

W przeświadczeniu o swym autorytecie i posłannictwie oraz jednocześnie o głupocie przełożonych, kierownicy lotnictwa używali różnych sposobów dla ukrycia rzeczywistego stanu lotnictwa. Przykład: gdy w niesławnej pamięci wyprawach czeskiej i litewskiej wykazało się, że lotnictwo było zupełnie nieprzygotowane do działań operacyjnych, dowództwo lotnictwa ze świętym oburzeniem odparło zarzuty inspektorów i zwaliło winę na dowódców pułków, mianowicie, że ci znając tabele należności poskładali nieścisłe meldunki, albowiem eskadry i dywizjony miały wszystko co tabelami było przewidziane. Dowcip owych tabel polegał na tym, że znajdowało się w nich tylko to co istotnie było w jednostkach, a nie to co było faktycznie do działań bojowych potrzebne. A więc np. eskadra liniowa miała dwie lub trzy radiostacje w tabeli należności, ale każdy lotnik wiedział, że na wojnie powinna była mieć dziesięć; dywizjon myśliwski — kilka w wyprawie litewskiej — miał np. dziesięć karabinów maszynowych, choć powinien był mieć dwadzieścia, a połowę amunicji, którą w rzeczywistości mógł samolot zabierać — ale w tabelach należności figurowały faktycznie posiadane ilości, więc wszystko było w porządku. Nareszcie to bujanie wyszło na jaw, stąd to zrodziły się gromy skierowane na gen. Kalkusa i innych, którzy zameldowali, że lotnictwo nie było gotowe do działań.

Brak zaufania do dowództwa i przełożonych najwyższych szczebli nie zrodził się bynajmniej po klęsce wrześniowej i w Rumunii — jakby to wynikało z artykułu p. Sępa-Szarzyńskiego i wielu innych prac — istniał on od kilku lat w lotnictwie, jak zresztą i w wojsku. Był on ostatecznym rezultatem konspiracji.

Druga konspiracja, pomimo długofalowej polityki, czystości środków i metod postępowania, nie dała również dobrych owoców, aczkolwiek trudno przesądzać co byłaby zdziałała w następnych sześciu czy ośmiu latach. Wbrew założeniom i wierze Polesińskiego, krytyka przełożonych była magnesem przyciągającym członków i zarazem czynnikiem demoralizującym maluczkich. Przestano odróżniać ziarna od plew i jak później w Rumunii i we Francji, zaczęto już wtedy potępiać w czambuł wszystkich przełożonych, starszych, wszystkie decyzje i zarządzenia.

Trzecia konspiracja trwała za krótko by mogła dać jakieś rezultaty o większym znaczeniu, dodatnim czy ujemnym.

Ostateczne rezultaty czwartej konspiracji trudno inaczej ocenić jak zdecydowanie ujemne. Przez wprowadzenie polityki do lotnictwa (ściśle mówiąc, do sił zbrojnych) konspiracja spowodowała dalsze rozbicie i rozjątrzenie, które bez wątpienia wpłynęły później na decyzję powrotu do kraju i emigracji za morza dużej części sił zbrojnych, ponadto, pośrednio, konspiracja wzmogła demoralizację i nawrót do dawno zapomnianego obyczaju militarnego — szukania osobistych korzyści i dzielenia się łupami wojennymi. Jeszcze się wojna nie skończyła, a w kąt poszły ideały i piękne zamiary — a konspiracja nie ruszyła palcem nawet, aby powstrzymać kult złotego cielca.

Nie sądzę aby historia wydając sąd o konspiracjach brała pod uwagę przemilczenia i żale p. Sępa-Szarzyńskiego. Nie da się ukryć prawdy, że pomimo ,,woli odrodzenia moralnego'' — konspiracja samym swoim istnieniem i na skutek stosowanych metod przyczyniła się do rozbicia i demoralizacji sił zbrojnych.



Na marginesie właściwego tematu chcę sprostować twierdzenie p Sępa-Szarzyńskiego w sprawie pomocy lotniczej dla Kraju oraz omówić katastrofę gibraltarską.

Pomoc lotnicza dla Kraju

Powołując się na książkę Tadeusza Katelbacha ,,Rok złych wróżb'' p. Sęp-Szarzyński pisze co następuje: ,,Poprzestanę na powiedzeniu, że gen. Sikorski kazał wysłać do Kraju plan całkiem nierealny, bo nie mający pokrycia w lotniczym sprzęcie. Plan ten pozwalał liczyć na bardzo wielką pomoc, gdy ta mogła być tylko niewielka. Ten nowy dowód lekkomyślności Naczelnego Wodza doprowadził Alego niemal do rozpaczy''.

Rzeczywistość była wręcz odwrotna: to Kraj nadsyłał do Londynu coraz to inne plany i żądania pomocy, plany nierealne i żądania przekraczające nie tylko możliwości naszego lotnictwa, ale możliwości lotnictwa Sprzymierzonych, a naczelni wodzowie posyłali do Kraju plany przepracowane przez dowództwo lotnictwa i ostrzegali Dowództwo A.K. przed liczeniem na pomoc lotniczą.

Zagadnienie pomocy lotniczej dla Kraju jest bardzo złożone i trudno je w całości przedstawić na marginesie innego tematu, toteż ograniczę się do naświetlenia momentu i czasu, o którym pisze p. Sęp-Szarzyński. Cytuję poniżej wyjątki z opracowania Komisji Historycznej P.S.P., które było pomyślane jako Raport dla Narodu. Nosi ono tytuł ,,Polskie Siły Powietrzne na obczyźnie''; wydane było w 1947 r. w Londynie jako opracowanie służbowe w ograniczonej ilości egzemplarzy, gdyż nie starczyło funduszy na wydanie książkowe. Redaktorem był płk. dypl. pil. Olgierd Tuskiewicz; komisja wykorzystała

wszystkie dokumenty rządowe i sztabu N.W. oraz sprawozdania oficerów łącznikowych wszystkich rodzajów naszego lotnictwa; ponad stu oficerów na różnych stanowiskach otrzymało do wglądu projekt opracowania i nadesłało swoje uwagi. Nie ulega wątpliwości, że praca ta jest źródłowa, sumienna i obiektywna, wystarczy choćby powiedzieć, że stosunek obu Naczelnych Wodzów i ich sztabów do sił powietrznych jest w tym opracowaniu poddany surowej krytyce. Toteż dla każdego lotnika, a sądzę, że również dla postronnych czytelników, nie będzie wątpliwości po czyjej stronie jest słuszność, nie będzie dylematu komu wierzyć — Komisji Historycznej Lotnictwa czy autorom książek i artykułów powtarzającym zasłyszane i niesprawdzone wersje na ten lub ów temat.

Przytaczam wyjątki z rozdziału ,,Działania na korzyść Armii Krajowej'', strony od 1 do 3:

,,Jesienią 1941 roku Kraj przysłał tak zwany plan Rakonia. ...Przy rozważaniu tych zamierzeń w 1942 r. Sztab Naczelnego Wodza był zdania, że udział lotnictwa w powstaniu jest tak ważny i istotny, iż od możliwości wsparcia lotniczego powinno się uzależnić rozpoczęcie działań w Kraju. W razie niemożności użycia lotnictwa powstania raczej nie należy zaczynać''.

Sztab dowództwa lotnictwa opracował dwa warianty planu wsparcia lotniczego, wiedząc jednak o braku zrozumienia zagadnień lotniczych w Kraju zaproponował gen. Sikorskiemu wysłanie do Kraju ekipy lotniczej. Przytaczam w tej sprawie wyjątek:

,,W styczniu 1943 roku została wysłana do Kraju ekipa lotnicza składająca się z fachowców, którzy przeszli szczególne wyszkolenie. ...Szef tego zespołu otrzymał szczególną instrukcję Inspektora Lotnictwa, która podkreślała, że nasz plan użycia dywizjonów na korzyść Kraju nie został jeszcze przez Sztab Brytyjski zatwierdzony i przyjęty do wykonania. Instrukcja liczyła się z możliwością wybuchu powstania w Kraju zanim Sprzymierzeni będą posiadali odpowiednią ilość lotnictwa przewozowego i zanim będą w stanie udzielić wsparcia przez ciężkie lotnictwo bombowe, toteż podkreśla konieczność oszczędnych i celowych zamierzeń co do ewentualnego użycia własnych dywizjonów. *Ponadto instrukcja zwracała uwagę, że obecne uzbrojenie naszych dywizjonów jest niewłaściwe dla działań na korzyść Kraju*''.

Nie poprzestano jednak na tym ostrzeżeniu. Przytaczam dalszy ciąg:

,,Był to tak zwany Wariant 2, który w marcu 1943 roku został przekazany Sztabowi Naczelnego Wodza, a w kwietniu *był wysłany do Kraju, z zastrzeżeniem, że lotnictwo nie byłoby w stanie udzielić swego wsparcia Krajowi w ciągu* 1943 *roku*, tak ze względu na brak uzupełnień do sformowania niezbędnych służb, jako też na brak u Sprzymierzonych odpowiedniej ilości lotnictwa przewozowego''.

Na podstawie tych faktów można więc stwierdzić, że gen. Sikorski w początkach 1943 roku ostrzegał Kraj przed liczeniem w ogóle na pomoc lotniczą w tym roku i że właśnie wtedy to panowie Sęp-Szarzyński, Bujalski i Lechnicki doszli do przeko-

nania, iż Naczelny Wódz „dał nowy dowód lekkomyślności", że „stał się kimś zupełnie nieodpowiedzialnym", oraz że bez usunięcia gen. Sikorskiego od władzy „Sprawa nie uniknie katastrofy".

W jesieni 1943 r. kpt. Bujalski był oficerem do zleceń nowego Naczelnego Wodza. Kraj nadesłał nowy plan, nowe żądania. W opracowaniu komisji historycznej lotnictwa czytamy o tym co następuje:

„Po dokładnym rozważeniu żądań Dowódcy Armii Krajowej, Inspektor Lotnictwa w dniu 20 października 1943 r. przedstawił Naczelnemu Wodzowi projekt swej odpowiedzi, w której stwierdził, że w razie uzyskania odpowiednich warunków, lotnictwo nasze może być gotowe do wsparcia Kraju *najwcześniej z początkiem* 1945 *roku*".

Po wyliczeniu warunków wspomnianych powyżej, następuje stwierdzenie:

„Naczelny Wódz na projekcie odpowiedzi poczynił odręczne poprawki, skreślając przesunięcie rezerw ludzkich z wojska do lotnictwa oraz *skreślając zdanie stwierdzające, iż dotąd nie ma decyzji Sprzymierzonych co do terminu rozpoczęcia działań w Polsce.* W lotniczym komunikacie sytuacyjnym z lutego 1944 r. sporządzonym dla poinformowania Dowództwa w Kraju, Inspektor ponownie stwierdził, że lotnictwo nie otrzymało potrzebnych mu uzupełnień stanów. *Naczelny Wódz odręcznie tę część komunikatu skreślił*"*).

Sytuacja była więc poważna: bez uzupełnień lotnictwo nie mogło być gotowe do udzielenia Krajowi pomocy, bez decyzji Sprzymierzonych i bez ich pomocy powstanie musiało skończyć się katastrofą, toteż pełne informowanie Kraju o tych trudnościach można uważać za bardzo istotne. Wierząc jednak, że Naczelny Wódz miał swoje powody do takiego czy innego postępowania w każdej sprawie, należy wstrzymać się od wydawania sądu do czasu zbadania wszystkich okoliczności i dokumentów z daną sprawą związanych. W tym wypadku, moim zdaniem, zarzut lekkomyślności i nieodpowiedzialności można postawić jedynie autorowi „Tropu legendy". W 1943 roku można było rozumieć i wybaczyć lekkomyślne wyrażanie się o Naczelnych Wodzach młodym oficerom, którzy żyli w stałym podnieceniu, rozpolitykowani i przekonani o swoim posłannictwie. Po tylu latach jednak można oczekiwać więcej samokrytycyzmu, spokoju i odpowiedzialności za swoje słowa.

Katastrofa gibraltarska i sprawa Spadów

P. Sęp-Szarzyński nadmienił w swoim artykule, że była możliwość wykonania przez członków tajnej organizacji oficerskiej zamachu na Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego. Trudno mi uwierzyć aby śp. ppłk. dypl. S. Poziomek mógł na serio nosić

*) Uwaga: Wszystkie podkreślenia w przytoczonych wyjątkach z opracowania komisji historycznej lotnictwa są moje. F.K.

się z zamiarem udziału w zamachu czy nawet wykonania go — po prostu w gorączce dyskusji wypowiedział nieprzemyślany argument, co każdemu może się zdarzyć. Moim zdaniem Poziomek był człowiekiem poważnym którego zasady etyczne wykluczały zamachy na życie kogokolwiek. Sprawa niedoszłego zamachu na gen. Sikorskiego, w którą wmieszany był ppłk. dypl. B. Kleczyński jest nadal niewyjaśniona; ciekawym momentem w niej jest to, że rzekomy niedoszły zamachowiec — ppłk. Kleczyński — pozostał w czynnej służbie, a fakt ten nasuwa różne przypuszczenia. Mogę tu stwierdzić tylko to, że wyjaśnienie tej sprawy jest możliwe; mianowicie, przyjaciel śp. Kleczyńskiego, kpt. obs. Wojtulewicz, wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych powiedział mi, że posiada dokumenty wyjaśniające całą sprawę 'zamachu', ale nie jest upoważniony wyjawić ich do pewnego czasu. Terminu ujawnienia niestety nie podał mi.

Pisząc o katastrofie gibraltarskiej autor ,,Tropu legendy'' nie skwalifikował jej zupełnie, nie wyraził poglądu czy była ona wypadkiem lotniczym czy aktem sabotażu, wydaje mi się jednak, że swoimi rozważaniami o możliwościach zamachu na życie gen. Sikorskiego mimowolnie skierował myśli czytelników na zagadkę katastrofy, w której zginął gen. Sikorski. Sabotaż — a więc następny zamach, tym razem udany — czy wypadek lotniczy? To pytanie nasunęło się zapewne niejednemu czytelnikowi ,,Tropu legendy'', zwłaszcza, że katastrofa gibraltarska jest nadal — pomimo upływu 17 lat — niewyjaśniona. Co więcej, w ostatnich latach zwiększyła się liczba hipotez dotyczących rodzaju sabotażu i jego sprawców. Osobiście wątpię czy zagadka katastrofy gibraltarskiej będzie kiedykolwiek konkretnie i pozytywnie rozwiązana, niemniej sądzę, że rozpatrzenie wszystkich hipotez może doprowadzić do ostatecznego wniosku.

Trudno się dziwić, że w 1943 roku powstały podejrzenia trwające do dziś, że katastrofa była aktem sabotażu. Stron którym zależało na usunięciu gen. Sikorskiego było wiele. Wiadomo, że wśród naszej emigracji opozycja polityczna i tajna organizacja wojskowa dążyły do usunięcia gen. Sikorskiego; zarówno Niemcom jak i Sowietom usunięcie gen. Sikorskiego było na rękę; wreszcie, polityce W. Brytanii mogło również odpowiadać pozbycie się premiera rządu kłopotliwego sprzymierzeńca.

Przypuszczenie, że polska opozycja polityczna lub wojskowa mogłyby być posądzone o dybanie na życie Naczelnego Wodza jest dla mnie osobiście potworne, toteż nie zajmowałbym się nim nigdy, gdyby nie smutna rzeczywistość — faktycznie były planowane dwa względnie nawet trzy zamachy na gen. Sikorskiego. Na szczęście, nie ma absolutnie żadnych, nawet najdrobniejszych poszlak aby ktokolwiek z Polaków miał z katastrofą gibraltarską coś wspólnego; przeciwnie, nie ulega wątpliwości, że żaden z rodaków nie miał fizycznej możliwości dokonania w jakiejkolwiek formie sabotażu w Gibraltarze. Strona polska zatem odpada z rozważań.

Już od 6 lipca 1943 r. Niemcy rozpoczęli uporczywą kampanię zarzucającą stronie brytyjskiej „zlikwidowanie" gen. Sikorskiego, którego nazwano „ostatnią ofiarą Katynia". Po piętnastu latach, w 1958 r., w Polsce podjęto to samo oskarżenie — — w dwóch książkach — „brytyjski wywiad (*Intelligence Service* albo *Secret Service*) spreparowały katastrofę gibraltarską". O ile jednak Niemcy zadowolili się samym twierdzeniem, że sabotaż był dziełem wywiadu brytyjskiego, o tyle polscy autorzy, Strumph-Wojtkiewicz i Klimkowski, wdali się w szczegóły wykonawcze rzekomego sabotażu, zrobili to jednak tak nieudolnie, że — wbrew swym intencjom — ośmieszyli hipotezę sabotażu. Mianowicie, wbrew faktom stwierdzonym przez licznych świadków różnych narodowości twierdzą oni, że samolot wybuchł w powietrzu, że pilot wyskoczył ze spadochronem i że wyłowionych ciał ofiar katastrofy, w szczególności gen. Sikorskiego, nikt w rzeczywistości nie zidentyfikował.

Sam przebieg katastrofy oraz akcji ratowniczej i jej wyniki nie ulegają żadnej wątpliwości. Samolot wystartował zupełnie normalnie, wzniósł się na około 300 stóp (czyli niecałe sto metrów), silniki — wszystkie cztery — pracowały doskonale po czym leciał poziomo, ale po kilku sekundach przeszedł w lekki lot nurkowy; tuż przed wpadnięciem w morze silniki zostały wyłączone; cały lot trwał 16 do 20 sekund, odległość przeleciana wynosiła zaledwie około 1100 metrów, a 650 metrów od brzegu. Wszystko to widzieli świadkowie, a potwierdziły zeznania pilota. Ponadto, kontroler ruchu lotniska (*trafic control*) Gibraltar słyszał w odbiorniku radiowym głos pilota i widział z wieży kontrolnej taki właśnie przebieg lotu. W ciągu 5 do 6 minut dopłynęły do miejsca katastrofy łódź wiosłowa i motorówki R.A.F.; wyłowiono ciała: gen. Sikorskiego, gen. Klimeckiego i cywilnego Brytyjczyka, oraz pilota Prchala, który żył, gdyż w chwili zderzenia samolotu z wodą pękła kopuła kabiny pilota i pierwszy pilot został wyrzucony łukiem do morza. Ciała generałów rozpoznał bez trudu por. Ludwik Łubieński, który wraz z gubernatorem czekał w porcie na przybycie motorówek. W ciągu następnych dwóch dni wydobyto z morza zwłoki jeszcze innych ofiar katastrofy, z wyjątkiem śp. Zofii Leśniowskiej, Adama Kułakowskiego i drugiego pilota.

Wedle protokółów dwóch komisji oraz zeznań pilota Prchali, potwierdzonych w 1953 r. w jego artykule w „Dzienniku Polskim", po jego ucieczce z Czechosłowacji, powodem katastrofy było zablokowanie sterów, natomiast przyczyny zablokowania nie zdołano stwierdzić. W związku z tą konkretnie ustaloną wadą sterów i stwierdzonym przez wielu świadków dobrym działaniem silników — odpada najnowsza hipoteza rzekomego spowodowania katastrofy przez agenta niemieckiego, który miał nasypać cukru do zbiornika Liberatora.

Komisja wysłana przez brytyjskie ministerstwo lotnictwa dla zbadania przyczyny katastrofy nie była jedyną komisją w jej pracach brał udział jako obserwator mjr. inż. S. Dudzi[illegible]

ski, który następnie był członkiem polskiej komisji pod przewodnictwem płk. pil. P. Dudzińskiego, polski minister sprawiedliwości wyznaczył swoją komisję, a w konsekwencji dowództwo P.S.P. (Inspektorat Lotnictwa), powołało jeszcze jedną komisję. Ostateczny rezultat badań i orzeczeń tych komisji jest następujący:

— komunikat ministerstwa lotnictwa z 21 września 1943 stwierdza, że powodem katastrofy było zablokowanie sterów, ale przyczyny nie dało się stwierdzić, natomiast ustalono, że nie było sabotażu;

— druga komisja fachowców polskich wypowiedziała się 27 listopada 1943 r., odpowiadając konkretnie na pytania postawione przez prokuratora Cypriana:

,,Na podstawie badania tych części samolotu, które wydobyto z morza, nie można stwierdzić, że są dane wskazujące na sabotaż. Biorąc rzecz natomiast od strony teoretycznej, możliwości sabotażu nie można nigdy wykluczyć w tak skomplikowanej maszynie jak Liberator, zwłaszcza w warunkach zaufania wzajemnego panujących na lotniskach angielskich''.

Zdaniem komisji przebieg wypadku nie wskazuje na błąd pilotażu, aczkolwiek teoretycznie nie można go wykluczyć. Jest to oświadczenie ostrożniejsze od komunikatu brytyjskiego, który stwierdza, że ustalono iż pierwszy pilot nie ponosi żadnej winy.

Jeśli przyjmiemy, że technicznie trudne do wyjaśnienia zablokowanie steru wysokościowego po 15 sekundach lotu było dziełem zdolnego technika-sabotażysty, to z kolei musimy zastanowić się, która z zainteresowanych stron — bo wykluczyliśmy dopiero stronę polska — miała fizyczną możliwość 'spreparowania' sterów Liberatora. Teoretycznie, strona brytyjska miała pełną możliwość wykonania sabotażu, gdyż samolot znajdował się na brytyjskim lotnisku, był pod osłoną brytyjskiej służby bezpieczeństwa i był obsługiwany przez personel brytyjski. W rzeczywistości jednak, wobec stwierdzenia przez naszą komisję, że ,,dozór nad samolotem szwankował'', należy stwierdzić że zarówno strona niemiecka jak i sowiecka miały teoretycznie fizyczną możliwość wykonania sabotażu. Istnienie agentów niemieckich w Gibraltarze było faktem znanym i naturalnym, a każdy człowiek ubrany w granatowy ubiór mechanika samolotowego mógł spokojnie wejść do Liberatora. Wreszcie strona sowiecka miała również możliwość fizyczną, jeśli się zwróci uwagę na to, że w dniu poprzedzającym katastrofę były na lotnisku gibraltarskim dwa samoloty sowieckie; 4 lipca, gdy gen. Sikorski był w Gibraltarze, przyleciał i odleciał samolot ambasadora Majskiego w drodze do Moskwy.

Wszystko to są jednak rozważania czysto teoretyczne, opierające się na założeniu technicznej możliwości takiego spreparowania sterów Liberatora, względnie urządzenia blokującego stery, które spowoduje zablokowanie sterów już po starcie, powiedzmy w ciągu 10 do 20 sekund. Tak sprecyzowane warunki sabotażu były konieczne dla spowodowania katastrofy właśnie

po starcie na otwarte morze, gdyby bowiem zablokowanie sterów nastąpiło np. w czasie kilku minut po starcie, to załoga miała możliwości opanowania maszyny i wylądowania, choćby przymusowego na nieodpowiednim terenie, a w każdym razie rozmiary wypadku nie byłyby tak wielkie jak w katastrofie jaka nastąpiła w rzeczywistości. Planowanie i wykonanie tak precyzyjnego sabotażu w Liberatorze wymagało bez wątpienia zdolnego technika znającego dokładnie mechanizm sterowy Liberatora, a przede wszystkim wymagało czasu i spokoju, co w warunkach lotniska gibraltarskiego wydaje się bardzo wątpliwe do uzyskania. W rzeczywistości jednak techniczne wykonanie takiego sabotażu w sterach Liberatora wydaje się niemal niemożliwe, zarówno w stosunku do samych sterów jak i do urządzenia blokującego stery.

Druga komisja polska otrzymała następujące pytania i dała na nie takie oto odpowiedzi:

„Czy jest możliwe wystartowanie i wzniesienie się do 150 stóp przy zablokowanym sterze wysokościowym przez urządzenie blokujące?

Zgodnie z opinią rzeczoznawców z Farnborough i naszym doświadczeniem uważamy, że nie jest możliwe.

Czy jest możliwe po starcie odblokowanym — zablokowanie steru wysokościowego w pozycji przedniej, w powietrzu, za pomocą mechanizmu blokującego?

Zablokowanie steru możliwe jest tylko w pozycji neutralnej, przy poprawnym funkcjonowaniu mechanizmu blokującego — wynik badań sworzni blokujących wskazuje na to, że ster nie był przy ich udziale zablokowany".

Nie sądzę, aby te szczegóły były technicznie zbyt skomplikowane i trudne do zrozumienia dla ogółu czytelników. Z oświadczenia komisji wynika jasno, że sabotaż nie był dokonany w urządzeniu blokującym, gdyż badania wykazały, że nie brało ono udziału w zablokowaniu sterów. Pozostaje więc jedna tylko możliwość sabotażu technicznego: spreparowanie samego steru wysokościowego. Otóż to z technicznego punktu widzenia wydaje się również prawie niewykonalne, zwłaszcza z precyzją sekundową.

Tyle co do sabotażu. Należy jeszcze rozpatrzyć możliwość sabotażu ludzkiego — na który również autorzy krajowi przez kwiatek jakby wskazują. Mianowicie, pierwszy lub drugi pilot mógł rozmyślnie spowodować wypadek. Podejrzenie odnosi się szczególnie do pierwszego pilota, który ocalał — jedyny z całego samolotu. Teoretycznie biorąc, mógł on — jeśli był narzędziem którejkolwiek z zainteresowanych stron — znurkować w morze, zamknąć silniki aby dać sobie czas na otworzenie pokrywy kabiny i wyskoczenie do morza; podkreśla się z naciskiem, że znaleziono pierwszego pilota z nadmuchaną kamizelką ratowniczą (popularnie zwana 'May-Westka'), natomiast nie wspomina się o tym, że miał obie nogi złamane, rozerwany lewy policzek i odniósł szereg wewnętrznych obrażeń. Hipoteza ta

jest moim zdaniem zbyt fantastyczna i brak jest jakichkolwiek podstaw dla zajmowania się nią*).

Ostatnią hipotezą jest błąd pilotażu — a raczej czynności drugiego pilota po starcie. Ciekawe i dla niektórych ludzi niepokojące jest to, że nie opublikowano nawet nazwiska drugiego pilota. Otóż teoretycznie istnieje możliwość, że drugi pilot, który nie miał doświadczenia na Liberatorach, mógł przez pomyłkę uruchomić urządzenie blokujące stery lub wypuścić klapy czy podwozie, co w każdym wypadku zwróciłoby nos samolotu w dół. W świetle jednak zeznań pierwszego pilota i oświadczenia komisji technicznych, powodem katastrofy było zablokowanie sterów — i nic innego, a że urządzenie blokujące nie brało udziału w zablokowaniu, zatem błąd drugiego pilota również odpada.

Reasumując, można stwierdzić co następuje: *fizyczna możliwość sabotażu istniała, ale akt sabotażu sprowadzony na podstawie badań do steru wysokościowego jest technicznie trudny do wyobrażenia w szczególnych warunkach i w czasie ograniczonym do 15 sekund.*

Niefortunny zbieg okoliczności sprawił, że nie zdołano wydobyć z morza wszystkich części samolotu, gdyż tylko wtedy polska komisja techniczna byłaby stwierdziła z czystym sumieniem, iż możliwość sabotażu należy wykluczyć. Co do mnie, to zgadzam się z opinią brytyjskiej komisji i sądzę, że sabotażu nie było. Był to jeden z bardzo wielu wypadków lotniczych, których całkowicie nigdy nie zdołano wyjaśnić.

W latach 1926-1939 gdy służyłem w lotnictwie, zginęło w wypadkach lotniczych ponad trzystu lotników. Większość wypadków była spowodowana błędami pilotażu, była jednak część wypadków, w których podejrzewano przyczyny techniczne (wady materiału, zużycie części), ale wskutek całkowitego rozbicia samolotów nie zdołano ich dokładnie zbadać i określić z całą pewnością. Jest to zjawisko znane wszystkim lotnictwom świata, zwłaszcza lotnictwom wojskowym. Parafrazując stare przysłowie można powiedzieć ,,wypadki lotnicze chodzą po ludziach, bez różnicy stanu i wieku''. W czasie drugiej wojny światowej zginęło szereg wybitnych względnie utytułowanych osób w wypadkach lotniczych, a niektóre z tych wypadków właśnie należą do niewyjaśnionych — to znaczy niewyjaśnionych na sto procent, a zaopatrzonych w aktach lakonicznym tytułem: błąd pilotażu, warunki atmosferyczne, pożar powstały w lewym silniku, zablokowanie sterów, wadliwe działanie podwozia itp., a wyjątkowo — ,,powód nieznany''.

---

*) Pilot Prhala bezpośrednio po zakończeniu wojny wrócił do Czechosłowacji, skąd uciekł dopiero po paru latach. Zapewne w aktach instytucji policyjnych czeskiej Republiki Ludowej mogą być protokuły jego przesłuchań: Władze PRL mogłyby na pewno te materiały otrzymać. Kto wie czy nie ma w nich wyjaśnienia tragedii gibraltarskiej. (Red.).

Dokładne ustalenie wady technicznej lub materiału, która była przyczyną wypadku lotniczego, było zawsze i jest nadal rzeczą raczej wyjątkową. Najczęściej samolot był tak doszczętnie rozbity, że zbadanie odpowiednich części było niemożliwe gdyż po prostu ich nie znaleziono. Wie o tym każdy lotnik mający kilka lat służby za sobą, pamięta dobrze te różne kraksy i pomimo upływu wielu lat widzi jak na ekranie przebieg katastrofy i te gruzę rupieci i popiołu, która pozostała po samolocie i jego kolegach. Wykrycie wady materiału zawdzięczano zwykle jakiemuś szczęśliwemu trafowi, wyjątkowemu zbiegowi okoliczności. Doskonałą ilustracją tego twierdzenia jest sprawa naszych samolotów myśliwskich Spadów (Bleriot-Spad 51) z lat 1925-1930.

W 1925 r. gen. Zagórski kupił we Francji 250 Spadów i 150 silników zapasowych (Gnome-Rhône). Na tych samolotach myśliwcy nasi latali do jesieni 1930 r. Ponieważ o sprawie Spadów pisał w swej książce gen. Rayski, przytaczam najpierw ze strony 22 tej książki zasadnicze wyjątki:

„Gen. Zagórski bowiem, kupując, nie zażądał próby statycznej. Współczynnik bezpieczeństwa miał być, jak dla wszystkich samolotów myśliwskich — 13. Okazało się, że jest — 6 i pół. Kiedy się to okazało? Już za czasów mego szefostwa. Jeden po drugim zabijali się myśliwcy na Spadach".

Zarzut zrobiony Zagórskiemu jest bezpodstawny, a zatem złośliwy, bo obliczony na naiwność laików. Próba statyczna (czyli tak zwane łamanie skrzydeł) jest częścią integralną produkcji płatowca — zanim się uruchamia produkcję seryjną nowego typu samolotu przeprowadza się próbę statyczną. Gdy raz się już typ samolotu wyprodukowało i złożyło oferty ewentualnym nabywcom, w ofercie figuruje współczynnik bezpieczeństwa — i klient przyjmuje go na wiarę tak jak setki innych danych fabrycznych. Gdy gen. Rayski sprzedawał P.-24 (doskonałe myśliwskie samoloty) nie robił próby statycznej dla każdego kupującego — dla Turków, Rumunów, Greków czy innych klientów, a gdyby który z nich tego zażądał, na pewno by się szef lotnictwa polskiego obraził. Podobnie i gen. Zagórski nie miał powodu 'żądać' wykonania próby statycznej na swoich oczach — przyjął za dobrą monetę to co wyczytał w ofercie — a współczynnik był podany 9, nie 13; skoro faktycznie był — jak się okazało — 6 i pół, to rzecz jasna, że gen. Zagórski był ofiarą nieuczciwości firmy francuskiej.

Gen. Rayski nie podaje, niestety, w którym to roku zarządził próbę statyczną, pisze natomiast dalej, że nie mógł wszystkich Spadów wycofać, bo musiałby „zwinąć całe lotnictwo myśliwskie". A oto jak zaradził tej fatalnej wadzie materiału: zwołał na odprawę wszystkich dowódców dywizjonów myśliwskich — znowu rok nie podany — i: „Poprosiłem, żeby kazali swoim pilotom unikać akrobacji". A dalej: „Gdy tylko pierwsze PWS wyszły z fabryki, 80 Spadów kazałem zniszczyć".

Piloci zabijają się na samolotach, w których szef lotnictwa

stwierdził współczynnik bezpieczeństwa o 50% za mały, a szef lotnictwa *prosi* dowódców jednostek aby kazali pilotom unikać akrobacji! Dowódca nakazuje, rozkazuje, decyduje — nie *prosi,* zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzi życie jego podwładnych. Kto mógł oczekiwać wykonania takiej prośby? Przecież bez akrobacji myśliwcy przestawali być myśliwcami! Jak mieli prowadzić ćwiczenia walki powietrznej bez nurkowania i wyrywania nagłego maszyny, bez skrętów i uników, aby się nie dać ,,zestrzelić'' kolegom liniowcom?

Najważniejszy w tym wszystkim jednak jest czynnik czasu. Czytelnik nie znający historii lotnictwa może sobie pomyśleć, iż w grę wchodziły tu tygodnie czy miesiące. Otóż rzeczywistość była taka: myśliwcy zaczęli latać na Spadach w 1925 r., a skończyli — po ich wycofaniu — w jesieni 1930 r. Był to więc okres sześciu lat! A że spadochrony wprowadzono do naszego lotnictwa dopiero w 1928 r., więc myśliwcy musieli albo latać 'ostrożnie', albo się zabijać.

Otóż seria wypadków na Spadach zwiększyła się gwałtownie właśnie w roku 1929. Było to zrozumiałe, gdyż lataliśmy wtedy znacznie więcej aniżeli w latach poprzednich, dotacje bowiem materiałów pędnych wzrosły poważnie, po drugie, wprowadzono wtedy nowe programy wyszkoleniowe i mieliśmy spadochrony. Wystarczy jeśli przytoczę porównanie z własnej służby w 3.p.lot.: przyszliśmy do pułku z Dęblina, ja i dziewięciu kolegów, spragnieni latania prawdziwego, bo w szkole loty były krótkie, odwalane; ja np. za dwa lata Dęblina miałem wylatane 18 godzin; w pułku spotkało nas rozczarowanie: powiedziano nam, że na przelot trzeba sobie zasłużyć dobrymi manewrami, toteż od września 1928 do kwietnia 1929 mieliśmy wylatane po 12 do 15 godzin, natomiast do końca 1929 r., w związku ze zmianami wspomnianymi poprzednio, wylatałem ponad sto godzin.

Przechodzę teraz do myśliwców. Nie ma w tym przesady jeśli stwierdzę, że gdy latem 1928 r. por. Skrzypiński wykonał dwa *loopingi* nad Ławicą — chodził jak paw przez kilka miesięcy, a o tym wydarzeniu mówiono w pułku i w Poznaniu jeszcze wiosną następnego roku! Dopiero przyjście kpt. Pawlikowskiego i szeregu pilotów ze zlikwidowanego 11 pułku myśliwskiego, bodaj w maju czy czerwcu 1929 r., zmieniło obraz III/3 dywizjonu. Było podobnie w innych pułkach. Myśliwcy latali również znacznie więcej, a przede wszystkim latali jak powinni — to znaczy kręcili całą akrobację i prowadzili solidną pozorowaną walkę powietrzną, latali w szykach. Stąd nic dziwnego, że wypadków lotniczych w Polsce było więcej aniżeli w latach poprzednich, jednak wypadki na Spadach miały specjalny charakter — właściwie z reguły orzekano, że powodem kraksy był błąd pilotażu. Dlatego właśnie ciekawe byłoby stwierdzić, kiedy to szef lotnictwa zarządził próbę statyczną Spada, w którym to roku prosił myśliwców aby unikali akrobacji? Jak doszło do ostatecznego zawieszenia Spadów — to wiem

dobrze, byłem bowiem przypadkowo zamieszany w całą sprawę. A że było to w 1930 roku, jestem skłonny przypuszczać, że dopiero wtedy nastąpiła próba statyczna i prośba o unikanie akrobacji.

Otrzymałem zadanie wstrzeliwania artylerii nad odcinkiem frontu, nad którym 'nieprzyjaciel' wykazywał ożywioną działalność myśliwców. Wobec tego kpt. Jungrav wyznaczył mi dla osłony dwa boczne Potezy; obserwatorami w nich byli podporucznicy Ociepka i Langner (obaj zginęli później jako piloci myśliwscy, na P.11). Wiedziałem, że zaatakuje nas klucz Spadów por. Mümlera*), toteż zwróciłem uwagę moich bocznych na konieczność stałego obserwowania słońca, bo z góry i od słońca na pewno Mümler wykona atak. Lecieliśmy na wysokości 1500 metrów, a placówka łączności pozorowanej artylerii była na lotnisku. Otrzymawszy w pewnej chwili sygnał płachtami ,,zaczekać 5 minut'', odwróciłem się i ja do tyłu i zacząłem wypatrywać nieprzyjaciela. Zobaczyłem klucz Spadów jak trzy muchy lecące w kupie od słońca. Moi boczni zobaczyli również nieprzyjaciela i wszyscy trzej czekaliśmy z naszymi fotokarabinami na atak. Oceniałem, że klucz Spadów schodził z wysokości co najmniej trzech tysięcy metrów, a gdy go dostrzegłem nurkował już na nas i to bardzo stromo. Dalszy przebieg ataku był błyskawiczny niemal, trwał może 10 czy 15 długich sekund, ale wszystko rozgrywało się niemal jednocześnie dla mnie. Por. Mümler celował w moją maszynę a jego boczni każdy w jedną z moich bocznych maszyn. Boczni piloci mego klucza trzymali się na ogół blisko, ale gdy obserwatorzy dali im znać, że atakują myśliwcy, rozluźnili nieco szyk, aby klucz nasz nie stanowił jednego celu. Na szczęście — jak się miało okazać — odległość prawego Poteza od mojego wzrosła do około 50 metrów. Por. Mümler wyrwał sprawnym łukiem swojego Spada tuż nade mną — to znaczy, tak myśmy to oceniali, w każdym razie przeleciał nad moim prawym skrzydłem w odległości najwyżej dwudziestu do dwudziestupięciu metrów. Przyznaję, że zdębiałem i nie zdążyłem oddać serii do niego, ale ledwo odwróciłem głowę w prawo zobaczyłem z przerażeniem lecący między mną i Potezem Langnera (pilot plut. Skawiński) kadłub Spada, bez skrzydeł, z numerem 6 i odznaką eskadry widocznymi jak na dłoni. Mój pilot dojrzał go w lusterku; przymknął gaz i krzyknął: ,,Zderzenie!'' Zrobiliśmy dość ciasne okrążenie kluczem, wypatrując spadochronów. Widziałem dwa kadłuby lecące, ale tylko z jednego wysunął się tuż przed ziemią niemal kawałek spadochronu. Okazało się, że plut. Napierała nie zdołał wyskoczyć i zginął na miejscu, a ppor. Zanoziński wylądował z kadłubem, gdyż spadochron był zawikłany i nie cały się otworzył. Ppor. Zanoziński zmarł w szpitalu po rocznej chorobie, gdyż wewnętrzne obrażenia, które poniósł nie były możliwe do wyleczenia.

*) Późniejszy ppłk. Mieczysław Mümler, dzielny dowódca III/3 w Kampanii Wrześniowej i 302 Poznańskiego w *Battle of Britain.*

Po wylądowaniu na lotnisku wszyscy wyrażali przekonanie, właściwie pewność, że Napierała i Zanoziński zderzyli się, zapatrzywszy się w samoloty-cele. Por. Mümler oczywiście nie mógł widzieć co się z jego bocznymi stało, gdyż spojrzał na nich po raz ostatni po rozpoczęciu nurkowania, czy trzymają się dobrze, a w czasie samego ataku był wpatrzony w swój cel. Po wykonaniu zakrętu oglądał się za swoimi bocznymi i nie mógł zrozumieć, gdzie się podzieli. Wydawało mu się dziwne żeby boczni piloci klucza mieli się zderzyć, naturalną rzeczą bowiem jest zderzenie się któregoś bocznego z prowadzącym samolotem, ale ponieważ wszyscy byli przekonani, że widzieli zderzenie, więc i por. Mümler musiał się z tym pogodzić. Ja nie widziałem zderzenia, meldowałem kpt. Pawlikowskiemu, ale z pozycji w jakiej pamiętam klucz atakujący wydaje się mi zderzenie nieprawdopodobne. Pawlikowski zapytał, czy zrobiłem zdjęcia. Odpowiedziałem że nie, ale poszedłem dowiedzieć się od moich bocznych jak im walka wyszła. Langner powiedział, że był tak przerażony widząc *dwie* maszyny walące się w kawałkach na nasz klucz, że nie zrobił zdjęć, natomiast Ociepka, który był w lewym Potezie, zrobił serię zdjęć, rozpoczynając jeszcze z dużej odległości, toteż miał nadzieję, że zdjęcia się udały i 'zderzenie' na nich wyszło. Jak widać, wszyscy zakładali że było zderzenie. Trzeba pamiętać, że patrząc z ziemi pod słońce, gdy samoloty były na wysokości między 1500 i 2000 metrów, sześć samolotów w dość skupionym perspektywą punkcie przestrzeni, trudno było widzieć szczegóły rozgrywającego się w ciągu kilku sekund dramatu.

Zdjęcia udały się — zimna krew ppor. Ociepki dostarczyła niezaprzeczalnego dowodu, że Spady łamały się w powietrzu przy niewprawnym wyciąganiu z ostrego nurkowania. Na pierwszych zdjęciach filmu Ociepki widać było cały klucz Spadów; następnie, ponieważ celował w prawego nieprzyjaciela, widoczny był cały Spad por. Mümlera i Spad Napierały, któremu skrzydła łamały się tuż przy baldachimie; na dalszych zdjęciach widoczne były odpadające skrzydła i odwracający się w dół kadłub, a na skraju zdjęcia widoczne były łamiące się skrzydła Spada Zanozińskiego.

Kpt. Pawlikowski był podniecony niemniej od nas gdy mu wręczyłem zdjęcia. Dowódca pułku (płk. Kalkus) wysłał Pawlikowskiego natychmiast samolotem do Warszawy, i tego samego dnia jeszcze płk. Rayski zawiesił loty na wszystkich Spadach.

Nie twierdzę, że wtedy dopiero zarządzona była próba statyczna, lub że wtedy właśnie nakazano pilotom — na prośbę szefa lotnictwa — unikania akrobacji. Może było to wszystko przedtem, ale nie wiem kiedy, gdyż cały 1929/1930 okres myśliwcy latali intesywnie i akrobację kręcili, a że były spadochrony, więc wielu się uratowało dzięki nim. Wiem natomiast to co opisałem powyżej — to było w 1930 roku — i że dopiero po tym wypadku Spady zawieszono, na dobre.

Było to więc w szóstym roku urzędowania gen. Rayskiego

jako szefa lotnictwa, w sześć lat po kupnie Spadów przez gen. Zagórskiego. Czy można więc winić gen. Zagórskiego? Nie sądzę. Wypadki na Spadach zaczęły się w 1926 roku, można więc było i należało — zrobić próbę statyczną w 1926 lub 1927 roku, zawezwać na nią przedstawicieli wytwórni, której przecież wciąż jeszcze płacono raty (jak pisze gen. Rayski w swej książce, musiał płacić za kupno gen. Zagórskiego przez szereg lat), zażądać pomocy technicznej przy wykonaniu wzmocnień skrzydeł przy baldachimach Spadów — a w ostatecznym wypadku, gdyby to nie było możliwe — zawiesić Spady, zwinąć lotnictwo myśliwskie do czasu dostarczenia przez wytwórnię francuską innych samolotów lub poczekać na polskie samoloty. Czy w owych czasach sielskich-anielskich, pokoju powszechnego, nie lepiej było nawet zwinąć całe lotnictwo myśliwskie (ileż tego było? bodaj stu pilotów w ośmiu czy dziesięciu eskadrach) — zamiast pozwalać latać myśliwcom na niepewnych maszynach i ,,prosić'' ich by nie robili — a raczej unikali — akrobacji? Służba w lotnictwie miała swoje naturalne, przyrodzone hazardy — nie wolno ich było zwiększać świadomie, jeśli się znało wady materiału, takie jakie miały Spady, lub fałszywie zrozumiałą oszczędnością, jak sprawa wprowadzenia spadochronów dopiero w dwanaście lat po ich całkowitym opanowaniu technicznym i produkowaniu seryjnym, przy koszcie tysiąca złotych za sztukę. Od 1926 roku samo ministerstwo spraw wojskowych tylko — nie licząc resortów cywilnych i przemysłu — wydawało lekką ręką na remuneracje i dodatki różnego rodzaju — po prostu mówiąc wyrzucało jak jałmużnę — od 300 tysięcy do pół miliona złotych rocznie; całość sum wydanych osiągnęła w 1938 roku wedle oświadczeń w sejmie, 7 i pół miliona złotych — a przecież za te pieniądze mogło lotnictwo otrzymać w jednym roku na przykład kilka tysięcy spadochronów zagranicznych (dajmy na to w 1927 r.), w drugim roku 20 samolotów myśliwskich, w następnym roku można było sfinansować prototyp myśliwca czy bombowca, i tak dalej, naturalnie w każdej części sił zbrojnych na zmianę można było coś pożytecznego zrobić.

W konkluzji chcę stwierdzić: gdyby nie zdjęcia ppor. Ociepki wypadek Zanozińskiego i Napierały byłby sklasyfikowany jako zderzenie wskutek błędu pilotażu czy braku doświadczenia pilotów; podobnie, gdyby pilot Liberatora — Prhala — nie ocalał, a komisja w związku z tym nie zbadała steru i urządzenia do blokowania steru, wypadek byłby sklasyfikowany jako niewyjaśniony z prawdopodobieństwem błędu pilotażu; ponadto, gdyby samolot ów nie miał tak ważnych osobistości na pokładzie (V.I.P. jak mówiono, *very important persons*), orzeczenia komisji brytyjskiej nikt nie podawałby w wątpliwość i o wypadku dawno by już zapomniano.

Franciszek KALINOWSKI

Kronika kulturalna

Polscy paryżanie

„Pięćdziesiąt lat polskiej sztuki nowoczesnej" — tak może być interpretowana przez francuską krytykę, przez zwiedzających, wystawa pod nazwą „Douze peintres polonais modernes" (1). Profesor Stanisław Lorentz zastrzega się wprawdzie w swoim doskonałym wstępie:

„Przedstawiamy na tej wystawie świadectwa twórczości dwunastu polskich malarzy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Sam tytuł wystawy wskazuje, że nie chodzi tu o panoramę malarstwa polskiego tego okresu, ale o przedstawienie pewnych wydarzeń artystycznych ilustrowanych obrazami wybranych malarzy". Ale mimo że reszta wstępu poświęcona jest głównie owym dwunastu malarzom, Lorentz nie może uniknąć nakreślenia artystycznego tła pięćdziesięciolecia i nie pomija ani Młodej Polski, ani formistów, ani wczesnej abstrakcyjnej awangardy.

Wystawę polską poprzedziła w Musée d'Art Moderne zakreślona na nieporównanie większą skalę pasjonująca wystawa „Źródeł XX wieku". Niestety, wystawa ta była zorganizowana przez Conseil de l'Europe i ograniczona do krajów wchodzących w jego skład. Brakowało w niej Polski. Powiedzmy zaraz, że obecna wystawa „Dwunastu Polskich Malarzy Współczesnych", wysoce kulturalna, w niczym nie kompensuje tego braku. Jeśli wspomniałem o „Źródłach XX wieku" to dlatego, że była to pierwsza bodaj wystawa „oficjalna" na której genealogia sztuki współczesnej nie uległa zafałszowaniu. Przeciwnie, uwydatniła ona rewolucyjny charakter Secesji, pierwszego *stylu* naszych czasów, gdzie odnajdujemy już w zalążku wszystkie późniejsze wątki organiczne malarstwa i architektury; podkreśliła znaczenie symbolizmu, jego wpływ nie tylko na nadrealizm, ale, poprzez Kandinsky'ego, na cały odłam abstrakcji. Wystawa ta po raz pierwszy w Europie wprowadziła do Muzeum Guimarda, twórcę paryskiego metra, pokazała wpływ Boecklina na Chi-

---

(1) Musée National d'Art Moderne, Paryż, marzec 1961.

rico i Carra, von Stucka na Klee, Gustave Moreau na Rouaulta, pomogła zrozumieć dlaczego Odilon Redon jest dziś bardziej „aktualny" od wielu impresjonistów. W tej optyce, malarstwo polskie z pierwszego dwudziestolecia XX wieku zawiera wiele potencjalnych rewelacji: Jacek Malczewski jest często ciekawszy od Boecklina, Wyspiański jednym z najbardziej typowych w Europie przedstawicieli „Jugendstilu", a nawet Mehoffer jest mniej nudny od Hodlera, którego z dumą pokazali Szwajcarzy. Można by zaryzykować paradoksalne na pozór twierdzenie, że polskie malarstwo współczesne jest często najciekawsze wtedy kiedy odbiega od kryteriów „dobrego smaku", do których przyzwyczaiła nas estetyka ostatnich trzydziestu lat.

Niestety, „dobry smak" i „poziom europejski" są stałą, niezależną od systemów politycznych troską naszej kultury. Na pytanie „z czym się możemy pokazać w Paryżu?" automatyczną niemal odpowiedzią jest: „z tym co najbardziej paryskie". W naszym współczesnym malarstwie sprowadza się to do dwóch ewentualności: albo wcześni abstrakcjoniści (Blok), albo kapistowscy post-impresjoniści. W okresie abstrakcyjnej euforii po Październiku zdecydowano się na pierwszą możliwość: była to zorganizowana przez Juliana Przybosia w Galerii Denise René wystawa: „Polskich Prekursorów Sztuki Abstrakcyjnej". Niestety, w dziedzinie malarstwa w której tak wielką rolę gra data *copyright*'u, gdzie toczą się zażarte boje o to czy pierwszy kwadrat Malewicza jest z r. 1909 czy 1913, „prekursorzy" z lat dwudziestych i trzydziestych nie mają wielkich szans. Obecnie, sytuacja jest bardziej skomplikowana. Z jednej strony, malarstwo abstrakcyjne jest pod polityczno-teoretycznym obstrzałem, z drugiej zaś właśnie młodzi polscy malarze abstrakcyjni zyskali sobie w ciągu ostatnich kilku lat uznanie krytyki zachodniej. Skoro młodą generację słusznie reprezentują na wystawie abstrakcjoniści, równowagę zapewniają Kapiści, od lat jedyny punkt zgody między specjalistami i czynnikiem politycznym, zarazem realiści i dobrzy malarze. Rezultatem jest wystawa „na poziomie", dowód solidnej malarskiej kultury. Nie jest to bez znaczenia dzisiaj kiedy Paryż, jak Nowy Jork, jak wszystkie ośrodki współczesnego malarstwa, nagle „odkrył" malarstwo polskie. Pierwsza nagroda Lebensteina na Biennale w Paryżu, nagroda Kobzdeja na Biennale w Sao Paolo, powodzenie wystaw Dominika, Brzozowskiego, Tchórzewskiego — wszystkie te sukcesy sprawiają, że zachodni krytycy, dyrektorzy muzeów i galerii, a nawet kolekcjonerzy i wykształceni amatorzy znają nazwiska młodych polskich malarzy, umieją już dziś odróżniać ich obrazy. Ale dla wielu z nich malarstwo polskie to fenomen całkiem nowy — tak jakby zaczęto w Polsce malować dopiero po Październiku 1956 r. Wystawa „Dwunastu Polskich Malarzy" przedstawia ciągłość pewnej ściśle malarskiej tradycji, żałuję jednak, że nie jest bardziej różnorodna, śmiała i kapryśna. Wspomniałem już, że w Paryżu interesujący by był Jacek Malczewski, Wyspiański. Wolałbym, aby każdy malarz reprezento-

wany był trzema obrazami, a nie pięcioma czy ośmioma, gdyby to pozwoliło pokazać również Strzemińskiego, Wojtkiewicza, Witkacego, Chwistka, parę ocalałych rzeźb Wicińskiego, czy choćby jego rysunków, ciekawego poznańskiego Japończyka — Spychalskiego. Wystawa byłaby mniej jednolita, ale bardziej nieoczekiwana. Mniej malarsko subtelna, ale bardziej interesująca. Mniej paryska, ale bardziej polska.

Pokazano więc Paryżowi tych polskich malarzy, którzy są najbardziej z Paryżem związani. Do Polski, która już przeszła bezpośrednio od akademizmu do awangardy, wnieśli ci malarze w latach dwudziestych spóźnioną ewangelię Cézanne'a, choć bezpośrednim ich mistrzem był Bonnard. Wystawa jest pod znakiem Kapistów — Skamandrytów polskiego malarstwa. Makowski, któremu poświęcona jest pierwsza sala, należy właściwie, tak jak Marcoussis, do „École de Paris". Ale mimo jego przyjaźni z Gromairem i z Pascinem, mimo czynnego przed wojną paryskiego „Towarzystwa Przyjaciół Makowskiego", Paryż dziś o Makowskim zapomniał. Osiem jego obrazów pozwala odkryć na nowo malarza, którego z Gromairem łączy zainteresowanie formami geometrycznymi, ale który posiada własny świat czułej groteskowej baśni. Trzy obrazy Czyżewskiego nie wydają się zbyt szczęśliwie wybrane. Czemu przypisać niemal jednogłośnie negatywną reakcję paryskiej krytyki na Waliszewskiego? Jego dwie „Uczty" i „Wyspa Miłości" pozornie powinny nabrać nowej aktualności dziś, kiedy Picasso maluje na temat velasquezowskich „Meninas" czterdzieści obrazów, kiedy Francis Bacon całą wystawę poświęca malarskim komentarzom na marginesie renesansowego „Portretu Innocentego X". Niestety właśnie w zestawieniu z tymi doświadczeniami, imaginacyjny Renesans Waliszewskiego wydaje się bardzo powierzchowny. „Les Ménines" Picassa są oszałamiającą próbą przełożenia na współczesny język malarski tego o co mogło Velasquezowi chodzić, gdyby istniała w jego epoce *świadomość* problemów plastycznych. Picasso wydaje się mówić: Velasquez to ja, zanim straciłem niewinność. W tym obrazie, jednym z najbardziej tajemniczych wszystkich czasów, podkreśla Picasso prekursowskie podejście do malarskich przestrzeni; zastosowanie gry różnych perspektyw; problem obrazu i lustra, widza i malarza. Inteligencję intuicyjną przenosi w świadomość; humor potencjalny forsuje w humor czarny; z poezji odczytuje poetykę. Podobnie Bacon odszyfrowuje Velasqueza i Tycjana kluczem współczesnym: malarz staje się krytykiem malarstwa, prześwietla obraz promieniami X, bada pociągnięcie pędzlem, wydłuża, rozszerza, próbuje wszelkich deformujących obiektywów. Stosunek Waliszewskiego do Renesansu jest o wiele prostszy, naiwny; problematyki nie ma, intelektualnie obrazy te nie różnią się od winiet Berezowskiej: chodzi po prostu o nostalgiczne westchnienie „ach, żeby to żyć w tamtych czasach!", zanotowane z żywym temperamentem malarskim, w formie stylizacyjnej z lat trzydziestych. Szkoda, że zamiast tych pozornie efektownych wielkich płócien

nie wybrano bardziej tradycyjnych obrazów Waliszewskiego, w których jego subtelność malarska, jego niezwykły ,,talent'' jest bardziej widoczny. Tym bardziej, że poza najbardziej aktualnym Potworowskim, inni ,,seniorzy'' polskiego malarstwa na tej wystawie — Cybis, Eibisch i Taranczewski — tkwią w problematyce formalnej ,,czystego malarstwa'', delektacji kolorem i materią na kanwie wiecznych ,,martwych'', portretów i pejzaży. Niezmienność tego subtelnego akademizmu podkreślają daty obrazów — które poza jedną martwą Cybisa z r. 1948 są wszystkie z ostatnich dwóch lat. U Cybisa zachodzi jednak w tych ramach widoczny rozwój. Ostatnie jego krajobrazy są mniej bonnardowskie, chropowatość materii nadaje kolorowi mglisty, niemal puszysty charakter i ,,Molo w Orłowie'' jest ukłonem w stronę Turnera. Eibisch — to także dużej klasy paryskie malarstwo — subtelna forma figuratywnego taszyzmu. Potworowski, może na skutek spędzonych w Anglii lat powojennych, przyjaźni z Armitagem i Chadwickiem, utrzymuje ze swą epoką najżywszy kontakt. O ile *collage* pt. ,,Krajobraz Miejski'' wydaje mi się nieco sztucznym kompromisem między nawrotem do kubistycznej awangardy i Music'em, o tyle ,,Leżąca Dziewczyna'' i ,,Siedząca Kobieta'' łączą kapistowską pewność koloru z nową i odważną konstrukcją.

Trzy obrazy tragicznie zmarłego Andrzeja Wróblewskiego, którego dzieło jest na pewno w polskim malarstwie jedynym trwałym dorobkiem z okresu realizmu socjalistycznego. Ileż mógłby dać dzisiaj ten malarz, który nawet wówczas umiał znaleźć własny styl, własny poetycki wyraz. Uderza nas to tym bardziej, jeśli pamiętamy, że Aleksander Kobzdej, dziś słusznie oceniany jako jeden z najlepszych polskich malarzy abstrakcyjnych, malował w tym okresie obrazy takie jak ,,Podaj Cegłę''. Zresztą kontrast między ówczesną i obecną twórczością Kobzdeja jest może mniejszy niż się na pozór wydaje. Kobzdej posiada wytrawne rzemiosło malarskie i wielką łatwość mimetyzmu. Podczas gdy Wróblewski musiał się porać z kanonami realizmu socjalistycznego aby dać indywidualny wyraz pewnej wizji zarazem społecznej i osobistej, Kobzdej wchłonął styl ,,socrealizmu'' z równą łatwością, z jaką dziś włączył się w anonimową twórczość umiejętnej, eleganckiej abstrakcji uprawianej od Rejkjawiku po Johannesburg i od Tokio po Madryt. Stefan Gierowski jest spośród młodych, mimo abstrakcyjnej konwencji, bodaj najbliższy kapistów poprzez swoje wyłączne zainteresowanie zmysłową stroną malarstwa — kolorem i materią. Najciekawsi z młodych — to Lebenstein i Brzozowski. Wystawione tu płótna Brzozowskiego oglądaliśmy już na jego wystawie w Galerie Lambert: w tym bogatym ekspresjonizmie abstrakcyjnym jest i sarmacki barok, i nadrealistyczna wizja rekwizytów polskiej prowincji, są zawiłe dramatyczne spięcia. Lebenstein malował wystawione tu obrazy w Paryżu, gdzie przygotowuje wielką retrospektywną wystawę, którą urządzi mu w październiku w tymże gmachu miasto Paryż (stanowi to właśnie nagrodę za jego

pierwsze miejsce na paryskiej Biennale). Figury osiowe Lebensteina ulegają stałemu rozwojowi organicznemu, ich „symbolika” (w sensie żywej, wieloznacznej aluzji do różnych pokładów rzeczywistości) wydaje się coraz bogatsza.



Jakże słusznie postąpił Józef Czapski, organizując swoją wystawę (1) jednocześnie z wystawą „Dwunastu Malarzy”. Pozwala to wreszcie krytyce paryskiej umiejscowić dzieło Czapskiego na ogólnym tle polskiego malarstwa współczesnego, pozwala nam porównać go z jego rówieśnikami. Przyzwyczailiśmy się od lat wymieniać nazwisko Czapskiego jednym tchem po Waliszewskim i Cybisie. Czapski był nie tylko członkiem Komitetu Paryskiego, ale poniekąd jego organizatorem, a później kronikarzem. Wiemy choćby z „Oka” ile dla jego malarskiej świadomości znaczyła lekcja Cézanne'a, z jaką nostalgią odczuwa on kolorowy raj Bonnarda. Ale ze wszystkich Kapistów Czapski jest najmniej francuski, najmniej paryski.

Wyraża to w swej pięknej przedmowie do katalogu wystawy Czapskiego wielki belgijski poeta Michel de Ghelderode:

„Józef Czapski — wierzajcie mi, istnieje również przyjaźń od pierwszego wejrzenia — okazał się dla mnie prawdziwym bratem. Urodził się artystą i jeśli jest malarzem, to z najściślejszej potrzeby. Krzyczy on czerwienią, fioletem, złotem. Jego krzyki mają gwałtowność zarazem barbarzyńską i bardzo cywilizowaną: to krzyki jeźdźca, którzy przemierza na dzikim koniu bezkresne płaszczyzny. Czapski jest Polakiem i nie ma na to rady! To krew stanowi o malarstwie, a nie mózg. Maluje się tak jak się poci, jak się krwawi — z bólu czy z rozkoszy — to nie ze śliny estetycznych dialogów rodzi się to malarstwo, które porywa mnie ciałem i duszą”.

Na dawnych wystawach Czapskiego połowa obrazów zdawała się być dziełem teoretyka, malarza świadomego: były to cézannowskie drzewa, bonnardowskie martwe; w drugiej połowie natura ściągała wilka do ekspresjonistycznego, groteskowego lasu. Starałem się uwydatnić ten kontrast między tym co Czapski o malarstwie myśli, a tym jak maluje pisząc o „Oku”. Czapski wciąż powołuje się na pokorę wobec natury, jego świadoma wizja świata, jego etyka, a więc również i jego stosunek do malarstwa bliski jest pasternakowskiej wersji panteistycznego chrześcijaństwa. Ale, jak nieco brutalnie stwierdza Ghelderode, w malarstwie autentycznym liczą się źródła bólu i rozkoszy — głębokie dane psychiczne, a nie „ślina estetycznych dialogów” — opinie, przekonania, „wiara” i świadome wybory. Czyż nie jest rewelacyjny fakt, że w Czapskim odczuł „brata” Ghelderode, poeta najbardziej barokowego średniowiecza, sata-

(2) Galerie Bénézit, Bld. Haussmann.

nicznej maskarady, zarazem współczesny i anachroniczny, stojący na pograniczu mistycyzmu Ruysbroecka i antynomicznej sekty ,,Wolnych Duchów''? Ghelderode, który Czapskiego umieszcza w genealogii Bosch — Goya — Ensor — Soutine — Kokoschka?

Ostatnia wystawa Czapskiego stanowi jakby potwierdzenie tej genealogii. Oprócz małego pejzażu w urzekających szarych tonach, na którym mała czarna pani z pieskiem drepce po plaży szukając zapewne swego znajomego Monsieur Bonnard, zwycięża bezwiednie okrutna obserwacja, ekspresjonistyczna groteska. Czapskiego zapładnia wizja błyskawiczna — sala bistra widziana przez szyby, podróżni w podmiejskim pociągu, groźna, agresywna paryska concierge, która z bramy wysuwa tylko nos, piersi. kolana. Ta błyskawiczna wizja to świat widziany nowymi oczami, jakby po raz pierwszy, świat którego dziwność i groza nie zostały jeszcze oswojone. Jak przechować tę wizję, jak ją malarsko ustalić, przetransponować, przekazując widzowi wrażenie świeżości i zdziwienia — oto problem malarstwa Czapskiego. Udaje mu się to często przez zachowanie nieoczekiwanych kątów widzenia, przez koncentrację na tym co go uderzyło najżywiej, przez podporządkowanie problemów estetycznych sile wyrazu.

Czapski odszedł dziś daleko od paryskiego postimpresjonizmu swych rówieśników, ale zbliżył się, może mimowoli, do najżywszej polskiej tradycji twórczej — niepokojącej groteski, którą w literaturze reprezentują Witkacy, Schulz, Gombrowicz, Mrożek.

K. A. JELEŃSKI

Proces Lady Chatterley

Proces ten (1) mógł się odbyć tak jak się odbył, i mógł się skończyć wygraną wydawców pełnego tekstu powieści Lawrence'a, dzięki zmianie w roku 1959 prawa dotyczącego literatury ,,nieprzystojnej''.

Do roku 1959 ława przysięgłych obowiązana była dać odpowiedź na jedno tylko pytanie: czy inkryminowana książka jest nieprzystojna, czy posiada zdolność zdeprawowania i zepsucia czytelników? To wyczerpywało przewód sądowy. W razie odpo-

(1) *The Trial of Lady Chatterley*. Regina v. Penguin Books Limited. The Transcript of the Trial edited by C.H. Rolph With illustrations by Paul Hogarth and a selection of cartoons. Londyn, Penguin Books, 1961; str. 250 i 6 nl.

wiedzi twierdzącej przysięgłych, wyrok skazujący wydawców i konfiskata były nieuniknione. Zmiana z roku 1959 polega na tym, że odpowiedziawszy twierdząco na to pytanie, przysięgli stają przed następnym: czy wydanie inkryminowanej książki uzasadnione jest z punktu widzenia dobra publicznego, z punktu widzenia interesów wiedzy, literatury, sztuki, nauki lub innych przedmiotów powszechnego pożytku? To umożliwia obronie skuteczne odwołanie się do rzeczoznawców. I w samej rzeczy, proces wydawców *Kochanka Lady Chatterley* był czterodniowym popisem szczegółowej i wielostronnej ekspertyzy: przed Mr. Justice Byrne i dwunaściorgiem przysięgłych przewinęło się w Old Bailey pod koniec października ub.r. aż trzydzieści pięć osób w roli świadków obrony — pisarzy, krytyków literackich, historyków literatury, publicystów, duchownych, psychologów i socjologów. Teoretycznie biorąc, także samo pierwsze pytanie dopuszcza powołanie świadków. Ale tylko teoretycznie, i tu tkwi źródło wadliwości procesów o nieprzystojność w literaturze przed 1959 rokiem. Jakich bowiem świadków może powołać obrona, gdy przysięgli mają zadecydować we własnym sumieniu czy inkryminowany tekst jest nieprzystojny czy nie? Sklepikarz posadzony na ławie przysięgłych gotów jest ostatecznie przyznać się do swej niekompetencji i przyjąć cudzą ocenę za własną, jeśli w procesie o morderstwo lekarz ma orzec czy zabójca jest człowiekiem przy zdrowych zmysłach i czy posiada zdolność odróżniania dobra od zła. Nieprzystojność w literaturze jednak, problem czy dana książka posiada zdolność zdeprawowania i zepsucia czytelników, wchodzą niejako *ex definitione* w zakres tego co każdy pełnoprawny obywatel, niezależnie od swego wykształcenia i poziomu umysłowego, powinien wiedzieć sam i bez niczyjej pomocy. Traci wówczas znaczenie fakt czy powołany na świadka przez obronę luminarz społeczeństwa, posiadacz pięciu tytułów naukowych i autor tuzina publikacji, powie: mnie ta książka pozostawia moralnie czystym; jego sąd miałby wagę, gdyby to on siedział na ławie przysięgłych. Jest to sąd wyłącznie osobisty, wart tyle co głos oddany w wyborach do parlamentu. W ostatecznej instancji, w ramach procesu i samych jego założeń, ważne jest zatem tylko to że wysłuchawszy spokojnie luminarza, sklepikarz wzruszy ramionami i powie sobie w duchu: tym lepiej dla pana, bo mnie ta książka nie pozostawia moralnie czystym. Gdyż przy tak pojętej procedurze jest on więcej niż przysięgłym; jest królikiem doświadczalnym, na jego spontanicznej reakcji wypróbowuje się działanie inkryminowanego tekstu. Ława przysięgłych staje się czymś w rodzaju loterii, i od wylosowania jej członków zależy wyrok. Co prawda, logicznym i jedynie bezspornym ukoronowaniem takiej procedury byłby jakikolwiek akt niemoralny przysięgłego wobec którejś z przysięgłych *hic et nunc*, natychmiast po zapoznaniu się z nieprzystojną książką i pod jej widocznym wpływem (w przerwie rozprawy lub w czasie narady w zamkniętym pokoju), ale prawo nie domaga się tak daleko idących dowodów i sprawdzianów. Powstaje stąd absurd że w inte-

resie należytego wymiaru sprawiedliwości nasz sklepikarz wystawia się sam na zgubne działanie inkryminowanego tekstu, poddaje się sam eksperymentowi i donosi o jego wyniku w głosowaniu przysięgłych, lecz nigdy sam nie pada jego ofiarą. Hipotetyczną ofiarą jest zawsze hipotetyczny obywatel przeciętny, zrządzeniem losowania nieobecny na sali sądowej.

Wprowadzając drugie pytanie, zmienia się sytuację. Powołani przez obronę rzeczoznawcy nie muszą się ograniczać do zapewnień bez pokrycia, na słowo honoru, skoro nieprzystojny i szokujący na pierwszy rzut oka tekst ma szansę nobilitacji ,,z punktu widzenia interesów literatury''. Sklepikarz z ławy przysięgłych może nawet trwać przy swoim pierwszym wrażeniu i pamiętać niezdrowe rumieńce jakie wywoływała na jego twarzy lektura, a mimo to bez żadnej dla siebie ujmy przyjąć za dobrą monetę komentarz krytyka literackiego, psychologa czy socjologa, gdy mowa o uzasadnieniu zbyt śmiałych szarż pióra pomawianego o obrazę moralności. Jakkolwiek nie chodzi tu o ekspertyzę laboratoryjno-pomiarową, gdzie profan musi się bez słowa skłonić przed orzeczeniem specjalisty, istnieją zrozumiałe i przekonywujące sposoby wytyczenia dostatecznie wyraźnej linii między ,,świntuszeniem dla samego świntuszenia'' a literaturą na pozór pornograficzną. Pisarz na serio, którego pasjonują lub bawią sprawy płci, przestaje być (był nim dla sądów angielskich dotąd) dalekim krewnym londyńskiego ,,ekshibicjonisty'': maniaka seksualnego, który znajduje przyjemność w nagłym odsłanianiu przed samotnymi kobietami organu męskiego na opustoszałych po północy stacjach kolejki podziemnej. Mellors, w słynnej scenie hymnu do *phallusa* i w innych, robi ze swego lepszy użytek; a Lawrence, w *Kochanku Lady Chatterley,* robi lepszy użytek z Mellorsa.

Dotyczy to zresztą nie tylko poczciwego i lekko zarumienionego sklepikarza na ławie przysięgłych, lecz także mędrca w peruce drzemiącego z wagą Temidy w ręce za stołem sędziowskim i ,,uczonego gentlemana'' perorującego z palcem wyciągniętym przed siebie w geście oskarżenia. Mr. Justice Byrne zachował oczywiście od pierwszej do ostatniej chwili wzorową bezstronność, zainteresowany wyłącznie literą prawa, tak obojętny i niewzruszony jakby przedmiotem rozprawy było zaczepianie w stanie nietrzeźwym przechodniów na Picadilly Circus lub zamordowanie i zakopanie w ogródku paru osób na Rillington Place. A jednak dwukrotnie zdradził się z tym co myśli. Było to wówczas, gdy jeden ze świadków nazwał powieść Lawrence'a utworem purytańskim, a inny (biskup!) uznał że w *Kochanku Lady Chatterley* stosunki seksualne przedstawione są jako coś ,,w zasadzie sakralnego''. Mr. Justice Byrne kazał sobie powtórzyć te twierdzenia, najwyraźniej nie dowierzając własnym uszom. Można wątpić czy czytał on inkryminowany tekst z takim samym wysiłkiem wniknięcia głębiej w intencje autora, z jakim amerykański sędzia John M. Woolsey przestudiował *Ulyssesa* Joyce'a. I wolno ufać że dzięki świadkom obrony zrozumiał, iż w litera-

turze „czteroliterowe" słowa, opisy aktu seksualnego, nie należą do tej samej kategorii jednoznacznych dowodów co odciski palców w procesie o włamanie.

Prokurator poczuł się tak zachwiany w ogniu ekspertyzy, że drugiego już dnia rozprawy uznał za konieczne zmienić taktykę (na znacznie gorszą, ale jak potem zobaczymy — bardzo typową), przyznając się w praktyce do porażki. Główny ciężar jego wstępnego przemówienia spoczywał na czterech filarach: książka zaleca zmysłowość jako cnotę, ośmiela nieokrzesanie i wulgarność myśli i języka, jest niewiele więcej niż „zepsutym pławieniem się w płci"; w trzynastu niezmiernie szczegółowych opisach stosunku seksualnego, które nie pozostawiają ani odrobiny miejsca wyobraźni, jedynym zmiennym czynnikiem jest czas i *locus in quo* — reszta powtarza się jak przez kalkę; dla tych trzynastu epizodów Lawrence napisał swą książkę, „wywatowując" ją drugorzędnymi tematami i akcesoriami do rozmiarów normalnej powieści: „czteroliterowe" słowa („bez wątpienia, panowie przysięgli, usłyszycie od obrony że są to stare, dobre słowa anglosaskie, i bez wątpienia tak jest w istocie") pojawiają się z częstotliwością, obrażającą nasze uszy i nasz naturalny zmysł przyzwoitości — samo tylko *fuck* trzydzieści razy.

Rzeczoznawcy, jak z tego obrazu powieści widać, nie mieli zbyt trudnego zadania. Toteż często w ich wypowiedziach pojawiał się ton przystępnego pouczenia, jakby nie dostrzegali w ogóle złej wiary oskarżyciela, jakby w grę wchodziło jedynie naprostowanie fałszywych sądów kogoś nienawykłego do obcowania z literaturą, otwarcie oczu ślepemu. Jeden wskazał na stałe *crescendo* i różnorodność trzynastu epizodów „nieprzystojnych", tłumacząc cierpliwie że każdy wnosi coś nowego do historii przebudzenia Connie Chatterley. Inny zauważył że żaden pisarz przy zdrowych zmysłach i o ustalonej już wysokiej reputacji nie napisałby 270 stronic do których nie przywiązuje wagi, aby „wywatować" nimi 30 stronic, do których przywiązuje wagę. Jeszcze inny powołał się na to co sam Lawrence napisał o „czteroliterowych" słowach w szkicu *A propos of Lady Chatterley's Lover:* że stanowią one nieodłączną część jego zamiaru zmuszenia ludzi do „pełnego, uczciwego i jasnego myślenia o sprawach płci". Rebecca West przypomniała, w związku z zarzutem „wywatowania", że cała powieść jest alegorią, w której paraliż Sir Clifforda „od pasa w dół" symbolizuje impotencję pewnego typu kultury. Miarą impotencji oskarżenia jest fakt, że dla podważenia literackiej wartości książki prokurator przygwoździł ni stąd ni zowąd błąd w zacytowanym przez Lawrence'a wersecie z 24 Psalmu; i sam przytoczył ten werset również błędnie.

Drugiego dnia rozprawy zatem prokurator zmienił taktykę. „Zmysłowość jako cnota" i „rozwiązłość seksualna" ustąpiły miejsca cudzołóstwu. Wydawcy książki i jej autor ustąpili na ławie oskarżonych miejsca Lady Chatterley we własnej osobie. Odtąd „uczony gentleman" reprezentujący królową zadawał każdemu świadkowi pytanie na temat stosunku do instytucji małżeń-

stwa w powieści. Gdy Joan Bennett, wykładowczyni literatury angielskiej na uniwersytecie w Cambridge, zaczęła się zastanawiać czym jest naprawdę małżeństwo, sędzia przerwał jej oschle: ,,Prawowitym węzłem małżeńskim, proszę pani''. Biskup z Woolwich nie stracił kontenansu. ,,Oczywiście — powiedział, — powieść Lawrence'a nie jest traktatem o małżeństwie. Nie pozostawia jednak wątpliwości, że jej autor nie ma nic przeciwko związkowi małżeńskiemu. Na odwrót, zależy mu na ustanowieniu trwałego, autentycznego, duchowego stosunku między dwiema osobami... Mamy przed sobą portret kobiety żyjącej w niemoralnym związku o tyle, o ile cudzołóstwo jest takim związkiem. Nie sądzę by chodziło tu o pochwałę niemoralności''. Jeśli celem prokuratora było dowieść że Connie zdradzała swego prawowitego męża, to zmarnował trochę za dużo czasu na udowodnienie rzeczy przez nikogo niekwestionowanej. Sęk w tym, że Sir Clifford był jej mężem tylko wobec prawa.

Przesunięcie sprawy na tor cudzołóstwa było ostatnią, desperacką kartą, rzuconą na stół przez oskarżenie. Desperacką i lekkomyślną. Co prawda, gdyby obrona wywołała cienie Emmy Bovary i Anny Kareniny, prokurator (przy swoim sposobie traktowania literatury) mógłby odpowiedzieć że obie, w przeciwieństwie do Lady Chatterley, źle skończyły. Mógłby jednak także posunąć się o krok dalej, do logicznej konkluzji, twierdząc że Flaubert i Tołstoj napisali swoje powieści by bronić instytucji małżeństwa? W powietrzu więc — czego zapewne nie przewidział prokurator — zawisła inna implikacja, wystawiająca oskarżenie na śmieszność: gdyby Connie i Mellors byli małżeństwem, ich ,,wyuzdanie seksualne'', chronione metryką ślubu na piśmie, nie deprawowałoby i nie psuło czytelników. Nawet dureń wie że *dopiero wtedy* właśnie książka byłaby czystą pornografią — jedną z tych ,,lekcji poglądowych małżeństwa doskonałego'', jakie wyciąga na żądanie spod lady każdy pokątny księgarz na Charing Cross Road.

Ale położenie całego nacisku oskarżenia na cudzołóstwo było w swej typowości nieuniknione i w pewnym sensie zbawienne. Uprzytomniło bowiem raz jeszcze — i tym razem z wyjątkową jasnością, — że prawie wszystkie procesy o ,,obrazę moralności'' w literaturze sprowadzają się w ostatecznej instancji, po zdarciu gorszej czy lepszej maski obłudy, do alarmu wszczętego przez ,,podpory społeczeństwa'' na widok ,,zagrożenia rodziny''. Do ludzi umiejących czytać należy sąd kiedy rodzina Chatterley weszła w stan prawdziwego zagrożenia: nie przeoczą sceny w której Sir Clifford, myśląc z niepokojem o pozostawieniu Wragby bez dziedzica, daje Connie placet na dziecko z kimś innym byle tylko zachowała należytą dyskrecję i do tegoż samego zobowiązała ewentualnego partnera. Stróżom moralności takie rozwiązanie wyda się zawsze lepsze od ,,rozbicia rodziny''.

Proces posiadał dodatkowy jeszcze pożytek. Wprowadził precedens, którego oficjalnie od początku do końca przewodu sądowego nie uznawano, choć w praktyce musiał być okrężnie stosowany przez świadków obrony i co za tym idzie — przez przysięgłych. Rzecz w tym że jakkolwiek *intencje* autora inkryminowanego tekstu nie mają dla prawa żadnego znaczenia i liczy się tylko sam tekst w takiej postaci w jakiej go wydrukowano, trudno ich na każdym kroku nie sugerować mówiąc o książce w szerszym kontekście ,,interesów literatury''. Żaden rzetelny proces o ,,nieprzystojność'' w literaturze nie może się obyć bez próby wniknięcia w intencje autora. Toteż w Old Bailey powtarzano wciąż że nie one są przedmiotem rozprawy, wydeptując równocześnie cichaczem wszystkie wiodące ku nim ścieżki. Zapytany co sądzi o zaliczeniu Lawrence'a do wielkich angielskich pisarzy purytańskich, E. M. Forster odpowiedział: ,,Myślę że ten pogląd jest ścisły, mimo że wielu ludziom wyda się paradoksalny. Ale kiedy myślałem o tej sprawie przedtem, rozważałem jego związek z Bunyan'em. Byli obaj kaznodziejami. Wierzyli głęboko w to co głosili. Powiedziałbym, jeśli mogę mówić o poprzednikach, o wielkich nazwiskach przeszłości, o Bunyanie z jednej strony a Blake'u z drugiej, że Lawrence posiadał też tę namiętną ocenę świata i tego czym świat być powinien a nie jest''. Obrońca: ,,Oparte to jest nie tylko na tym co Lawrence napisał, ale i na tym co pan wie na podstawie znajomości z nim?''. Forster: ,,Tak. Hm...''. Obrońca: ,,Dziękuję panu bardzo''. Oskarżyciel: ,,Nie mam pytań''.

To zamyka sprawę i zamyka ją bardzo dobrze. Gdyż w chwalebnym zapale ocalenia powieści Lawrence'a rzeczoznawcy powołani przez obronę przesadzili na ogół jej wartość. Jest to powieść słaba, miejscami nawet zła i śmieszna, ale jej wady i jej mimowolny komizm (nie tak, być może, jaskrawy dla czytelnika współczesnego autorowi) wynikają z apostolskiej egzaltacji pisarza-moralisty przekonanego o słuszności swego kazania do zbłąkanych i oszukanych.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nagrody i Konkursy

NOWA NAGRODA LITERACKA ZA ESSAY

P. Izabella NEYMAN w 9-tą rocznicę śmierci męża swego śp. Stanisława NEYMANA ufundowała *Nagrodę Literacką w wysokości* 1.000 NF *za najlepszy essay* i oddała ją do dyspozycji redakcji ,,Kultury''.

Redakcja „Kultury" postanowiła tę pierwszą nagrodę przyznać Jerzemu Stempowskiemu (Pawłowi Hostowcowi), którego wybór essay'ów (zarówno przedwojennych jak i powojennych) pt. „Chimera jako zwierzę pociągowe" ukaże się w bieżącym roku w ramach „Biblioteki KULTURY".



ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU LITERACKIEGO

W maju 1959 roku Redakcja „Kultury" ogłosiła Konkurs Literacki na utwór prozą, związany tematycznie z działalnością organów Milicji Obywatelskiej, służby Bezpieczeństwa oraz jej funkcjonariuszy. Konkurs ten był reakcją na analogiczny konkurs ogłoszony przez warszawskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z okazji XV-letniej rocznicy powstania U.B. i M.O.

Na Konkurs wpłynęło ogółem 37 prac. Po zapoznaniu się z nimi redakcja „Kultury" zdecydowała nie przyznawać I-szej nagrody, natomiast przyznać tylko

Nagrodę II-ą — pracy zaopatrzonej godłem „Grzegorz".

Nie możemy chwilowo podać nazwiska autora nagrodzonej pracy, gdyż przebywa on w Polsce.

Opóźnienie w ogłoszeniu rezultatu Konkursu nastąpiło ze względów technicznych, ponadto czekaliśmy na ogłoszenie rezultatów Konkursu Min. Spr. Wewn., co do tej pory nie nastąpiło.

Prace nienagrodzone są do odebrania w Redakcji „Kultury".



KONKURS

Komitet Wykonawczy Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego w 2-lecie Jego Zgonu ogłasza konkurs na pracę pt.

JÓZEF PIŁSUDSKI W ŻYCIU POLSKI

Może to być szkic historyczny, literacki lub wspomnienie przekazane w tradycji domu rodzinnego, szkoły czy organizacji społecznej w rozmiarach od 10 — 30 stron maszynopisu (format papieru znormalizowanego, podwójny odstęp).

W konkursie mogą wziąć udział osoby obojga płci, które w dniu 12 maja 1960 r. nie przekroczyły 30 roku życia.

Termin nadsyłania prac upływa w dniu 15 *sierpnia* 1961 (miarodajna jest data stempla pocztowego) pod adresem: *Komitet Wykonawczy Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego*, 101, *St. James Drive, London S.W.* 17.

Pracę należy zaopatrzyć w wybrane godło. Do pracy powinna być dołączona zaklejona koperta, opatrzona godłem a w niej kartka zawierająca imię, nazwisko, adres, datę urodzenia i dane dotyczące wykształcenia autora.

Oceną prac zajmie się sąd konkursowy w składzie: mgr. Ludwik Bojczuk, Ryszard Kiersnowski, prof. dr Tytus Komarnicki, dr Zygmunt Nowakowski, płk. Tadeusz Schaetzel.

Dla autorów wyróżnionych prac przeznaczone są 3 nagrody: I — £ 25.00, II — £ 10.0.0, II — £ 5.0.0. Nagrodzone prace stają się własnością Instytutu im. Józefa Piłsudskiego, który może je ogłosić bez dodatkowego honorarium dla autorów.

Wynik konkursu zostanie podany do publicznej wiadomości w dniu 11 listopada 1961 roku.

NAGRODA TEATRALNA

Jury nagrody teatralnej za najlepsze dekoracje w okresie 1955-1960, w wysokości £ 75, ufundowanej przez Obywatelski Komitet Pomocy Uchodźcom przyznało jednogłośnie w dniu 24.II.1961 r. nagrodę Tadeuszowi Orłowiczowi za całokształt jego pracy dla teatru polskiego w okresie 1955-1960, a w szczególności za wysoki poziom oprawy plastycznej sztuk: ,,Cmentarze'' Hłaski, ,,Policja'' Mrożka, ,,Kowal, pieniądze i gwiazdy'' Szaniawskiego, ,,Pan Twardowski'' M. Lisiewicza, oraz za oprawę dekoracyjną w Teatrze Hemara.

Jury uznało że na szczególne wyróżnienie zasługują prace dekoratorskie dla teatru Haliny Żeleńskiej i Jana Smosarskiego.

Ponad to zostały przypomniane w toku dyskusji prace dla teatru emigracyjnego następujących plastyków: Stanisława Biernackiego, Andrzeja Bogdanowicza, Feliksa Fabiana, Jerzego Faczyńskiego, Bohdana Kozerskiego, Stanisława Mikuły, Jana Pieńkowskiego i Tadeusza Terleckiego.

Wręczenie nagrody Tadeuszowi Orłowiczowi odbyło się w czasie ostatniego przedstawienia sztuki Mrożka w Ognisku Polskim w Londynie, w poniedziałek, dnia 6 marca 1961.



Nagrodę Literacką ,,Kultury'' za rok 1960 zostanie ogłoszona w następnym numerze ,,Kultury''.

OBRONA WYBRZEŻA

Zebrawszy w Polsce materiały poszerzające tematykę ,,Września Żagwiącego'', stwierdziłem, że wielu — obrońców Wybrzeża jest na emigracji.

Ppłkownicy Pruszkowski i Szpunar, oficerowie z najbliższego otoczenia śp. płk. Dąbka: mjr. dypl. Szerwiński, kpt. dypl. Tym, d-ca kosynierów por. Kąkol oraz por. Marian Bohusz Szyszko (stopnia z 1939) proszeni są o skomunikowanie się.

Melchior Wańkowicz, Huntington Hartford Foundation, 2000 Rustic Canyon Road, Pacific, Palisades, California.

Książki

Ślepi bez lasek

Pani Zofia Chądzyńska jest autorką mającą szczęście do wydawców, bo pierwsza jej powieść (1) trafiła od razu do czytelników. Należy do nielicznych pisarzy emigracyjnych, których książki mogły ukazać się w Polsce. Powieść jej, w nakładzie 5.500 egz., wyszła w 1959 w Warszawie u ,,Czytelnika'' i w rok później ukazała się w tłumaczeniu francuskim w Paryżu. Powodzenie ,,Ślepych bez lasek'' u wydawców jest całkowicie zasłużone, rzadko bowiem zdarza się, aby debiut literacki był równie dobrze przemyślany i starannie wykończony.

Powieść p. Chądzyńskiej posiada kilka różnych, być może nawet sprzecznych aspektów, które zazwyczaj ukazują się dopiero po pewnym czasie, gdy stronice powieści zaczyna pokrywać patyna. Notatka na okładce nazywa ją ,,powieścią psychologiczną''. Młoda kobieta opowiada w niej dzieje swego nieszczęśliwego dzieciństwa, spędzonego w domu o atmosferze tak ciężkiej jak w ,,Jane Eyre'' lub w ,,Wuthering Heigts''. Źródłem jej jest stała obecność w domu niczym na pozór nie zatrudnionego ojca opowiadającej, histeryka i psychopaty, dręczącego żonę i dzieci na przemian wybuchami złego humoru i stanami depresji. Życie młodziutkiej pensjonarki w cieniu ojca i tyrana oraz wahania się jej uczuć między miłością, nienawiścią, wstydem, rozpaczą i rezygnacją, opisane z niezwykłą przenikliwością lecz także ze zmysłem porządku i umiaru, stanowią podwalinę, na której ustawione są epizody opowiadania. Młoda dziewczyna broni się długo; chwilami, widząc słabość swego tyrana, usiłuje wspiąć się do sytuacji, w której — jak 12-letnia córka Don Juana z Kołomyi w powieści Sacher-Masocha — mogłaby powiedzieć ojcu: ,,Nie bój się, jestem z tobą''; wreszcie rezygnuje i zamyka się w roli ofiary.

(1) Zofia Chądzyńska. *Ślepi bez lasek*. Czytelnik 1959. Str. 208.

„I ponurość, i bieda, i dzieciństwo bez śmiechu, i strach. Myśląc o tym stawałam się „nią", przed lustrem ustawiałam się na greckich koturnach... chciałam być gorzką bohaterką powieści... Tylko w nieszczęściach były tajemnicze możliwości, tylko o nich będzie można, będzie warto kiedyś mówić, zrozumieć wszystko do głębi, o nich pisać (...jedyne wyzwolenie jest w sztuce...), przerobić to wszystko w sobie i w ten sposób okiełznać życie, w ten sposób je przeżyć".

W słowach tych słyszymy znany ton — życie ma sens tylko jako cierpienie i pokuta — echo sławnych powieści naszych czasów. Gdyby w tym streszczał się sens „Ślepych bez lasek", byłaby to świetnie wprawdzie napisana, lecz tylko jedna z modnych powieści. Powieść p. Chądzyńskiej na tym się jednak nie kończy; posiada, jak mówiliśmy, kilka różnych aspektów.

Od pierwszych już stronic zwraca uwagę osobliwa kaligrafia powieści, lekkość jej faktury, delikatność ręki kobiecej. W czasach Poussina chwalono jego *légèreté du pinceau;* podobnego terminu można by użyć mówiąc o „Ślepych bez lasek". Ich smutna historia pozbawiona jest wszelkiego ciężaru. Rozbieżność między naturą tematu a jego opisem budzi przypuszczenie, że poza „wątkiem psychologicznym" powieści autorka ma jeszcze coś innego do zakomunikowania.

Rzecz w tym, że osoba opowiadająca dzieje swego nieszczęśliwego dzieciństwa nie jest już więcej dziewczynką płaczącą z bólu i wstydu na widok histerycznych wybryków taty. Z lęku i bólu wyrosła jak z swej plisowanej spódniczki pensjonarki. Jest z nich całkowicie wyzwolona i mówi o nich swobodnie, obiektywnie, z przewagą osoby znającej na wylot swój przedmiot. Stąd jej wirtuozeria w opisach histerii lub stanów lękowych u dzieci. Oto np. opis bezsenności depresywnej:

„Kiedy właściwie sypiał? Przez całe dzieciństwo, budząc się o jakiejkolwiek godzinie, widziałam jasną ekierkę światła wzdłuż ich drzwi. Co chwila rozlegał się szelest przecinanych kartek. Gdy jako chorą przenoszono mnie z łóżkiem do ich pokoju, było to jak daleka podróż; całą noc żółtawe światło opływało sufit i dziwnie męskie odgłosy dochodziły od strony jego łóżka: pokasływanie, pociąganie nosem, przewracanie gazet, chrapanie. Na nocnym stoliku stale leżał kościany nóż do przecinania kartek, pod nim stosy książek, gazet, miesięczników. Jakieś dziwne nazwiska, „Philosophie und Leben", jakieś „Manifesty", czasem coś o fizyce, czasem pstrokate tomiki „Série Noire"... Jak każdy cierpiący na bezsenność nerwowiec, wiecznie niedospany i wyczerpany, zasypiał często na krótkie momenty, w miejscach najmniej do tego odpowiednich. Jednym z takich miejsc była łazienka...".

Jak wiadomo, do robienia scen histerycy wybierają zazwyczaj porę obiadową. Oto jak wygląda taki obiad:

„Oto my. Siedzimy przy stole. Za oknem jest zmierzch, jest zima, jest Polska. Patrzę w talerz rosołu, w którym odbija się tabaczkowy abażur lampy. Jest brudno, bezśnieżnie, sennie. Prócz mamy każde z nas ma po

sto lat, mama jak zawsze jest najmłodsza, mówi głosem jasnym, czystym, nie uznającym problemów. Ma ich zbyt wiele i jako jedyną broń — swój charakter dzielnej, stanowczej dziewczynki. Nie patrzy na nas, na nasze twarze zamknięte, złe, na jego maskę, która nie wróży nic dobrego.

„Za chwilę się zacznie — myślę — i znów na pewno o mnie". Zaczyna się cicho i pod nosem: że nie zniesie dłużej szkoły, w której jestem.

— Moja córka nie będzie latała do komunii co niedzielę, dosyć tego. Nie mam zamiaru wychowywać zakonnicy.

— Nie będziemy rozstrzygać tego dzisiaj w połowie obiadu. Proszę cię, daj spokój tej rozmowie.

— Nie dam spokoju. Mam prawo mówić to, na co mam ochotę i kiedy mam ochotę. — To zdanie już jest powiedziane przy akompaniamencie uderzenia ręką w stół, i od razu zaczynam czuć walenie serca. — Nie dam spokoju i będę mówił tyle, ile będę chciał. Zrozumiane?

Patrzę bez przerwy w zupę. Gęstnieje i cała się błyszczy... Gardło ściska mi się coraz bardziej... Rozpaczliwie usiłuję przełknąć zupę... Jeżeli przełknę, będę uratowana. Jeżeli przełknę. Ale nie mogę, nie mogę, nie mogę...

I nagle jest za późno. Krzesło odepchnięte gwałtownie przewraca się z hukiem, zrywam się od stołu i w sekundę później przekręcam jedyny funkcjonujący w naszym mieszkaniu klucz: mogą teraz zdobywać moją twierdzę!. Nigdy stąd nie wyjdę! Nigdy!

Taka stronica wymaga ogromnego poczucia dystansu. W jej swobodzie wewnętrznej skrywa się jak gdyby pieśń zwycięstwa nad koszmarami nieszczęśliwego dzieciństwa.

Czytelnicy pamiętający dawną Warszawą spostrzegą, że te niespokojne obiady spożywane są w środowisku lewicowej inteligencji warszawskiej. Kilku lekkimi dotknięciami pędzla autorka umieszcza akcję powieści w ostatniej fazie dwudziestolecia, między Koszykową i Alejami Jerozolimskimi, w dawnej twierdzy pozytywizmu i radykalnej inteligencji stolicy. Są to jednak zaledwie naszkicowane ramy kompozycji.

Najciekawszy jednak aspekt „Ślepych bez lasek" odsłania się tam, gdzie słyszymy apel autorki do czytelników i stajemy się wspólnikami jej przedsięwzięcia. Przyjrzyjmy się założeniu powieści:

„*Parla basso.* Mów cicho. Nie trzeba budzić śpiących i zmęczonych drogą. Pod pociemniałymi powiekami niechaj odpoczną oczy, z których uleciał blask.

Dlaczego nie słucham tej prośby? Jakim prawem zakłócam tak upragniony odpoczynek? Co mnie do tego zmusza?...

Chcę, by pozostał na świecie jakikolwiek ślad po tragicznej obecności człowieka, który nikogo nie zrozumiał, nikomu nie pozwolił się zrozumieć, nic nie zdziałał, nigdzie nie doszedł.

Był ateistą. Nie wierzył w życie pozagrobowe. Nie wierzył nawet w ludzką pamięć. Nie wierzył w nic. I któż właściwie będzie o nim pamiętał? Nie zdziałał nic, nic nie napisał, niczego nie odkrył, nikomu nie pomógł, nikogo nie uszczęśliwił, a wielu zawiódł...

Na próżno badam to saldo ujemne. Na próżno szukam w przestrzeni miejsca, gdzie złożona jest ta suma cierpienia. Nie ma jej. Nie przydała się na nic, nigdy, nikomu. Gdyby zamiast nie jeść, nie spać, chudnąć, mógł

był żyć inaczej, spokojniej, szczęśliwiej, rezultat byłby zapewne ten sam: żaden...

W jakiej mierze dodam sensu temu zakończonemu życiu dając mu obraz literacki? W żadnym. Ale pragniemy pamięci ludzkiej, tak jak pragniemy sławy. Tę pamięć chcę mu dać dziś nie jako zadośćuczynienie: jak hommage dla straconego cierpienia...

Autorka stawia sobie zadanie niewykonalne. Jak bowiem nadać sens egzystencji, która w jej własnym pojęciu sensu nie miała, która jest już zamknięta, miniona, i w której nic już zmienić się nie da? Jak ocalić ją od niepamięci będącej jej słusznym udziałem? Autorka wierzy jednak, że każdy kto cierpiał ma prawo do pamięci, i oczekuje od czytelników uznania tego prawa; przekazuje im pamięć tej złudnej egzystencji, aby nieśli ją dalej. Niewiele powieści daje czytelnikom możność udziału w tak fantastycznym przedsięwzięciu.

Paweł HOSTOWIEC

Nowy krzyk z Polski

Przychodzą z Polski książki, które mają siłę eksplozji. Oślepiają nas, wstrząsają nami a odgłos ich toczy się długo. Tak podziałały na mnie opowiadania Hłaski. Minęło sporo czasu, Hłasko umilkł a jednak ten wybuch pisarski miał skutki nieprzemijające. Odsłonił nam nieznany obraz Polski. Stanęła przed nami rozpacz, jakiej nie przeczuwaliśmy, uderzyła w nas drapieżność, nienawiść i bezradność ściskająca za gardło. Książki jego wyszły, jakby powiedział Witkacy, spod samych bebechów, literatura przez nie wyrzuciła z siebie tzw. stalinizm. Kraj zwymiotował.

Być może jest to sąd odmienny od opinii w Polsce ale z odległości wydawało się, że to nastąpiła eksplozja i z utajonego gniewu wybuchł protest nie do powstrzymania.

Przeczytałem teraz inną książkę, która zrobiła na mnie również wrażenie niepowstrzymanego wybuchu. Mam na myśli „Przerwany egzamin" Tadeusza Różewicza. Nie można porównywać go z Hłaską. Różewicz, utalentowany poeta, autor „cichych, ciemnych i chudych wierszy", jak określa je Andrzej Kijowski, krytyk o niezwykłej w kraju jasności myślenia i wyrazu, Różewicz który długie lata służył wiernie socrealizmowi, jest w istocie egotystą, pisze tylko o sobie. Świat — to on, jego osobowość — to wszystko. Nie ma w tej książce ani jednego

realistycznego opisu, ani jednej próby uchwycenia zjawisk typowych. Różewicz nie ucieka się nawet do deformacji i przejaskrawień rzeczywistości, do których uprawnia go sztuka. Deformuje i przejaskrawia tylko siebie.

A jednak spoza tego egotyzmu wychyla się konkretna rzeczywistość, tak jak widać ją poprzez pan-destrukcję Jean Geneta i pan-nicestwo Samuela Becketta. Jest nią rzeczywistość ostatnich lat nie tylko Polski lecz całego świata. Rzeczywistość kilku tysięcy ostatnich dni i kilku tysięcy ostatnich nocy współczesnego człowieka. Rzeczywistość niezliczonych tysięcy śmierci, rzeczywistość powszechnego rozczarowania powszechnie oszukanych. Rzeczywistość ucisku i trudności bytowania. Rzeczywistość obrzydzenia do samego siebie. Rzeczywistość beznadziejności.

U Różewicza zaczyna się ten proces niwelacyjny od poczucia osamotnienia. Nic z tego co stało się na świecie, nie jest tajemnicą dla nikogo, wszyscy wiedzą o wszystkim i nic z tego nie wynika.. Nie chodzi o pomoc, chodzi o współuczestnictwo, o współświadomość. A więc może nie wiedzą? Albo nie chcą wiedzieć.

Ale wiedzą czy nie wiedzą — cóż pomniejszy samotność doświadczonych? Dla nich spalone miasta nie przestają płonąć, zamęczeni wciąż krzyczą a zabici wciąż giną. Straszna wojna toczy się dalej i nie skończy się nigdy. Nie jest to tortura wspomnień, jest to samotność doświadczenia. Nikt nie może im współczuć, bo cierpienie ich jest nie do podziału.

Różewicz nie we wszystkich nowelach dosięga takiego patosu. Ale są w książce dwa opowiadania, ,,Nowa szkoła filozoficzna'' i tytułowy ,,Przerwany egzamin'', w których dociera do samej istoty swego odczuwania. Oba są pisane według programu egzystencjalizmu Sartre'a — i pisane są znakomicie. Oto kilka słów spowiedzi wyjętych z bolesnej, głęboko ironicznej ,,Nowej szkoły filozoficznej'':

,,Noc coraz głębsza. Na niebie chmury i czarne, wydłużone topole. Słychać szum. Okna wygasają. Ludzie kładą się spać. Nie chcę spać, boję się snu. Człowiek powinien teraz bez przerwy żyć, siedzieć z otwartymi oczami i myśleć. Jak długo można zasypiać i budzić się bez nadziei. Ja żyję i zamierzam jeszcze żyć jakiś czas, ale już mnie nie ma. Okropne uczucie. Wolałbym w tej chwili, żeby ktoś pluł na mnie, żeby jacyś ludzie deptali mnie i obrzucali ordynarnymi wyzwiskami; czułbym że żyję. Moje istnienie muszą potwierdzać inni''.

Bolesne słowa i jakże bardzo z naszej epoki. Żyję ale już mnie nie ma. Śmierć za życia, to jedyny stan tych, którzy przetrwali Apokalipsę. Nie są to ciała astralne ani dusze czyśćcowe. Cierpienie nie zbawia ich, zbawienie jest nieosiągalne. Wydaje się nawet, że nie pragną zbawienia, nie zależy im na tym. Chodzi o zgruntowanie dna, o dotarcie do granicy zniszczenia ludzkiego.

W ,,Przerwanym egzaminie'', bardziej widziadlanym, Kafkowskim opowiadaniu, Różewicz pisze o tym samym:

„Umarłem kilka razy i warto o tym opowiedzieć jeszcze żyjącym. Człowiek umarły jest bardzo wrażliwy. Na głód, na ciepło i zimno, na słowa i uśmiechy. Jego zwłoki są dla niego najważniejsze w całym wszechświecie. Ja to jeszcze kiedyś wyjaśnię dokładniej. Znajdę wolną chwilę. Jak tylko umarły nie otrzyma pokarmu, który mu smakuje, zaczyna się wściekać i krew zalewa mu oczy. Ale niech go ktoś trąci. Umarły z pianą u pyska rzuca się na ludzi i gryzie. Dla umarłego przedmioty stają się bogami, ciało staje się bogiem, pod ręką umarłego umiera świat, najmniejszy przedstawiciel siły staje się bogiem... Świat rzeczy, ciało. Jest to bóg ślepy i bezwzględny, umarłego wyznawcę połyka, trawi i wydala".

Dochodzimy do dna sprawy, niżej zejść nie podobna. Człowiek żyje pod przemocą śmierci, jest to siła, której nienawidzi, ale która ma nad nim władzę boską. Człowiek znaczy mniej niż przedmiot i zdatny jest tylko na przemiał. Straszliwe wyznanie, które idzie szeptem z ust do ust po naszej epoce i tylko czasem zakrzyczy w samotni jakiegoś Dubuffeta albo Michaux.

Ale to nie cały Różewicz. Tak jak Dubuffet umie malować ręką dziecka i patrzeć jego okiem, Różewicz ma też ukryte źródła odmiany. W jednej noweli na śmietniku leżą dwa nieokryte trupy mężczyzn, zastrzelonych przez Niemców, a obok w podziemnym schronisku leży z mężem ciężarna kobieta. W nocnej ciemności szuka ręką jego oczu i ust. „Zbudź się", mówi. Różewicz kończy opowiadanie słowami:

„Ciało jego poruszyło się i posłuszne przylgnęło do jej ciała. Mężczyzna spał jeszcze, ale jego ciało, przebudzone i czujne zaczęło napełniać się krwią".

Nowela nazywa się „Owoc żywota". Nie może być większej dyskrecji, nie może być bardziej nieśmiałej wymowy. A więc jest jakaś nadzieja? Nie wiadomo jaka, nie wiadomo czego, ale nadzieja związana z życiem. Czyli że umarli za życia mogą przeczuć kres swojej męki i koniec swojej śmierci.

Podobny substytut metafizyki daje się wyczuć w opowiadaniach: „Morze" i „Trucizna". Ale jasno wyraża się sprawa dopiero w finale „Nowej szkoły filozoficznej". Finał ten nosi tytuł „Błaganie". Poeta, który w tej samej noweli wołał: „Kto tam gada o człowieku, kto śmie mówić o człowieku. Jakie błazeństwo, jaka komedia. Umarli, jestem z wami" — zdobywa się na otwarte wyznanie:

„Wszystko co ze mną zrobicie, będzie nas łączyło. Zło i dobro. Tylko nie zostawiajcie mnie samego. Byłem zarozumiały i głupi. Siedzę w moim pokoju i czekam. Strasznie tęsknię do żywego człowieka. Czekam na jego przyjście. Każdy głos na podwórzu, każde stuknięcie na schodach przyprawia mnie o bicie serca. Wstrzymuję oddech".

Cała ta książka jest wstrzymanym oddechem. Wstrzymanym pod przymusem śmierci, wstrzymanym z zadyszania nienawiści, z poczucia poniżenia, z zaniku człowieczeństwa. A także, i może najbardziej, nadziei — straconej niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie obumarłej naprawdę.

Proza Różewicza jest pochodzenia poetyckiego. Pewne ustępy ze zbioru nowel „Przerwany egzamin" znalazły się w zbiorze poezji „Rozmowa z księciem", przepisane dosłownie, tylko w szyku wiersza. Fałszywie i tendencyjnie brzmi opowiadanie „Spowiedź", nie chce się też wierzyć w taki Paryż, jaki przedstawiony jest w „Najpiękniejszym mieście świata".

Ale nawet biorąc pod uwagę wszystkie słabe strony i usterki pisarstwa Różewicza, osady służby socrealistycznej, kontrybucje późniejsze, zadawnione kompleksy i urazy, surowe wpływy Kafki i Sartre'a, „Przerwany egzamin" nie przestaje być książką o wstrząsającej dynamice. Jest to nagość ludzkiej niedoli nie mającej się czym okryć. Rozpaczliwy absurd istnienia, które nie może wyrwać się z podwójnego potrzasku: nie ma mnie a więc jestem i jestem póki mnie nie ma. Błaganie o nadzieję bez żadnych innych podstaw niż jej potrzeba. I jednocześnie zaniemówione, nie dające się wysłowić przeświadczenie, że są gdzieś możliwości odwrócenia losu. Ale gdzie? W samej przedmiotowej przyrodzie? W biologii ludzkiej? W prawie krążenia krwi?

Oto otwarte wnętrze zamętu. Kłębi się w nim doszczętnie rozbity człowiek. Krzyk jego pochodzi z Polski ale udręka jego pali usta tysięcy innych.

Kazimierz WIERZYŃSKI

Francuska "Panorama myśli współczesnej"

„Panorama myśli współczesnej" (1) jest tłumaczeniem antologii „Panorama des Idées Contemporaines", która w oryginale ukazała się nakładem Librairie Gallimard w 1957 roku. Na książkę składają się wyjątki z monografii i artykułów, głównie autorów francuskich. Dzieła pisarzy innych narodowości są uwzględnione, jak się zdaje, w tym tylko wypadku, gdy były dostępne w tłumaczeniu francuskim. Teksty powiązane są krótkim komentarzem redaktorów poszczególnych działów, których jest dziesięć: idee filozoficzne, psychologia współczesna, nauki społeczne, filozofia historii, problemy polityczne, zagadnienia i formy współczesnej sztuki, myśl religijna, nauki matematyczne i fizyczne, nauki biologiczne, współczesny humanizm.

---

(1) Gaëtan Picon, *Panorama myśli współczesnej*, Paryż, Libella, 1960, str. 714.

Polski wydawca zaleca „Panoramę myśli współczesnej" jako „całą bibliotekę w jednym tomie". Trafna to charakterystyka „Panoramy", lecz komu przynieść ma pożytek antologia dobrana na tej zasadzie? Nie ma ona adresata, specjaliście niczego nie daje, a laika niczego nie nauczy. „Panorama myśli współczesnej" to jedna z tych książek, które budzą respekt tytułem i rozmiarem lecz pozostają na półce z nierozciętymi kartkami. Ich funkcja ogranicza się do tego, by świadczyć o intelektualnych zainteresowaniach właściciela.

„Panorama myśli współczesnej" była przeznaczona dla odbiorcy francuskiego. Dzieło, o którym mowa, jest bowiem panoramą myśli współczesnej z francuskiej perspektywy. Jej układem, doborem tekstów, implikowaną skalą intelektualnych wartości rządzą upodobania współczesnego francuskiego umysłu. Tak więc w filozofii najważniejsze kierunki współczesne to fenomenologia i egzystencjalizm, w psychologii — psychoanaliza i różne kierunki psychologii głębi, w filozofii historii — historiozofia w stylu XIX wieku. Ojczyzna Kartezjusza i nowoczesnego anty-irracjonalizmu stała się w latach ostatnich twierdzą irracjonalizmu. Współczesny francuski irracjonalizm jest jednym z aspektów myśli współczesnej. Lecz co do zasięgu terytorialnego stanowi tylko fragment ograniczony do Francji i Niemiec. W skali szerszej, mniej prowincjonalnej, w sensie nadanym temu terminowi przez Arnolda Toynbee, nie jest to ani fragment reprezentatywny ani nawet ważny. „Panorama myśli współczesnej" cierpi od braku równowagi i poczucia proporcji. Nie można identyfikować myśli współczesnej z myślą francuską.

W skali uniwersalnej nie jest po prostu prawdą, o czym zapewnia nas we wstępie redaktor całości — Gaëtan Picon, iż myśl współczesna ma za przedmiot „świat drążenia w głąb i niejasnych łączności" (?) i że zajmuje się tym „co nie da ująć się myślą". Nie jest również prawdą, iż „nowa logika wykracza poza antynomię prawdy i fałszu" oraz, że stanowi ona takie narzędzie, iż z jego pomocą „da się pomyśleć to, co jest nonsensem, a nie da się pomyśleć tego, co ma sens". Wstęp Gaëtana Picon jest manifestem irracjonalizmu, popartym odpowiednio dobraną antologią ukazującą się w wieku, który nie bez podstaw nazwano wiekiem analizy. „Panorama myśli współczesnej" mówi więcej o myśli francuskiej aniżeli o myśli współczesnej.

Wydanie „Panoramy myśli współczesnej" wymagało znacznej inwestycji finansowej oraz nakładu pracy, niestety nie zawsze dostatecznie dbałej i kompetentnej (2). Zarówno z włożonego wysiłku i pieniędzy uczynić można było znacznie lepszy użytek. W literaturze amerykańskiej istnieje

(2) Oto kilka przykładów, by nie być gołosłownym. Bertrand Russell figuruje w „Indeksie" jako „angielski matematyk i fizyk", Schumpeter — jako „socjolog i polityk pochodzenia austriackiego", a Watson — jako „amerykański filozof". R. Oppenheimer jest autorem dzieła „La science et le bon sense" (chodzi zapewne o „Science and the Human Understanding"). Również Trocki pisał wyłącznie po francusku. Dzieła pisarzy nie francuskich, które wymienione są jako ich główne dzieła, nie świadczą dobrze o znajomości ich twórczości (zob. np. Whitehead). „Definite answers" przetłumaczono na „odpowiedzi definitywne" (str. 49), co jest nie tylko językowo błędnym odpowiednikiem, lecz również wkłada w usta Russella niedorzeczność.

wiele wypisów (*readings*) różnych dziedzin myśli współczesnej, autentycznych panoram, które pozwalają czytelnikowi zorientować się w obecnym stanie badań. Te wypisy nie są ,,całą biblioteką w jednym tomie", co nie stanowi ich wady a wielką zaletę. Zbyt wiele jest książek wartościowych, które warto jest udostępnić czytelnikowi polskiemu, by nie wyrazić zdumienia, iż wybór padł na ,,Panorama des Idées Contemporaines". — Gdy możliwości wydawnicze są bardzo ograniczone, trzeba jakoś rozróżniać książki podniecające intelektualny snobizm i obudzające autentyczną intelektualną ciekawość, książki kształcące umysły i siejące w umysłach zamęt. Nie każda książka wydana w Paryżu przez szanowną i znaną firmę wydawniczą kwalifikuje się automatycznie do wydania w polskim języku, a tytuł dzieła nie zawsze pokrywa się z jego zawartością.

Zbigniew JORDAN

Polska prasa emigracyjna 1939-1959

BIBLIOGRAFIA BIBLIOGRAFII

Część I: Bibliografie ogólne prasy

1. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* 1947-1948. RPZ I:1948, s. 197-216.
131 pozycii polskiej prasy emigracyjnej sklasyfikowanej według częstotliwości ukazywania się czasopisma.

2. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* (1950). RPZ II:1950, s. 141-154.
142 pozycje polskiej prasy emigracyjnej sklasyfikowane według częstotliwości ukazywania się czasopisma.

3. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* (1952). RPZ III:1952, s. 141-157.
139 pozycji polskiej prasy emigracyjnej sklasyfikowanych według częstotliwości ukazywania się, wraz z zestawieniem według krajów ukazywania się.

4. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* (1952). RPZ IV:1953 (Commonwealth Edition), s. 96-100.
48 ważniejszych pism emigracyjnych zestawionych według częstotliwości ukazywania się.

5. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* (1954). RPZ V:1954/5, s. 205-220.
175 tytułów polskiej prasy emigracyjnej zestawionych według częstotliwości ukazywania się.

6. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* (1956). RPZ VI:1956/57, s. 233-252.
138 pozycji polskiej prasy emigracyjnej zestawionych według częstotliwości ukazywania się.

7. [JEŻEWSKI, Bohdan Olgierd, red.]: *Katalog prasy* (1958). RPZ VII:1958/59, s. 265-280.
125 pozycji polskiej prasy emigracyjnej zestawionych według częstotliwości ukazywania się, zaopatrzonych tabelą statystyczną według krajów publikacji.

8. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku* 1939. *Cz. I-XVIII*. DTOW X:1957, nry 21-24, 29, 31, 33, 36-37, 42, 46; XI:1958, nry 3, 7, 41, 49; XII:1959, nry 12, 26.
Przegląd prasy emigracyjnej ukazującej się w Rumunii, na Węgrzech, we Francji, Szwajcarii, w Litwie, Łotwie, Szwecji, Norwegii, w ZSSR, Iranie, Iraku, Libanie, w Palestynie i Egipcie, we Włoszech, Niemczech, Austrii, Belgii, Holandii, Danii, Anglii, oraz na szlaku Karpackiej Brygady.

9. [OPPMAN, Edmund i Regina]: *Przewodnik po wystawie prasy polskiej* 1939-1949. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, luty 1950, s. 56.
Poza wstępem historycznym, opisem eksponatów, i zestawieniem gazetek ściennych Polskich Sił Zbrojnych, przewodnik podaje tytuły prasy polskiego wychodźtwa, ułożone alfabetycznie według krajów ukazywania się (522 poz.), oraz w układzie rzeczowym (233 poz.), zestawione na podstawie materiału autopsyjnego, znajdującego się w Instytucie Historycznym w Londynie.

10. [SAWICKI, Tadeusz]: *Rocznik bibliograficzny druków w języku polskim oraz w językach obcych o Polsce wydanych poza terytorium Rzeczypospolitej Polskiej* 1.IX.1939-31.XII. 1941. Oliver and Boyd, Edinburgh, 1942, s. 11-26.
Zestawia m . in. 174 tytuły czasopism i jednodniówek w języku polskim i w obcych, ukazujących się na świecie zarówno w środowiskach Polonii, jak i wydawnictw emigracji wrześniowej. Niektóre pozycje są obszernie adnotowane.

11. SAWICKI, Tadeusz: *Rocznik bibliograficzny druków w języku polskim oraz w językach obcych o Polsce wydanych poza terytorium Rzeczypospolistej Polskiej* 1.I.1942-31.XII. 1942. *Tom II*. Oliver and Boyd Ltd., Edinburgh 1943, s. 77-84.
Zestawia m.in. 101 czasopism i jednodniówek polsko- i obcojęzycznych, wydawanych przez wychodźtwo wrześniowe oraz starą emigrację.

12. SAWICKI, Tadeusz: *Rocznik bibliograficzny druków w języku polskim oraz w językach obcych o Polsce wydanych poza terytorium Rzeczypospolitej Polskiej* 1.I.1943-31.XII. 1943. *Tom III*. Oliver and Boyd, Edinburgh 1944, s. 150-151.
Przynosi 20 tytułów polsko-języcznej oraz obco-języcznej prasy wychodźczej i polonijnej, oraz szereg uzupełnień.

13. [*Spis czasopism polskich wychodzących w Szwajcarii, Niemczech, Francji, Belgii, Anglii, w Kanadzie i U.S.A.*] W: „Kalendarz Polaka w Austrii 1948", Gmuenden 1947, s. 38-45.

14. TERLECKI, Tymon: *Prasa polska na uchodźstwie* 1939-1949. DTOW IV:1951, nr. 8/117.
Krótki przegląd wychodźczych środowisk prasowo-wydawniczych, i charakterystyka ważniejszej pracy.

15. WIERZBIAŃSKI, Bolesław: *Prasa polska za granicą* [1929-1954]. W: „Polonia Zagraniczna 1929-1954. Księga Pamiątkowa 25-lecia istnienia Światowego Związku Polaków z Zagranicy", Londyn 1955, s. 19-23.
Krótki przegląd pism polonijnych przedwojennych, oraz rzut oka na wydawnictwa wychodźtwa wrześniowego w czasie wojny, i w dziesięć lat po jej zakończeniu.

Objaśnienia skrótów: RPZ — *Rocznik Polonii Zagranicznej;* DTOW — *Dodatek Tygodniowy „Ostatnich Wiadomości".*

Nadesłane nowości wydawnicze

POLIAKOV (Léon)-WULF (Josef). *Das Dritte Reich und di Juden.* Dokumente und Aufsätze.. Str. 292. (Wyd. Verlag Arani, Berlin-Grunewald, 1961. Cena DM 9,80.

SOKOLNICKI (Micha). *Czternasty rok.* Str. 388, 12 ilustracji, załączniki oraz skorowidz nazwisk. (Wyd. Publications, Ltd.,) Londyn, 1961, cena 35/-).

RADOMSKI (Seweryn). *Romek.* Str. 84 i 6 nlb. Przedmowa Marii Danilewiczowej. (Wyd. Orbis, Londyn 1961).

BOHDANOWICZOWA (Zofia). *Gwiazdy i kamienie.* Str. 201 i 10 nlb. (Tom LI Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn 1961, cena 15/-).

HOMER. *Iliada.* Przełożył oraz opatrzył wstępem i słowniczkiem imion własnych IGNACY WIENIEWSKI. Rysunki Tadeusza TERLECKIEGO. Stron XXXII plus 416 i 26 rysunków oraz fotografia popiersia Homera (British Museum). Oprawa płócienna z tłoczeniami w złocie. Obwoluta rodoilowa. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1961, cena 52/6 lub dol. 8,00).

RUDNYCKYJ (J.B.). *The Library of Ukrainian National „Prosvita" Society, Port Arthur, Ont.* Wyd. drugie (w jęz. ukraińskim). Str. 16. (Wyd. Ukraińska Wolna Akademia Nauk w serii UVAN N° 19, Winnipeg-Port Arthur, Kanada, 1961).

Ukrainica Canadiana 1959. Zebrał J.B. RUDNYĆKYJ i D. SOKULSKY (w jęz. ang.). Str. 16. Wyd. Ukraińska Wolna Akademia Nauk, Winnipeg, Canada. 1960).

KAYE-KYSILEVŚKYJ (V. J.). *Ukraine, Russia and other Slavic Countries in English Literature.* A Selected Bibliograpy of Books, Pamphlets, Articles, etc. Published in English between 1912-1936. Str. 48. (Wyd Ukrainian National Prosvita Society, Port Arthur, Ont. Canada jako Nº 40 „Slavistica".

LERSKI (Jerzy J.). *A Polish Chapter of Russo-Japanese War.* Str. 69-97. Odbitka z „The Transactions of the Asiatic Society of Japan". Seria trzecia. Vol. VII. Tokyo, 1959.

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Science and the Notion of Reality.* Str. 25-38. Odbitka z „Revue de l'Universite d'Ottawa", Vol. 31, Nº 1. Janvier-Mars 1961).

TERTS (Abram). *Retten er Sat* Przekład Georg Sarauw. Str. 130 i 2 nlb. (Wyd. Det Schonbergsk Forlag, Kopenhaga, 1960).

BORYS (Jurij) *The Russian Communist Party and the Sovietization of Ukraine.* A Study in the Communist Doctrine of the Self-determination of Nations. Str. 374. (Stockholm, 1960).

Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945. Vol. I 1939-1945. Str. 625 i 3 nlb. Edited by the General Sikorski Historical Institute (Heinemann, London — Melbourne — Toronto, 1961, cena 63/-.

KOSTIUK (Hryhory) *Stalinist Rule in the Ukraine* A Study of the Decade of Mass Terror (1929-1939). Str. 162. (Wyd. Institute for the Study of the USSR, Series I, Vol. 47, Sierpień 1960 — Monachium).

BILIŃSKI (Bronisław). *L'Agonistica Sportiva nella Grecia Antica.* Aspetti sociali e ispirationi letterarie. Odczyt w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Rzymie, dn. 10 listopada 1959. Str. 133 i 2 nlb. (Wyd. Angelo Signorelli, Editore, Roma 1961).

POGGIOLI (Renato). *„Wierzbowa fujarka".* Str. 39-77. (Nadbitka z „Zagadnień Rodzajów Literackich", T. III, z. 1/4.

TYS-KROHMALUK (Jorge). *La batalla de Poltava* (7 de Julio 1709). Str. 23 i 1 nlb. Odbitka z artykułu ogł. w „Ucrania Libre" Nros 14/15 i 16/17. Biblioteka Ukr. Inst. Informacyjno-Wydawniczego w Buenos Aires, 1960.

TARNAWŚKYJ (Ostap). *Samotne Derevo. Poezje.* Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Ukraińskich Pisarzy „Słowo", New York 1960).

Tak jany ‚służyli' narodu. Str. 50 i 5 nlb. (Wyd. Bibl. Hazety „Holas Radzimy". Mińsk, 1960.

IWANIS (Wasyl). *Stieżkami żyttia* (Spohadi). T. III. Str. 350 i 2 nlb. (Wyd. „Ukrainski Wisti", Neu-Ulm, 1960).

KIERYŁŁO (Jan). *Odgłosy.* Wiersze. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, grudzień, 1960).

WŁODKOWSKI (W. K.). *Na przegiętej gałęzi.* Poezje. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, styczeń 1961).

SZEKSPIR (William). *Sonety.* Przełożył Wiesław Strzałkowski. Str. 18 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, styczeń, 1961).

ŚWIDERSKA (Alina). *Zygmunt.* Powieść biograficzna o Zygmuncie Krasińskim. T. II. Str. 359 i 3 nlb. T. XLIX serii czerwonej „Biblioteki Polskiej" (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, czerwiec 1960, cena 15 sh.).

Listy do Redakcji

Drogi Panie Redaktorze!

Z głębokim wzruszeniem przeczytałem w marcowej „Kulturze" wspomnienie dra Grzybowskiego o śp. dr. Jerzym Cyrankiewiczu, człowieku pięknym i tragicznym. Sądzę, że warto dorzucić, iż zmarły w czasie studiów krakowskich był bardzo czynnym członkiem Młodzieży Wszechpolskiej. Narodowe przekonania dzielił z ojcem inżynierem, najbardziej skrupulatnym płatnikiem Stronnictwa Narodowego w Krakowie w okresie międzywojennym.

Natomiast brat Józef był zawsze działaczem lewicowym, zresztą najinteligentniejszym wśród wszystkich przywódców akademickich w latach moich studiów.

Z poważaniem.

Jan BIELATOWICZ

◆

West Hartford 7, Conn 4.1.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

W dniu dzisiejszym wysłałem 9 dol. — tytułem opłaty „Kultury" za rok 1961.

Podniesienie opłaty do $ 9 — uważam za jak najbardziej słuszne. Można jedynie dziwić się, że nie zastosowano takiego zabiegu wcześniej i że „Kultura" mogła dać sobie radę przy dotychczasowej opłacie. Świadczy to chlubnie o umiejętnej gospodarce Pana Redaktora i Jego zespołu.

Przy tej okazji pozwalam sobie poruszyć sprawę wydawnictw książkowych „Kultury". Wynik dotychczasowy — biorąc pod uwagę warunki polskiego wydawcy na obczyźnie — jest co najmniej imponujący.

Emigracja nasza — tak nowa, jak i stara (do ostatniej nie można mieć większej pretensji) — nie grzeszy chęcią kupowania polskiej książki. Pod tym względem, jak mi się wydaje, pozostajemy daleko w tyle za emigracjami innych narodów, jak np. Litwinów, których jest znacznie mniej od nas, a którzy nakłady książek mają znacznie większe.

Osobiście należę do tych nielicznych, którzy systematycznie kupują polską książkę. W czasie mego 9-letniego pobytu w USA mój skromny księgozbiór wzrósł do przeszło 500 pozycyj (tomów znacznie więcej). W tym przeszło 35 pozycyj wydawnictw „Kultury", sprowadzonych via B. Świderskiego w Londynie, mego dawniejszego współpracownika z czasów włoskich w 2-gim Korpusie. Muszę podkreślić, że do swego księgozbioru doszedłem bez większego wysiłku. A przecież zarobki moje w fabryce przeważnie są znacznie mniejsze od zarobków innych robotników, uważających siebie za polskich inteligentów (młodszych wiekiem). Nie jeden z nich posiada własny domek (nb. domek i ja mam), z komfortem urządzony, z telewizją i innymi nowoczesnymi szykanami, własny samochód nie najgorszej marki itp. (no i nie najgorszy rachunek w banku). Jest to niewątpliwie pocieszający objaw, świadczący o zaradności rodaka-emigranta. Niestety w domkach tych nie ma jednej rzeczy: półki z polskimi książkami. A jeżeli i jest, to tylko

u bardzo, i to bardzo, nielicznych, których tu, w Hartford, i sąsiednim New Britain można policzyć na palcach jednej ręki. Powstaje pytanie: czyżby polski inteligent z nowej emigracji (wzgl. uważający siebie za inteligenta) miał mniejsze potrzeby kulturalne od inteligenta np. litewskiego, który przeważnie taką półkę z książkami litewskimi właśnie posiada i stale ją uzupełnia. A co najważniejsze — daje możność egzystencji swoim pisarzom, bez koniecznej potrzeby dorabiania na życie w innym, często nieodpowiednim, zawodzie.

Na zakończenie mała uwaga (na marginesie) do artykułu W. Zbyszewskiego o gen. Hallerze. Artykuł nie tyle oburza, ile daje poczucie niesmaku. Niewybredny. A od tak wytrawnego publicysty, i to publicysty — jak mi się wydaje — nieco snobującego, chyba można oczekiwać nieco więcej umiarkowania i zastanowienia się.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Kazimierz BUTERLEWICZ

◆

Paryż, 5 marca 1961

Drogi Panie,

Nie wiem dobrze z jakich przyczyn komuniści warszawscy interesowali się w ostatnich latach bardzo Różą Luksemburg. Jeden z nich zapisał mi nawet, wydobyty z jakichś prywatnych archiwów, wiersz, który Róża napisała w dniu swego ślubu z Tyszką. Przesyłam go Panu jako zabawne curiosum:

A zatem, niebawem porzucam panieństwo,
Dziewictwo utracę już rano.
Z tym oto litwakiem wstępuje w małżeństwo
I Polskę mu daję za wiano.
Słuchajcie, słuchajcie, kamraci:
To on was powiedzie do bitwy;
Słuchajcie, słuchajcie socjaldemokraci
Królestwa Polskiego i Litwy.

Przesyłam najlepsze pozdrowienia.

Leon FURATYK

◆

Australia, 24.2.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

W jednym z polskich pism emigracyjnych uderzyła mnie notatka informacyjna o nadużyciach, dokonywanych w Czechosłowacji przez przedsiębiorstwa państwowe tj. komunistyczne: zjawisko zupełnie takie samo jak nadużycia w komunistycznej Polsce, o których to samo pismo emigracyjne (wraz z innymi) pisało tyle już razy... Ale tytuł notatki brzmi: *Czeskie nabieranie* Dlaczego — czeskie? jeśli już tytuł taki mamy uznać za logiczny, dlaczego o podobnych nadużyciach w Polsce — nigdy nie piszemy *Polskie nabieranie?*... Chodzi mi tu o pochopność, z jaką przypinamy innym narodom ubliżające epitety, bez najmniejszego powodu.

Obecnie, gdy tyle pisze się o konieczności konsolidacji wspólnego frontu przeciw komunizmowi, wciąż dajemy się ponosić szowinistycznym urazom, nie pozwalającym nam na zbliżenie się do któregokolwiek z sąsiadów. Nie

chodzi mi tu o Czechów. Chodzi o nas samych. Pewna paniusia z Sydney zakomunikowała mi dumnie, że nigdy nie rozmawia z Litwinką, z którą pracuje przy tej samej maszynie fabrycznej; i wyjaśniła: „Taka już jestem patriotka". Tego rodzaju „patriotyzm" jest zjawiskiem nagminnym. Szkody przyczynia nam samym.

Tu nawiązuję do artykułów p. Borysa Lewickiego i ich ostatniego echa w formie listu p. Janiny Axel w nrze 1/159-2/160 „Kultury". Pani Axel bynajmniej nie wykazuje szowinizmu. Jej wspomnienia o torturach z rąk Ukraińców są beznamiętne; i należy sądzić, że list swój pisała w trosce o własną prawdę, jakiej sama tak boleśnie doznała. Albowiem, zgodnie ze słowami z listu p. M.E. Royka (nr. 6/152), *„prawda jest tym elementem naszej cywilizacji, bez którego na dalszą metę w ogóle nie możemy żyć w sposób godny naszego ludzkiego powołania. Ponadto, bez wykrycia prawdy nie może być mowy już nie tylko o poprawieniu, lecz nawet o znormalizowaniu stosunków polsko-ukraińskich".*

Otóż to: *„nie może być mowy"*. A prawda — ma tysiąc oblicz, dla każdego z nas inne. Jak uzgodnić te wszystkie prawdy? Wierzyć chcemy tylko własnej... Nie jestem tu rzecznikiem prawd obcych. Chcę tylko podkreślić, że bez wyjścia innym naprzeciw — nie poznamy nawet własnej.

List p. Axel, udostępniony polskim czytelnikom, w rękach niejednego z nas staje się przyczynkiem historycznym do okrucieństw Ukraińców wobec Polaków podczas okupacji niemieckiej we Lwowie. W imię tejże prawdy historycznej, mój współczytelnik „Kultury" aż syknął z uciechy: „A co, nie mówiłem?! Sami dranie, ci Ukraińcy! Cały naród — same dranie!". Na próżno wskazywałem na absurdalność podobnego twierdzenia, że przecież wielomilionowego narodu nie wolno winić za akcję zgrai opryszków... Słowa moje odbijały się jak groch o ścianę.

Niegdyś, przed bezmała trzydziestu laty, złamałem prawą rękę. Byłem wtedy szeregowym Marynarki Wojennej. Szpitala wojskowego w Gdyni jeszcze nie było; przez jakąś pomyłkę kancelaryjną, zamiast do szpitala w Toruniu, odkomenderowano mnie do Garnizonowej Izby Chorych w Grudziądzu. Tu, dla jakichś tajemniczych powodów, w obrębie zabudowań szpitalnych mieścił się też posterunek żandarmerii. Kurację rozpoczęto od przesłuchu: „Gadaj, sk...synu, po co złamałeś tę rękę? Wydekować się od służby wojskowej, co?". Rękę miałem złamaną w stawie łokciowym, temblak prowizoryczny, bez łupków, ból tak dotkliwy, że najmniejsze poruszenie przyprawiało mnie o mdłości. Zażądałem, aby mnie natychmiast przekazano w ręce lekarza. Wtedy usłyszałem spokojny głos wachmistrza, dotychczas milczącego przy stole pod oknem: „A daj mu tam który w pysk!". I któryś dał mi w pysk — zwaliłem się, krwią zalany.

Do zadań specjalnych zawsze gotowi są ludzie specjalni. Oprawcy lwowscy niewątpliwie rekrutowali się z tego samego elementu: z sadystów. Ktokolwiek poszukuje owej bezwzględnej prawdy celem znormalizowania stosunków polsko-ukraińskich, winien to wziąć pod rozwagę.

Czy wolno nam, metodą totalną, obciążać cały naród ukraiński za bestialstwa ukraińskich SS-manów we Lwowie? O ile dobrze zrozumiałem — wyświetleniem prawdy o nich p. Royek warunkuje ewentualną poprawę stosunków polsko-ukraińskich. A to znaczy — stosunków między dwoma narodami. Ale w takim razie chyba wolno byłoby — np. Serbom — obciążyć cały naród polski za okrucieństwa polskich SS-manów na terenie Serbii?... A jednak, Serbowie nie czynią tego.

Na przełomie lat 1943/44, na rozkaz A.K., znalazłem się w kopalni miedzi eksploatowanej przez Niemców w miejscowości Bor, nad granicą serbsko-bułgarską. Wspomniana polska formacja SS, zrazu skoszarowana w Belgradzie (sam byłem zakwaterowany przez kilka dni w tych samych koszarach, gdzie po raz pierwszy zetknąłem się osobiście z miłymi rodakami),

później została odkomenderowana do akcji wewnątrz kraju i stała się postrachem czetników gen Miloradowića. Bezwstydnie chełpili się owi Polacy — wszyscy ochotnicy — że żadna jednostka rdzennie niemiecka nie potrafi dopaść i wyrżnąć serbskich powstańców tak sprawnie i ochoczo jak czynili to oni. Pamiętają ich także żołnierze włoscy z oddziałów, które wypowiedziały Niemcom posłuszeństwo i złożyły broń po kapitulacji Włoch, podpisanej przez marsz. Badoglio. Obozy z jeńcami włoskimi w pobliżu Boru były pod nadzorem „polskiego" oddziału SS. Nie, nie byli to Ślązacy czy Pomorzanie (a słyszałem takie sugestie, podsuwane w uroczym mniemaniu, że Polacy spod b. zaboru pruskiego są elementem podlejszym bo zgermanizowanym). Przeciwnie, była to zbieranina z łódzkich Bałut, z warszawskiej Woli czy Starówki, z Częstochowy, z Kieleckiego, a i nie brak było ochotników z tzw. porządnych domów z całej Polski. Motywy? Żyłka awanturnicza i żądza wzbogacenia się z grabieży — nowocześni Lisowczycy. Niemczyzna na ogół nie władali: komenda była w języku polskim.

Jako Polak, nie poczuwam się do jakiejkolwiek współwiny czy współodpowiedzialności za akcję tych polskich oprawców w hitlerowskich mundurach. Z kryminalistami, wyrzuconymi poza krąg sumienia mego narodu, nie mam wspólnego języka. Mam zatem prawo do zachowania przyjaźni i szacunku u Serbów czy Włochów.

I konsekwentnie, dzieje ukraińskich SS-manów — wyjaśnione czy nie wyjaśnione („w imię prawdy") — w moim sumieniu bynajmniej nie są warunkiem niezbędnym do normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Wierzę bowiem, że każdy uczciwy Ukrainiec żywi podobną pogardę do wyrzutków spoza własnego społeczeństwa. W dobie obecnej, jedynym warunkiem wspólnego porozumienia jest tylko obustronna dobra wola. Czas najwyższy, abyśmy ją wszyscy wykazali.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy mego prawdziwego poważania.

Zbigniew JASIŃSKI

◆

Montreal, 15-22.2.1961

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Szkoda, że generał Zając nie ograniczył swego niezmiernie ciekawego artykułu do przygotowań ogólnych, lecz zaczął pisać na temat przygotowania do wojny lotnictwa. W tej części swego artykułu wykazał niestety całą swoją nieznajomość spraw lotniczych, za które był przecież odpowiedzialny. Poruszam kolejno te sprawy:

Str. 176-ta.

Bombardowanie Małaczewa było operetką, o której krążyło w lotnictwie wiele anegdotek. Operetką tragiczną w swych skutkach, gdyż wyciągnięto z niej mylny wniosek, że szkody spowodowane przez bombardowanie lotnicze linii kolejowych, dadzą się w krótkim czasie naprawić i że lotnictwo nie potrafi sparaliżować ruchu kolejowego. Wrzesień pokazał, że jednak lotnictwo potrafi sparaliżować zupełnie wszelki ruch na liniach kolejowych.

Bombardowanie Małaczewa stukilogramowymi bombami i dwunastu kilogramowymi bombkami, było w 1937 roku — gdy już znane były powszechnie doświadczenia wojny domowej w Hiszpanii — po prostu kpiną. Tej zabawy poza sztabem, nikt z lotników poważnie nie brał. Z tej zabawy wyciągnięto najbardziej mylne wnioski, że bombardowanie torów jest skuteczniejsze niż bombardowanie węzłów. Późniejsze doświadczenia Bomber

Command R.A.F. wykazały, że właśnie tory naprawia się szybko a węzły, zwłaszcza zautomatyzowane, wymagają długiej i uciążliwej pracy, zanim znów będą mogły być czynne. Oczywiście R.A.F. nie zabawiała się dwunastokilogramowymi bombkami.

Zdanie: „uszkodzenie mostów było trudne do osiągnięcia przez małe jednostki lotnicze". — Szczyt ignorancji. Uszkodzenie mostów nie zależy od wielkości jednostek lotniczych, lecz od rodzaju bomb.

Doświadczenia R.A.F. wykazały, że mosty, które zwycięsko opierały się bombardowaniu całych eskadr, wyposażonych w zwykłe bomby, były następnie niszczone przez pojedyncze samoloty, zaopatrzone w specjalny rodzaj bomb i stosujące odpowiednią technikę zrzutu. Doświadczenia co do niszczenia mostów były zanotowane już w wojnie domowej w Hiszpanii. W roku 1937 należało już o tym wiedzieć. Żadną miarą nie można się popisywać ignorancją na ten temat w 1961 roku.

Str. 178-ma.

Zdanie: „Lepsze samoloty wywozimy z Kraju, a sami pozostawiamy sobie gorsze", jest zdaniem demagogicznym. Inspektor lotnictwa powinien wiedzieć dlaczego Turcja mogła kupować silniki we Francji, a Polska nie. Sprawę te wyjaśnia w swej książce generał Rayski.

Str. 180-ta.

Doświadczenia z wyszkolenia piechoty nie dadzą się przenieść żywcem do lotnictwa. Wszystkie lotnictwa świata cierpiały na brak dobrych instruktorów pilotażu. Zmniejszenie grupy uczniów u jednego instruktora z 9-ciu na 3-ch, spowodowałoby konieczność zwiększenia potrójnie liczby instruktorów. A tych było brak nawet dla 9-ciu uczniowych grup.

Str. 182-ga.

Również nie ma racji gen. Zając pisząc o szkoleniu oficerów technicznych lotnictwa. Doświadczenia R.A.F. (zwłaszcza kampania afrykańska) wykazały, że nawet na stanowisku oficera technicznego eskadry powinien być wykwalifikowany fachowiec. A tego się na kursie trzymiesięcznym nie stworzy.

Str. 183-cia.

Zarzut, że samolot ŁOŚ nie miał pełnych dwu sterów jest zupełnie pozbawiony podstaw. Samoloty: Blenheim, Boston, Mosquito, Beaufighter odrobiły całą wojnę bez podwójnych sterów.

Str. 185-ta

Koroną ignorancji w sprawach lotniczych jest projekt gen. Zająca, by tworzyć „drugie załogi" dla samolotów myśliwskich. Samolot bez pilota nigdy nie wraca. Pilot bez samolotu wraca często. Zwłaszcza, gdy walki toczą się nad własnym terenem, a takie było przecież założenie użycia naszego lotnictwa myśliwskiego. Znam wypadki, że ten sam pilot myśliwski w ciągu jednego dnia startował na trzy loty operacyjne, za każdym razem na nowej maszynie. W 1942 roku, dzień moich imienin (raid Dieppe) obchodziłem startując w ciągu dnia na dwa loty operacyjne. Przerwa między lotami wynosiła 50 minut. Drugi lot na drugiej maszynie, pierwsza była postrzelana. Gdyby nawet nie była, to pięćdziesiąt minut nie wystarczyłoby na przygotowanie do lotu samolotu foto-rozpoznania.

Pomysł „drugich załóg" najlepiej wyjaśnia na jakie bezdroża może zajść przygotowanie lotnictwa do wojny, gdy zajmują się tą sprawą oficerowie piechoty. Na szczęście w Anglii przygotowywano nie „drugie załogi" lecz „drugie samoloty".

Str. 186-ta.

Każdy lotnik, który latał na ŁOŚ'iu a następnie na Fairey-Battle uważa, że ŁOŚ był o niebo lepszą maszyną. Projekt wstrzymania produkcji ŁOŚ'i i zakupienie na ich miejsce Fairey-Battle'i nie był projektem przemyślanym.

A propos Szkoły Lotniczej w Dęblinie, którą miałem zaszczyt ukończyć. Nawet Niemcy, którym się bardzo śpieszyło z rozbudową Luftwaffe, uznali, że Szkoła Lotnicza musi być trzyletnia, a nie dwuletnia, jak tego pragnął generał Zając. Matematyka, której uczono nas w Dęblinie miała dwa ważne cele: uczyła logicznie myśleć, dawała podstawy do nauki astronawigacji. W Anglii czułem głęboką wdzięczność dla profesora matematyki w Dęblinie, za to, że dał mi podstawy matematyki, której ze szkoły średniej (mimo matury) nie wyniosłem. Uczniowie Szkoły w Dęblinie zdali swój egzamin w drugiej wojnie światowej.

Wycieczki przeciwko generałowi Rayskiemu uważam za nie na miejscu. Generał Rayski latał w czasie wojny zarówno operacyjnie jak i na najcięższych trasach ,,ferry'' w Afryce. Szereg wysokich odznaczeń angielskich najlepiej świadczy, jakim lotnikiem był generał Rayski.

Na zakończenie:

Artykuł generała Zająca przypomniał mi rok 1938, gdy protokółując obrady Państwowej Rady Sportu Lotniczego, miałem zaszczyt zapisać wzniosłe zdanie jednego z generałów piechoty, który również lubił mieszać się do spraw lotniczych. Piękne zdanie brzmiało:

,,Bagnetem zdobyliśmy niepodległość — bagnetem, da Bóg, potrafimy ją obronić''.

Well, wyszło nieco inaczej.

,,Nie obronili, Boża wola, spalonej Moskwy bram'' — jak powiedział Lermontow.

Za to później, gdy nam, lotnikom, dano właściwy sprzęt oraz fachowe dowodzenie, obroniliśmy i Londyn i Cairo.

Bolesław POMIAN-PIĄTKOWSKI

P.S.: — Czytelnikom, którzy pragnęliby poznać prawdę o przygotowaniu do wojny polskiego lotnictwa, gorąco polecam książkę generała-pilota Rayskiego pt. *Słowa prawdy o lotnictwie polskim.*

◆

Paryż, dn. 9 marca 1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z opóźnieniem spowodowanym niezależnymi ode mnie okolicznościami pragnę Pana prosić o zamieszczenie poniższej odpowiedzi na artykuł Wł. Pobóg-Malinowskiego pt. ,,W niezgodzie z prawdą'' (nr 4/150 ,,Kultury'' z 1960 r.). Chodzi o ustęp, w którym autor pisząc o internowaniu we wrześniu 1939 ówczesnych władz polskich, podkreśla z naciskiem, iż w tej sprawie ,,pomocnicza rola ówczesnej opozycji nie ulega wątpliwości''. Dla udowodnienia tego niezwykłego twierdzenia powołuje się p. Malinowski na mój list z 6 września 1943, ogłoszony w londyńskiej ,,Polsce Walczącej''. List ten był odpowiedzią na ,,relacje'' płk. A. Bogusławskiego, który w drukowanych w tym piśmie wspomnieniach po śmierci gen. Sikorskiego przytacza wypowiedź tegoż we Lwowie 11 września 1939 po bytności u niego ,,przedstawicieli ówczesnej opozycji politycznej'', że ,,namawiano'' go ,,na zamach stanu''.

Ujawniłem wówczas, jak to wynika z przytoczonego przez p. Malinowskiego ustępu listu, w jakich okolicznościach, przy czyjej obecności i przez kogo padła propozycja powołania triumwiratu złożonego z gen. Sikorskiego, gen. Hallera i... gen. Sosnkowskiego. A mianowicie, że jej autorem był dawny jeszcze z Legionów znajomy gen. Sikorskiego znany literat Z. Nowakowski, który zupełnie nieoczekiwanie zjawił się u niego w czasie przy-

jacielskiej rozmowy, jaką Generał prowadził z gen. gen. Hallerem i Kukielem i ze mną w obecności gospodarza mieszkania i płk. Stefczyka. Przytoczywszy odnośny ustęp mego listu p. Malinowski nie bierze pod uwagę ani osoby autora projektu, ani jego fantastyczności, ani składu projektowanego triumwiratu, a w szczególności „udziału" w nim gen. Sosnkowskiego, wówczas jak najbardziej dalekiego gen. Sikorskiemu.

Zygmunta Nowakowskiego, naczelnego felietonistę I.K.C., autora „Gałązki Rozmarynu" pasuje p. Malinowski na... „przedstawiciela opozycji"! To dziwne pomieszanie kart najłatwiej zdaje się mógłby wyjaśnić, w sposób nie budzący żadnych wątpliwości, sam autor odnośnego projektu. Tymczasem tak we wrześniu 1943 gdy ukazał się mój list, jak i obecnie, gdy p. Malinowski wyciąga z niego tak niezwykłe wnioski, p. Zygmunt Nowakowski milczy jak zaklęty...

Wykorzystuje ten fakt p. Malinowski, analizując końcowy ustęp mego listu, pominięty przez autorów opracowania Komisji Historycznej polskiego Sztabu Głównego, w którym jest mowa, że Z. Nowakowski odbył jeszcze z gen. Sikorskim rozmowę w cztery oczy. Otóż dla p. Malinowskiego ten ustęp listu jest najistotniejszy i opierając się na nim czyni ze mnie po prostu „koronnego świadka" swej tezy, iż „przedstawiciele ówczesnej opozycji" rozważali możliwość „pochwycenia władzy w drodze zamachu stanu".

W opuszczonym w wydawnictwie Komisji Historycznej ustępie listu piszę, że p. Nowakowski odbył jeszcze rozmowę z Generałem w cztery oczy i wyrażam przypuszczenie, że dotyczyła ona sprawy użycia jako ew. pośrednika wobec Śmigłego-Rydza lwowskiego wojewody Biłyka. W zakończeniu stwierdzam, że spotkawszy następnie w kilka godzin później na schodach, przychodzącego ponownie do gen. Sikorskiego Nowakowskiego, „z jego wyrazu twarzy odniosłem wrażenie, że jeżeli istotnie miał on jakąś misję do p. Biłyka, to skończyć się musiała niepowodzeniem".

To wszystko. Z odnośnych słów mego listu wyciąga p. Malinowski wniosek, że „misja", jaką gen. Sikorski powierzył Nowakowskiemu polegała ni mniej ni więcej tylko na... poinformowaniu woj. Biłyka o... grożącym zamachu... Bezzwłocznie bowiem — jak pisze p. Malinowski — woj. Biłyk po rozmowie z Nowakowskim udał się do marsz. Śmigłego-Rydza „by mu osobiście zameldować o zamachowych zamiarach opozycji". Ta to wiadomość m.in. miała „niemały wpływ" na decyzję Rydza „przejścia z Polski do Rumunii"...

Trudno zaiste zrozumieć... lekkość, z jaką p. Malinowski ustawia drabinę swego rozumowania! Czy p. Nowakowski w rozmowie z p. Biłykiem nie poruszał sprawy swego projektu, w którym upatrywał całym swym gorącym i podnieconym bólem sercem ostatnią szansę ratowania Rzplitej — trudno wiedzieć. Bardzo możliwe nawet, że tak, biorąc pod uwagę z jednej strony dawną swą z Biłykiem znajomość, na którą się u gen. Sikorskiego powoływał i swój ówczesny stan psychiczny, w którym rozpacz z powodu tak nieoczekiwanego a katastrofalnego rozwoju wypadków mieszała się z nerwowym poszukiwaniem jakiegoś nadzwyczajnego rozwiązania dla ratowania sytuacji. Jedno jednak jest pewne, że gen. Sikorski tego rodzaju „misji" p. Nowakowskiemu nie mógł powierzyć.

W cytowanym liście piszę, że nie znam przebiegu „rozmowy w cztery oczy" Sikorskiego z Nowakowskim. Po pożegnaniu bowiem w dniu 11 września 1939 gen. Sikorskiego we Lwowie, spotkałem się z nim dopiero po miesiącu w Paryżu, gdy był już premierem, a ja przyjechałem z Rumunii, gdzie byłem przez blisko dwa tygodnie internowany w Suczawie, razem z gen. Hallerem, na zarządzenie władz rumuńskich. Na myśl mi nie przyszło by w ówczesnej sytuacji wracać do przebrzmiałego i niepoważnego incydentu lwowskiego.

List mój w „Polsce Walczącej" i wywołana nim wówczas dyskusja, spowodowały jednak, że wówczas to we wrześniu 1943 powróciłem w rozmowach z najbliższymi współpracownikami gen. Sikorskiego omawianego okresu (b. prezesem Związku, Hallerczykiem płk. Modelskim i jego sekretarzem generalnym mjr. Malinowskim) do tej sprawy. To cośmy zdołali wówczas ustalić odpowiadało całkowicie moim domysłom na temat treści misji powierzonej p. Nowakowskiemu do woj. Biłyka.

Gen. Sikorski od 24 sierpnia 1939 (dzień, w którym wysłał pismo do Śmigłego-Rydza oddając się do jego dyspozycji) opanowany jest jedną jedyną myślą: otrzymania jakiegokolwiek przydziału w szeregach mającej się bić Armii. Niezrażony brakiem odpowiedzi, odrzuca kategorycznie projekt opuszczenia Warszawy, który mu przedstawia płk. Modelski 5 września w jego mieszkaniu w obecności: wiceprezesa Str. Pracy dr. Tempki z Chorzowa, mjr. Malinowskiego i mojej. Traktuje informacje Modelskiego o katastrofalnej sytuacji na froncie jako panikarskie i daje wyraz przekonaniu, że po pierwszych niepowodzeniach dojdzie jednak do ustalenia frontu na środkowej Wiśle i Bugu. Po naszej rozmowie wysyła przez mjr. Malinowskiego trzeci list do Rydza (drugi wysłany był 30 sierpnia). Gdy i na ten nie otrzymuje odpowiedzi, decyduje się 8 września na wysłanie do Brześcia, (miejsca ówczesnego pobytu Wodza Naczelnego) płk. Modelskiego i mjr. Malinowskiego, aby ustnie potwierdzili treść poprzednich pism i osobiście otrzymali odpowiedź. Mieli oni ew. sugerować użycie gen. Sikorskiego w obronie Warszawy. Nie chcąc być odcięty od kontaktu z Naczelnym Dowództwem, przyjeżdża do Lwowa 9 września, by, jak to oświadczył spotkanemu przypadkowo na ulicy, płk. Bogusławskiemu doczekać się przyjazdu z Brześcia wysłanych emisariuszy. Wyraża też wobec niego przekonanie, że pewno pojedzie dalej „po decyzję Rydza".

Otóż owa „misja" do woj. Biłyka wiąże się najściślej z tym oczekiwaniem Generała. Usłyszawszy od Nowakowskiego, iż łączą go z Biłykiem bliskie i przyjazne stosunki, czepia się myśli użycia wojewody lwowskiego jako pośrednika do Rydza, w danym wypadku wprost wyjątkowego gdyż wiadomo było, iż Biłyka i Rydza łączyła przyjaźń jeszcze od ławy szkolnej. Wydaje mu się ta okazja znacznie korzystniejsza od dotychczasowej metody pisania listów i wysyłania emisariuszy, nie najlepiej ponadto notowanych w kołach Naczelnego Dowództwa.

Z. Nowakowski podjął się bardzo chętnie spełnienia prośby gen. Sikorskiego i był najlepszej myśli co do jej wyników. Tymczasem spotkał go wielki zawód. Biłyk wręcz odmówił pośrednictwa. Do ew. użycia Sikorskiego nie przywiązywał najmniejszego znaczenia. Uznał je za niepotrzebne, bo Naczelny Wódz mimo przejściowych trudności „trzyma sytuację mocno w ręku". Obóz rządowy zresztą, który „zorganizował podstawy zwycięstwa" nie ma ochoty ani potrzeby z nikim tym się dzielić...

Oto cała osnowa „tajemniczej misji". Niezrażony jej niepowodzeniem Sikorski nie rezygnuje z myśli dotarcia do Rydza i przeprowadzenia z nim osobistej, ostatecznej rozmowy. Stąd owa podróż poprzez Dubno, Krzemieniec, Zbaraż, Tarnopol, Trembowlę. Była to prawdziwa gonitwa za Naczelnym Wodzem. Cóż w tych ogarniętych wojenną gorączką miastach mógł szukać Sikorski, jeżeli miał w głowie, jak go o to posądza p. Malinowski, plan „zamachu"!?

P. Malinowski wyciąga dalszy wniosek na potwierdzenie swej tezy „zamachowej" na podstawie mojego listu do Ignacego Paderewskiego pisanego z Suczawy 18 września 1939, a streszczonego w warszawskim „Kwartalniku Historycznym" (Nr 4/1959), a mian. że „w wyniku lwowskiej narady opozycji Popiel i Haller mieli bezzwłocznie udać się do Francji". Cóż to za dowód? W dniu 11 września sytuacja była tego rodzaju, że każdy wybitnie zaangażowany antyniemiecko działacz miał prawo myśleć

o tym, by nie wpaść w ręce hitlerowskie. Tym bardziej, gen. Haller, który przebywając w pierwszych dniach września niedaleko granicy w swej posiadłości pod Grudziądzem, dopiero od miejscowej ludności dowiedział się, że najbliższy posterunek policji państwowej już się ewakuował... Nikt z czynników urzędowych nie pomyślał o tym, że wobec Generała, z którym Niemcy z okresu końca pierwszej wojny mieli ciężkie porachunki, a który w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny wziął nader żywy udział w akcji propagandowej organizowanej przez Związek Hallerczyków na terenie zachodnich województw, powinno się mieć mimo wszystko pewne obowiązki, jeżeli chodziło o kwestię jego bezpieczeństwa.

Co się zaś tyczy rzekomo zamachowej atmosfery grupy ówczesnych przyjaciół gen. Sikorskiego, to najlepiej bodaj charakteryzuje ją drobny fakt, zanotowany we wspomnianym „Kwartalniku Historycznym", a który p. Malinowski przezornie pomija. Przekazuję tam mian. Paderewskiemu do Morges zgoła, jak się później okazało, niepoważną pogłoskę, przyjętą w najlepszej wierze od pierwszych przybyłych do Suczawy oddziałów wojskowych, które przekroczyły granicę rumuńską, że ...gen. Sikorski organizuje jakoby z gen. Łuczyńskim po 11 września 1939 nową armię na Wołyniu...

Wszystkie powyższe fakty potwierdzają, że opinia wypowiedziana przez Komisję Historyczną polskiego Sztabu Głównego odnośnie rozmowy u gen. Sikorskiego we Lwowie 11 września 1939 „nie miała żadnych dalszych konsekwencji" jest nie tylko całkowicie trafna, ale i w pełni uzasadniona.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Karol POPIEL

•

Erie, USA.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pisze p. Mieroszewski (Londyńczyk) w 156 nr. „Kultury", że jest dziś tu i ówdzie uroda na polszczyznę. I że trzeba polskość przedstawiać nie jako wspominkarstwo tylko jako atut. I że do szkółek sobotnich trzeba by posyłać nie dzieci, tylko rodziców.

Tu w Ameryce modę na polszczyznę chce budzić m.in. Kongres Polonii. Hasła ostatniego zjazdu K.P.A. powtarza prasa. Wszystko to oczywiście bardzo piękne, podobno nawet i rezultaty już gdzieś są. Ale sprawa nie ruszy na dobre z miejsca, póki urody na polszczyznę nie zaczną szerzyć dobre, powtarzam, dobre, do szkół amerykańskich dostosowane podręczniki. Jak dotąd podręczników takich nie znalazłem, a szukałem ich pilnie. Dziecko czy „teenager" nie nabierze szacunku do języka wykładanego z gramatyczki wydanej na biednym papierze, bez żadnej ilustracji, bez urozmaicenia. Różne samouczki i „nowe gramatyki" nie nadają się do tego celu, mogą być bez zarzutu co do treści, bez błędów i bez braków. Są mało pedagogiczne.

W wielu szkołach średnich (High school, Prep.) potrzebne są podręczniki historii polskiej. I znowu nie żadne uczone tomidła, z przypiskami, szczególikami, ale podręczniki, atrakcyjne, ilustrowane, z materiałem naukowym podzielonym na lekcje, z wymownymi wykresami i całym nowoczesnym aparatem dydaktycznym. I oczywiście — ku zgorszeniu naszych superpatriotów! — po angielsku. Ledwo „sylabizujący" uczniowie nie są gotowi na męczeństwo, jakim jest wkuwanie historii w języku, który znają bardzo powierzchownie.

Bez tych dwóch rzeczy: dobrego podręcznika języka i bez dobrej historii Polski w języku angielskim wielkie i piękne uchwały Kongresu Polonii przebrzmią bez echa. Obie te rzeczy może napisać nie tyle uczony historyk ile pedagog mający w małym palcu wszystkie nowoczesne ,,tricki" amerykańskiego szkolnictwa. Może ,,Kultura" co pomoże przez swoich licznych czytelników w USA?

(Nawiasem mówiąc nie bardzo rozumiem, dlaczego się w ,,Kulturze" ukazał artykuł Zbyszewskiego o Hallerze! Rozumiem donkiszoterię buńczucznego autora, ale nie rozumiem, jak Redakcja, nawołująca tak często do trzeźwości w polityce, mogła coś podobnego puścić. Można Hallera nie lubić, można się z nim nie zgadzać, ale po jakie licho drażnić takim nietaktownym artykułem Polaków w USA, gdzie ,,Kultura" ma tylu czytelników, a gdzie Haller w takiej estymie! Czy ten atak na zmarłego Hallera był jakąś polityczną i zbawienną dla Polski lub dla świata koniecznością, a więc ryzykiem, które trzeba koniecznie podjąć? I po co przy tej sposobności poniewierać hasło ,,Bóg i Ojczyzna"? Jeżeli to hasło takie głupie, to podpiszmy się pod materializmem i zamiast Ojczyzny kochajmy jakąś międzynarodówkę, ale wtedy przestańmy się martwić polszczyzną i wszystkim co ojczyźniane. Bo to wszystko ,,głupie"!).

◆

Wracając do poruszanej poprzednio kwestii MILLENIUM, MILENNIUM, czy MILENIUM zwracam uwagę na słowo SOLENNY. W języku łacińskim jest SOLLENNIS z czego nasi przodkowie ukuli solenny z jednym ,,l" ale dwoma ,,n". Czy to nie może posłużyć za drogowskaz?

Łączę wyrazy szacunku.

W. SOJKA

◆

Londyn, 5.3.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Czesław Miłosz pisząc w ,,Co śmiem myśleć" (,,Kultura", nr 7/153-8/154 1960) o Brzozoskim nawet nie wspomniał słów Burcewa-Sawinkowa (vide Roman Gul: Azef. New York 1959): ,,Lecz czy wiecie, że Bakaj zdemaskował do 50-ciu prowokatorów i dokopał się do takich filarów jak polski literat Brzozowski, władca myśli młodzieży rewolucyjnej"... (tłumaczenie moje).

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Edward RAYSKI

◆

Brisbane, 27.2.1961.

Szanowny Panie Redaktorze!

W indeksie autorów i tematów ,,Kultury" za rok 1960 (nr. 1/159-2/160) dwa razy czytamy — ,,Żochowski Samuel".

Za Batorego było to imię używane wśród chrześcijan — vide Zborowski. Może i nieco później.

Współcześnie stało się imieniem bankierów, poważnych kupców etc. Natomiast już literaci pochodzący z mniejszości uważali za wskazane używanie imion bardziej pospolitych np. Tuwim Juliusz, Słonimski Antoni, Rudnicki Adolf.

Ponieważ już mnie zapytywano lokalnie, czy zmieniłem imię mając na oku łatwiejszy kredyt proszę o przywrócenie mi imienia na chrzcie św. otrzymanego. Zecerowi wyrazy uznania z powodu dość niezwykłej imaginacji łączy.

Stanisław ŻOCHOWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 2e trimestre 1961

ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
FRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th Parkhurst, Johannesburg	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
RGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », ino 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
USTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd.,Daking e, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
ELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square ctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego -20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
RAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** taipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia inska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Franciszek a-Paprocki,** rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao o. Tel. : 34.18.59.		5 dol. am.	9 dol. am.
RYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugan- Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
RANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	3,50 NF	19 NF	37 NF
OLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 terdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — .S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
ANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., nto 3, Ont. lub c/O **Polish Voice,** 1089 Queen St. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Avenue, de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra- ski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 29; **Andrzej Manteuffel,** 797 Jessie Ave, Winnipeg, .; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, , Tél. : LE 1-2491; **Olgierd Kiersnowski,** 36 Bermuda , Toronto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
EKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
IEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon- r. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
ORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
ZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, ve. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
ZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV kholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, nectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew tynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. rczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, .; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, . Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin- l Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford ice, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 phis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book rting C°, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; ojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. 2.0890; **R.J. Sas-Babczynski,** 1819 B.W. Common- h Ave, Alhambra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, rsea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
LOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, t. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF